R G B WH GR BL C M Y K
Grey Scale #13
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Sd. 97.454.

BIBLJOTEKA HISTORYCZNA
KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

ZDZISŁAW MORAWSKI

VI

SACCO DI ROMA

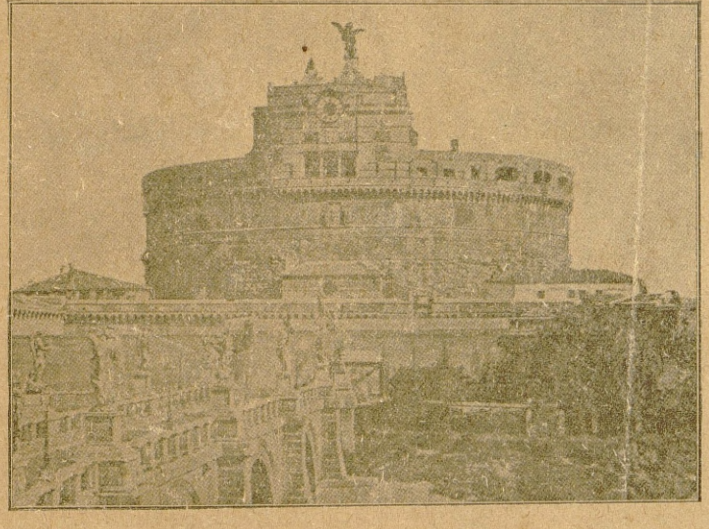

KRAKÓW 1923
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches Centimetres
DANES-PICTA.COM

Cal. 97.454

BIBLJOTEKA HISTORYCZNA
KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

ZDZISŁAW MORAWSKI

SACCO DI ROMA

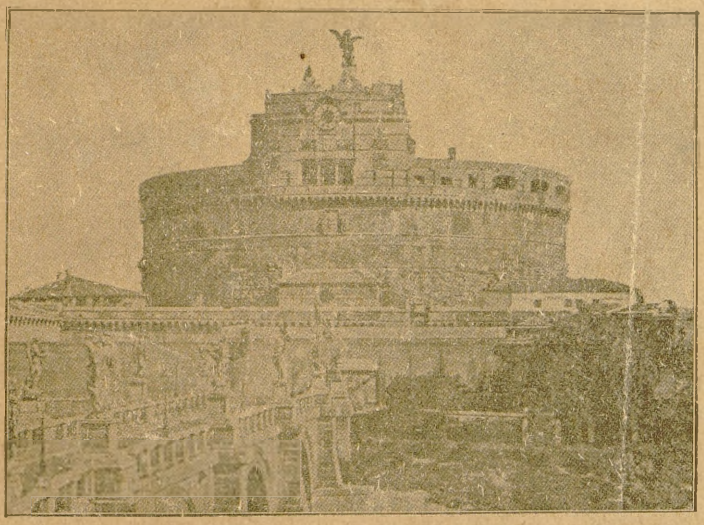

KRAKÓW 1923
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

SACCO DI ROMA

ZDZISŁAW MORAWSKI

SACCO DI ROMA

Z OŚMIOMA RYCINAMI

WYDANIE DRUGIE

KRAKÓW 1923
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ.

9(45)

33112/2

WYDANO Z DUBLETÓW
Biblioteki Narodowej

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

1947 K. 185/3929

I.

Dramaty Zamku św. Anioła.

Do K.....

Czy pamiętasz ten piękny wiosenny poranek ubiegłego roku, kiedyśmy pierwszą, jak należy po przybyciu do Wiecznego Miasta, wycieczką, zdążali razem do św. Piotra? Uderzył nas widok tak doszczętnie zmienionego Nadtybrza. W szare, jednostajne, a wysoko sterczące głazy ujęto łożysko rzeki, która w ich obramowaniu znikła niemal zupełnie. Targować się o to trudno. Stale

---

W pracy tej, drukowanej w roku 1903 w Przeglądzie Polskim, korzystałem z następujących źródeł: Alberini Marcello: *Il Libro dei Ricordi* (w Orana: *Sacco di Roma del 1527, Studi e Documenti*, Vol. I. Roma 1901). — Giovio Paolo: *Le vite di Leone X, d'Adriano VI, del Cardinal Pompeo Colonna.* (ed. Fiorenza 1551). — *Gumppenbergs Bericht vom Sacco di Roma* (w Gregoroviusa: *Kleine Schriften zur Geschichte und Cultur*, I. Band. Leipzig, Brockhaus, 1887). — Guicciardini Francesco: *Storia d' Italia.* (Capolago, 1836). — Guicciardini Luigi: *Il Sacco di Roma.* (Parigi, Billaine). — Varchi Benedetto: *Storia fiorentina.* 3 vol. (ed. Firenze 1843).—Vettori F.: *Narrazione de la presa di Roma per Borbone, in dialogo.* (Przedr. w Milanesi'ego *Sacco di Roma.* Firenze, Barbera. 1867). — *Lettera di un ufficiale dell' esercito del Borbone a Carlo V.* (Przedr. tamże).

Prócz tego uwzględniłem następujące dzieła i opracowania: Amanti Bruto: *Giulia Gonzaga* (Bologna, Zanichelli 1896). — Burckhardt Jacob: *Die Cultur der Renaissance in Italien.* 2. Bde. (Leipzig, Seemann, 1896). — Gaspary Adolf: *Geschichte der italienischen Litteratur.* 2. Bde. (Strassburg, Trübner 1888). — Gothein Eberhard: *Ignatius von Loyola und die Gegenreformation.* (Halle, 1895). — Grego-

powtarzające się wylewy wymagały zapory, i nadbrzeżni mieszkańcy dobrze na tem wyjdą. Ale przybysz nie zdoła stłumić tęsknoty za dawnym rozległym widokiem z »mętnym Tybrem«, wijącym się w malowniczych skrętach przez miasto. Kamienne kleszcze, zwężające koryto rzeki, zamykają i dalsze poza nią widoki, a ponad ten wał sterczy tylko niekształtna budowa nowego pałacu sprawiedliwości, otoczona rozrastającem się dokoła banalnem miastem. Minęliśmy te nieudane nowotwory najnowszego Rzymu, i nagle wielki, dawny Rzym do nas przemówił: na skręcie ukazała się ponura masa Zamku św. Anioła.

A chyba mało który z pomników rzymskich wymowniejszemi przemawia słowy. Zbudowany wśród ogrodów Domicji na miejsce wiecznego spokoju dla prochów wędrownego cesarza, miał się z kolei ten Hadrjanowy grobowiec stać widownią wszystkich prawie niepokojów średniowiecznego Rzymu, tak, że każda jego szczerba, to jakiś znaczony dziejami *dies nefastus* miasta. Wieść niesie, że już w początku V stulecia pierwszy od wieków Rzymu zdobywca, Alaryk, uderzył na te mury i że żołnierze jego splądrowali groby. Od tego czasu połączony portykiem z kościołem św. Piotra, stał się ten grobowiec ważnym strategicznym punktem,

---

rovius: *Geschichte der Stadt Rom im Mittelalter.* Bd. VII. u. VIII. (1880). — Janssen J.: *Geschichte des deutschen Volkes seit dem Ausgange des Mittelalters.* Bd. II. u. III. (Herder, Freiburg in Breisgau. 1887).— Klaczko J.: *Rome et la Renaissance.* (Plon, Paris, 1898). — Luzio e Renier: *Mantova e Urbino.* (Torino-Roma, 1893). — Maurenbrecher: *Geschichte der katholischen Reformation.* (Nördlingen, 1880). — Mignet: *Rivalité de François I. et de Charles Quint.* 2. vol. (Didier, Paris, 1875). — Muratori: *Annali d'Italia.* 12 inff. (Milano, Pasquali).— Pastor L.: *Geschichte der Päpste seit dem Ausgange des Mittelalters.* (Freiburg in Breisgau, 1895).—Ranke L: *Die römischen Päpste in den letzten vier Jahrhunderten.* Band I. u. II. (Leipzig, 1874). — Reumont: *Geschichte der Stadt Rom.* 3 Bde. (Berlin, 1867—1870). — Roscoe Wilhelm: *Leben und Regierung Leo X.* 3 Bde. (Übers. von Glaser, Wien, 1818). — Schulz Hans: *Der Sacco di Roma. Karls V. Truppen in Rom.* (Niemayer, Halle, 1894). — Sismondi: *Histoire des Républiques Italiennes du Moyen Age.* 16 vol. (Paris, 1818). — Yriarte Charles: *César Borgia, sa vie, sa captivité, sa mort.* 2 vol. (Paris, 1889).

twierdzą obronną, strzegącą przejścia przez *Pons Aelius* na lewy brzeg Tybru. Ale twierdzę tę zdobiły jeszcze cudne marmurowe rzeźby, arcydzieła greckiej i rzymskiej sztuki, któremi Hadrjan mauzoleum swoje wyposażył. Cała prawie ta strojna powłoka miała zniknąć w pierwszej połowie VI w., w czasie napadu Witigesa na Rzym. Gotowie, oblegający twierdzę, już drabiny przystawiali do murów i już mieli wtargnąć do wnętrza, kiedy nagle runął na nich z góry deszcz marmurowy: załoga cesarska w rozpaczliwej obronie jęła druzgotać posągi i odłamami ich ciskać na oblegających. Szturm został odparty, ale nad pobojowiskiem, na którem wśród tysięcy poległych Gotów bielały krwią zbryzgane szczątki bogów i heroów starożytności, sterczał pod koniec tego w dziejach Rzymu pamiętnego dnia ogołocony ze swych ozdób i sposępniały już na wieki grobowiec cesarski.

Wkrótce zatarła się też nazwa *moles* i przyjęła inna, *castellum*, a kiedy Grzegorz Wielki wśród błagalnej procesji całego Rzymu w czasie morowej zarazy ujrzał nad tym grobem unoszącego się w powietrzu Anioła, który na znak zmiłowania Bożego miecz chował do pochwy, znikło na pamiątkę tego cudu i imię cesarza-założyciela, i grobowiec Hadrjana stał się Zamkiem św. Anioła. Nawpół forteczny, nawpół więzienny, miał on być i nadal to schroniskiem uciemiężonych, to warunkiem władzy samozwańczych panów Rzymu, to wreszcie miejscem stracenia jednych albo drugich. Wiek X znaczy się w nim kobiecemi rządami Marocji, która umocowawszy się w jego warownych murach, każe się zwać *senatrix et patricia*, panuje nad zniewieściałym Rzymem, wtrąca papieża Jana X do więzienia, na jego miejsce pod imieniem Jana XI własnego wynosi syna, aż za sprawą drugiego syna, Alberyka, wypędzona z twierdzy i wyzuta z władzy, kończy burzliwy żywot w klasztorze. Nie dobiega zaś jeszcze to stulecie kresu, a już inne, czarniejsze dramaty w tych samych rozgrywają się murach. Naprzód Bonifacy VII Francone, papież-samozwaniec, łupiezca kościołów rzymskich i skarbu św. Piotra, który do Konstantynopola uwiózł, więzi w Zamku św. Anioła dwóch z rzędu papieży, Benedykta VI i Jana XIV, z których pierwszy uduszony, drugi głodem umorzony kończy; potem,

po kilku zaledwie latach, broni się tamże przed wojskami Ottona III Krescencjusz, jeden z tych ambitnych marzycieli średniowiecznego Rzymu, postać odradzająca się z kolei to pod nazwiskiem Rienzego w XIV-tym, to Stefana Porcaro w XV wieku, nieudany wskrzesiciel dawnej rzeczypospolitej rzymskiej, stracony nakoniec za tę myśl spóźnioną na szczycie Zamku, który odtąd lud przez długie lata jeszcze »wieżą Krescencjusza« nazywał.

Następuje epoka cesarzy salickiego domu, czasy wielkich zapasów państwa z Kościołem, a w nich znów Zamek św. Anioła ważną odgrywa rolę: w jego obronne mury chroni się wielki Hildebrand, kiedy cesarz Henryk IV, zająwszy Rzym, zdobywszy szturmem Kapitol i Septizonium, przez antipapę Klemensa III u św. Piotra koronować się kazał. Grzegorza VII uwolnił z Zamku przybyły na odsiecz dzielny Robert Guiscard, ale z tą odsieczą łączy się wspomnienie jednej z najstraszniejszych klęsk, jakie Rzym średniowieczny dotknęły: saraceńskie hordy Guiscarda złupiły i podpaliły miasto, które od Colosseum i Forum aż do Lateranu spłonęło doszczętnie, tak, że cała południowa część Rzymu, naówczas najbardziej ludna, na długie wieki w tych dniach rozboju zamarła; Awentyn zamienił się w pustynię, Pole Marsowe w rumowisko, dalej, po Lateran, zostały tylko zgliszcza.

W wieku XII wzrastająca potęga baronów rzymskich zostawia swoje ślady w dziejach Zamku, którego forteczne znaczenie wzmaga się jeszcze wśród ciągłych starć i zatargów poważnionych z sobą dumnych rodzin. I tak w r. 1133 po raz pierwszy koronacja cesarska Lotara przez papieża Innocentego II odbywa się pod osłoną rozsiadłych na gruzach starego miasta Frangipanich nie u św. Piotra, lecz w Lateranie, bo dzielnicą Leonińską zawładnął oparty na potędze Pierleonich i broniący się w twierdzy św. Anioła antipapa z ich rodu, Anaklet. W kilkanaście lat później wychodzi zaś z więzień zamkowych, idąc na stos wzniesiony na dzisiejszej Piazza del Popolo, wydany w ręce sprawiedliwości przez Barbarossę, a przedtem długo opieką senatorów rzymskich i potężnego rodu Contich osłaniany, zawzięty wróg

papiestwa, Arnold z Brescii. Rozwielmożnienie się Colonnów, Orsinich, Savellich, Contich, Frangipanich, szło w parze z zanikiem pamiątek starego Rzymu. Świątynie, cyrki, grobowce, nawet łuki triumfalne, zamieniane przez nich w fortece, za każdym ich pogromem niszczono, nieraz równano z ziemią — i tak padały jedne po drugich pomniki dawnego miasta. Wielką ich zagładą były mianowicie krótkie ale pamiętne w połowie XIII w. rządy Brancaleona de Casalecchio, którego lud rzymski z Bolonji wezwał, senatorem obrał, i który poskromienie rozbójniczych możnowładców z nieubłaganą przeprowadził surowością. Ocalał w czasie tej zawieruchy Zamek św. Anioła, ale nie miał ocaleć w dotychczasowych swoich kształtach w epoce groźniejszych burz XIV stulecia.

Na pierwszą połowę tego najsmutniejszego w dziejach papiestwa wieku przypada sieroctwo Rzymu po przeniesieniu Stolicy Apostolskiej do Awinjonu, czasy głębokiego upadku Wiecznego Miasta, kiedy »bydło pasło się u św. Piotra i w Lateranie aż po wielki ołtarz«, do św. Pawła »pasterze z Kampanji trzody swe zapędzali na nocleg«, a marmury z Colosseum i świątyń okolicznych wyłamywano, aby je palić na wapno. I dziwnym trafem właśnie w tym czasie tak srogiej starożytnych pamiątek zagłady, pojawia się jeden z ich najwcześniejszych miłośników, niepozbawiony zrazu pewnej świetności marzyciel, potem upojony własną wielkością szaleniec, a którego imię i losy znów z Zamkiem św. Anioła się łączą. W nim bowiem chronił się Rienzi, kiedy w roku 1347, opuszczony po raz pierwszy przez lud, zstępował z szczupłą już garstką stronników ze schodów Kapitolu i szedł w upadku jeszcze dumny, więc przybrany w szkarłat i wśród dźwięku srebrnych trąb procesjonalnie przez miasto do twierdzy, w której się zamknął przed czyhającymi na niego w Kampanji baronami rzymskimi. Po trzydziestu latach zaś znów się te same bramy na ratunek innych zbiegów otwarły: działo się to w czasie najdramatyczniejszego *conclave*, jakie chyba historja papieska pamięta, kiedy w siedmdziesiąt pięć lat od awinjońskiego wygnania kardynałowie po raz pierwszy znowu w Rzymie do obioru stanęli. Lud wtargnął do pałaców watykańskich,

z żądaniem, aby elektem był Rzymianin, a strwożeni kardynałowie, posadziwszy na tronie przybranego naprędce w szaty pontyfikalne zgrzybiałego kardynała Tibaldeschi, pierzchnęli sami do Zamku św. Anioła. Przez cały dzień szalał zbuntowany motłoch w Watykanie, hołdując przerażonemu i broniącemu się napróżno starcowi, aż dopiero nazajutrz, wybrany już przedtem Włoch, lecz nie Rzymianin, Urban VI, porządek przywrócił i władzę objąć zdołał.

Z chwilą tego burzliwego *conclave* rozpoczyna się sromotne rozdarcie Kościoła, półwiekowa prawie epoka wielkiej schizmy Zachodu. Naprzeciwko Urbana VI staje ambitny Robert z Genewy, jako antipapa awinjoński pod imieniem Klemensa VII, i rozpoczyna się walka, której ofiarą miał paść Zamek św. Anioła, bo po zdobyciu go na załodze bretońskiej, zostawionej przez przeciwnika, Urban VI twierdzę zburzyć kazał. Zniknęły wtedy ostatnie szczątki ozdobne Hadrjanowej budowli, z której tylko sam rdzeń wewnętrzny grobowca pozostał. Ale nie długo miały stać te mury w ruinie; punkt, strzegący przejścia przez Tyber, był zbyt ważny i ochrona dla Leonińskiej dzielnicy niezbędna. Toteż kiedy Marcin V Colonna, *temporum suorum felicitas*, jak go tak wymownie w ścisłości swej napis grobowy w Lateranie nazywa — po uciszeniu się całowiecznej prawie burzy do Rzymu wkroczył, aby zczasem wspaniałe dzieło odnowiciela spełnić, zastał tam wprawdzie taką nędzę, że wedle słów kronikarza »w dzień św. Piotra nie było za co lampki na grobie Apostoła zapalić«, wilki odgrzebywały ciała na cmentarzach watykańskich, pagórki sterczały nagie i puste, w dolinach potworzyły się cuchnące bagna, a dzielnica Leonińska wyglądała jak porzucone rumowisko; — ale nad tym obrazem zniszczenia i klęski panował już odbudowany przez Bonifacego IX warowniej jeszcze i jeszcze w surowej swojej masie potężniejszy Zamek św. Anioła.

Odtąd należał on już wyłącznie do papieży, stał się najważniejszą strażnicą ich władzy świeckiej. Toteż dowódcą czy dozorcą zamkowym, bo oba obowiązki łączyły się często, był zawsze najzaufańszy papieski powiernik, nieraz jeden z nepotów, którego wyrugowanie po śmierci papieża z twierdzy bywało

zwykle pierwszem zadaniem i pierwszym kłopotem konklawistów lub wybranego następcy. W wieku XV dzieje Zamku na osobną zasługiwałyby monografję; tyle patrzącemu na jego posępne mury staje przed oczyma związanych z niemi żywych scen i wybitnych postaci z tych czasów. Każdy niemal pontyfikat zapisuje się tu jakąś wymowną pamiątką. I tak za panowania Eugenjusza IV przypada nagły, do dziś dnia tajemnicą osłonięty, upadek kardynała Vitelleschi, którego z pewnością do najciekawszych indywidualności i typów włoskiego *quattrocenta* zaliczyć można. Niegdyś żołnierz z pod znaków rozbójniczego Tartaglii, potem w kardynalską purpurę przybrany kondotjer, zarządzał on, jako legat rezydującego we Florencji papieża, Rzymem i Państwem Kościelnem, a rządził na modłę ówczesnych tyranów, bezwzględnie i okrutnie. Ale kiedy u szczytu potęgi, po poskromieniu wiecznie zbuntowanych Colonnów, Orsinich, Savellich, w maju 1440 r. opuszczał Rzym na nową wyprawę do Umbrji, zastąpił mu drogę na moście św. Anioła kasztelan zamkowy, Antonio Rido, i wszczął długą z legatem rozmowę, aż całe wojsko na drugą stronę rzeki przeszło. Wtedy, na dany znak, skoczyła załoga z twierdzy, most odcięto łańcuchem, a ranionego i usiłującego przedostać się na drugą stronę Tybru kardynała ściągnięto z konia i wtłoczono w bramę zamkową, która się za nim zawarła. Czy był on może w zmowie z gotującym się właśnie do napaści na Rzym Piccininem, czy padł ofiarą nienawidzących go a otaczających Eugenjusza IV Florentczyków, to pozostało zagadką. Ale żywy już Vitelleschi z twierdzy św. Anioła nie wyszedł.

Za pontyfikatu wielkiego wskrzesiciela starożytności, Mikołaja V, zginąć miał w Zamku ostatni z tych zapóźnionych średniowiecznych szaleńców, którzy ufali, że im się starożytny rzeczy porządek w Rzymie wskrzesić uda. Spisek był poważny, dzień na porwanie, a w razie oporu zamordowanie papieża już wyznaczony, a celem, wypędzenie papiestwa z Rzymu na zawsze. Zapobiegliwości znakomitych towarzyszy Mikołaja V, kardynałów Bessariona, Capranica, Scarampo, udało się zapobiec katastrofie i schwytać na czas spiskowców. Z nich jeden, Battista Sciarra,

zdołał narazie przebić się i umknąć; drugi, a główny winowajca, Stefano Porcaro, stracony został w Zamku św. Anioła, do ostatka wierny urojonemu posłannictwu i powtarzający jeszcze w chwili zgonu: »Ludu mój, dziś ginie twój oswobodziciel«. W kilkanaście lat potem spotyka się zaś w tych samych murach ślady innego, mniej poważnego, toteż nie śmiercią, tylko czasowem więzieniem odpokutowanego sprzysiężenia. Na tych głazach, na których się zapisały niemal wszystkie ówczesne zdarzenia i prądy, nie mógł się nie zapisać prąd wieku najsilniejszy, humanizm. Kiedy więc Paweł II Barbo uderzył na drużynę Pomponiusa Laetusa, oddającą się mrzonkom wskrzeszenia pogańskiego świata, a skwapliwiej jeszcze szerzeniom pamfletów na religję, Kościół i jego widomą głowę, pierzchnęli przywódcy tej nowej Akademji w rozsypce; sam Pomponius skrył się w Wenecji; drugi, a nas bliżej obchodzący, Kallimach, po dłuższej peregrynacji na Wschodzie zabłąkał się aż na daleką Północ, do Krakowa, gdzie, jak śpiewał współczesny mu poeta Cantalicio:

. . . . . Barbos fugiens ex urbe furores
Barbara quae fuerant regna, Latina fecit.

Trzeci, późniejszy bibljotekarz watykański z czasów Syxtusa IV, Platina, nie zdołał uciec i dostał się za rygle więzienne Zamku. Stąd, z poza tych murów, wychodziły jego listy do papieża, tak w swej małoduszności i płaskiem pochlebstwie dla oceny większości ówczesnych humanistów znamienne, owe listy, w których całą winę na zbiegłego »pijanego« Kallimacha zrzucał, najwierniejszą w roli donosiciela służbę na przyszłość przyrzekał, i w charakterystycznym dla epoki zwrocie zapewniał, że »jak Apostołowie chwałę Chrystusa w Ewangelji, a Homer Achillesową sławę w pieśni«, tak on w razie zwrócenia mu łaski papieskiej »złoty wiek Pawła II w piśmie uwieczni«. Nietylko zaś do papieża, ale i do prefekta zamkowego, Rodriga Sanchez de Arevalo, wystosowywał Platina płaczliwe swoje epistoły, a że Don Rodrigo zaliczał się także do obozu humanistów i sam chętnie za pióro chwytał, więc wywiązała się ta w swoim rodzaju chyba jedyna korespondencja, w której istotę winy i pokuty w klasycznych zwrotach roztrząsał więzień z dozorcą.

Z burzliwym schyłkiem XV stulecia mnożą się dramatyczne wspomnienia, przywiązane do murów Zamku. I tak, za ostatnich lat panowania Sykstusa IV, kończy się w nim, z większem niż kiedykolwiek w ciągu wieków zacięciem wznowiona, walka Colonnów i Orsinich. Za pomocą ulubionych papieskich nepotów, Riariów, zwyciężają Orsiniowie, i Lorenzo Colonna ginie w Zamku św. Anioła. Po śmierci zaś tego papieża, w pięć wieków po Marocji, po raz drugi obejmuje kobieta dowództwo zamkowe: najdzielniejsza z niewiast *quattrocenta*, Katarzyna Sforza, którą współcześni *prima donna d'Italia* zwali, żona ohydnego Hieronima Riario, a z powtórnych ślubów matka wsławionego w następnych wojnach Jana delle Bande Nere, zamyka się w twierdzy, staje na czele załogi, i wśród zaburzeń, przygotowujących wybór Innocentego VIII, targuje się z poza murów z kardynałami o mienie, przywileje i wpływ znienawidzonych powszechnie Riariów. Wśród smutnego zeświecczenia Kurji rzymskiej w owej epoce, wzmaga się naturalnem następstwem znaczenie obronnego Zamku. Najwymowniej się więc zapisują na jego kamieniach rządy Borgiów, których »Byk« herbowy widnieje po dziś dzień na tarczach zdobiących twierdzę. Nieprawidłowy wybór, a stąd wśród ogólnej nienawiści ciągła obawa soboru i złożenia z urzędu, niepokoiły giętkie sumienie, ale trwożliwą przy całej ambicji duszę Aleksandra VI. Toteż starą twierdzę przez architektę swego Giuliana da Sangallo w potężną fortecę zamienił, nowym pasem murów, wałem i głęboką fosą okolił, krużganek łączący ją z Watykanem ubezpieczył, a wewnątrz dla siebie schronisko urządził, które następnie, co tak dziwnie z charakterem tej surowej budowy i ze zmysłowością jej odnowiciela licuje, podobnie jak komnaty swe w Watykanie, przez mistrza naiwnej słodyczy, Pinturicchia, freskami przyozdobić kazał.

Najważniejsze chwile tego pontyfikatu należą znów do wspomnień zamkowych. A więc naprzód ta z nich najdonioślejsza, gdy wśród niemej grozy wszystkich państw italskich Karol VIII zstępował z Alp i w pochodzie triumfalnym niósł przez Włochy miecz zwycięski, w którym lud upatrywał spełnienie ponurych proroctw Savonaroli, miecz mściciela, *gladius Domini su-*

per terram cito et velociter... Położenie papieża było rozpaczliwe; pomocy nie mógł się spodziewać znikąd, prócz od jednej spowinowaconej rodziny Arragońskiej z Neapolu, a właśnie przeciwko niej skierowaną była w pierwszej linji wyprawa francuska. Zresztą zbliżanie się Karola VIII łączyło się z groźbą soboru, a sobór znaczył dla Aleksandra VI utratę niegodnie piastowanej godności. Groźbę tę potęgowała obecność w orszaku królewskim zbuntowanych kardynałów tej miary, co Ascanio Sforza, Colonna, Savelli i Giuliano della Rovere; pierwszy był bratem Lodowika Mora, a więc tego właśnie, który Francuzów do Włoch sprowadził; dwaj drudzy stali na czele zrebelizowanych znów przeciw papieżowi wielkich rodów rzymskich; czwartego, późniejszego Juljusza II, potężna indywidualność, a tradycyjna już do Borgiów nienawiść, starczyła sama za legjon nieprzyjaciół.

W pierwszej chwili przestrachu kryje Aleksander VI w Zamku św. Anioła ów skarb największy, którego już za dwóch pontyfikatów papieże jak oka w głowie strzegli, a którego zazdrościły im Francja, Neapol, Wenecja i Węgry. Skarbem tym był wydany przez Rycerzy św. Jana Innocentemu VIII brat Bajazeta, powaśniony z nim książę Dżem, w którym dwory i dyplomacja ówczesna, przeceniając jego znaczenie, upatrywały na wypadek zamierzanej zawsze, ale nigdy do skutku nie przychodzącej krucjaty, najważniejszą do wygrania przeciwko sułtanowi kartę. Za tym skarbem, wkrótce po wkroczeniu Karola VIII do Rzymu, a po rozbiciu się pierwszych układów, ucieka i sam papież w obronne mury twierdzy i stamtąd prowadzi dalsze układy, ustępując przed przemocą na wszystkich prawie punktach, godząc się nawet na wydanie Dżema w ręce króla, ale, co znamiennem, nie godząc się do końca na oddanie Francuzom samego Zamku. Z niego, w kilka dni później, krytym krużgankiem zdąża on do Watykanu na pierwsze osobiste z Karolem VIII spotkanie, nacechowane pozorami czci z jednej, uległości z drugiej strony, w istocie pokrywające tylko wykrętami zobopólne niedowierzanie i zawiść.

Burza tej pierwszej wyprawy francuskiej, choć była na-

prawdę początkiem długoletnich wojen a końcem dotychczasowego porządku rzeczy we Włoszech, przeminęła przecież bez większej dla papieża ujmy, dzięki mianowicie zwrotowi nagłemu na jego stronę najbardziej nieobliczalnego gracza w polityce owej epoki, Lodowika Mora. Innego rodzaju burze miały przecież wnet nad głowę Aleksandra VI nadciągnąć: 16 czerwca 1497 roku przyniesiono do Zamku znalezione w nurtach Tybru po dwudniowem poszukiwaniu ciało pierworodnego syna papieża, młodego księcia Gandji. Kto był mordercą, to do dziś dnia pozostało tajemnicą. Ale tragiczność chwili, kiedy Aleksander VI, którego największe zboczenia miały swe źródło w nadmiernej, ślepej miłości do dzieci, »wyjąc z bólu tak, że go na ulicy słychać było«, jak świadczy jeden z współczesnych kronikarzy, żegnał po raz ostatni w Zamku św. Anioła zwłoki zamordowanego syna, dorasta grozą starożytnych tragedyj, jeżeli słusznem jest podejrzenie, że mordercą księcia Gandji był brat jego Cezar, i jeżeli ojciec to podejrzenie dzielił. Wśród rzymskiego ludu, przypisującego Borgiom jakąś nadprzyrodzoną, szatańską moc, snuły się ponure legendy; opowiadano, że w nocy duch zamordowanego księcia pojawia się w Zamku i jęcząc błąka po murach, a kiedy pod koniec tego samego roku prochy wybuchłe wysadziły górną część twierdzy w powietrze i zdruzgotały stojącego na szczycie marmurowego Anioła, widziano w tem znowu znak gniewu Bożego i Wenecjanin Malipiero zapisywał w swej kronice, że »wielkie a nadzwyczajne rzeczy dzieją się za rządów Aleksandra VI: piorun uderzył w jego antikamerę w Watykanie, Tyber zalał miasto, syna mu w straszliwy zamordowano sposób, a teraz Zamek św. Anioła wyleciał w powietrze«.

Szkody naprawiono prędko, bo po zbyt przelotnym zwrocie w siebie popadł Aleksander VI w zupełną moc młodszego syna, który, jako wielkorządca Romanji, potrzebował bezpiecznego w stolicy schroniska dla siebie, a jeszcze bardziej warownych kaźni dla swych ofiar. Tych ofiar regestr wypełnia znów czarną kronikę Zamku, a na ich czele widnieją nazwiska dwóch młodzieńców cudnej urody, Manfredich, panów na Faenzy, których Cezar z dziedzictwa wyzuł, sromotnie pohańbił i wreszcie, po-

mordowanych w więzieniu, do Tybru wrzucić kazał. Pasmem takich gwałtów snuły się rządy Cezara, a charakterystycznym i znowu z historją Zamku splecionym jest rys, że kiedy władza innych nepotów kończyła się zwykle natychmiast z chwilą zgonu ich opiekunów, strach przed Cezarem przeżył Aleksandra VI i raz jedyny w dziejach kościelnych *conclave* zrazu w twierdzy odbyć chciano. Choroba, na którą Cezar równocześnie z ojcem zapadł, utrudniła mu w pierwszej chwili po zgonie papieża ruchy i udaremniła zamiary. Sam mówił później do Machiavella, że na przypadek śmierci ojcowskiej przygotował był wszystko i obliczył się z wszystkiem, prócz z własną, nieprzewidzianą niemocą. A tu umysł się wzdryga przed nasuwającem się siłą rzeczy pytaniem, coby się było stało, gdyby w tej chwili, kiedy dwanaście tysięcy wojska miał na zawołanie, sięgnął był po tiarę papieską dla siebie.

Jeszcze raz pojawia się on w Zamku. Działo się to w czasie kilkotygodniowych zaledwie rządów Piusa III Piccolomini. Cezar, nie dając za wygraną, prosi o pozwolenie powrotu, donosi, że chory śmiertelnie, w Rzymie przynajmniej umierać pragnie. Dobrotliwy papież pozwala i przyjmuje go w Watykanie. Ale w tej samej chwili zrywa się burza: prześladowani tak zawzięcie i długo przez Borgiów Orsiniowie chwytają za broń, na czele ich staje dzielny, »a podobny do psa wściekłego« Bartolomeo d'Alviano i zgraja ta wypada za Tyber, uderza na Watykan i żąda wydania Borgii. Papież, konający właśnie, nie może już dać odpowiedzi, a Cezar, po raz pierwszy może w życiu zalękły, porywa młodziutkiego brata, zrodzonego z pięknej Julji Farnese, ucieka z nim krytym krużgankiem przez Borgo i chowa się w Zamku. Tam zwraca się przemoc Orsinich i zaczyna się oblężenie twierdzy, z której uwolnić miał Cezara, ale tylko aby go złamać na zawsze, wstępujący w kilka dni później na Stolicę Apostolską najdawniejszy i najwytrwalszy wróg Borgiów, Juljusz della Rovere.

Takie sceny budzą się, takie postacie zmartwychwstają przed oczyma przechodnia, patrzącego na Zamek św. Anioła. Wzrok błądzi po szarych jego murach, szuka pamiątek po Alaryku lub

Witigesie, Grzegorzu Wielkim lub Henryku IV, po Arnoldzie z Brescii lub Rienzim; wyobraźnia, ten wzrok duszy, odtwarza przeżyte tu dramaty, widzi jakby na znak zgonu starożytnego świata Gotów, rzucających na wiatr popioły cesarskie, to znów Hildebranda, broniącego tak nieugięcie praw Kościoła przeciw przemocy świeckiej, lub Borgię nad trupem jednego z tych dzieci, które z krzywdą Kościoła po świecku wywyższał. Obrazy te przesuwają się zmienne jak w kalejdoskopie, snują przecież bez przerwy na tle posępnem średnich wieków, odzwierciedlając każdy prąd czasu i wpływ ludzki, w doli czy w niedoli, w wielkości czy w upadku, historję papiestwa i Rzymu. Ale nad wszystkie dramaty, które się na tem rozegrały miejscu, góruje jeden: tragedja z chwili nieprzewidzianego przełomu w dziejach kościelnych, a niewidzianego pogromu w annalach Wiecznego Miasta, kiedy już nie ramiona same, lecz zbuntowana dusza Północy targnęła się na Rzym i spieniona fala protestantyzmu uderzyła po raz pierwszy o mury Zamku św. Anioła. Osobami dramatu byli, jak w wiekach średnich, choć w odmiennych teraz całkiem warunkach, papież i cesarz, a tragedja zwała się *Sacco di Roma*.

II.

Zmrok Odrodzenia.

Ażeby ową tragedję pojąć, należy wprzód uprzytomnić sobie choćby pokrótce przeddzień tych wypadków, a mianowicie panowanie i osobę pierwszego papieża z rodu Medyceuszów. Czy Leon X zasłużył na to, aby, jak się to utarło, dać całemu stuleciu sygnaturę swego imienia, to pytanie, a pytanie tem większe, że bodaj który wiek był równie niejednolity, jak właśnie ten wiek XVI, z wybujałością indywidualną w swem zaraniu, z ujęciem tej indywidualności w karby powszedniego, twardego obowiązku w czasach kontrreformacji. Leon X nie był też bynajmniej najwybitniejszą osobistością w szeregu papieży tej epoki. Daleko mu było do wielkich pomysłów Juljusza della Rovere, żelaznej energji Pawła Caraffy, lub zdolności rządzenia Sykstusa Peretti. Tak samo i sztuka nie za jego pontyfikatu do najwyższej doszła doskonałości, bo już przed nim duch Boży w *Dyspucie*, duch ludzki w *Szkole Ateńskiej* w najpiękniejsze wcielił się kształty i przed nim *Prorocy* i *Sybille* roztoczyli swą *tremendam majestatem* na stropie kaplicy Sykstyńskiej. Więc jeżeli wiek XVI imieniem Leona X naznaczono, to szukaćby w tem należało chyba wyrazu naturalnego, wdzięcznego hołdu za to, że na lata jego panowania przypada jedna z tych chwil błogich w dziejach ludzkości, a przynajmniej jej wybrańców, w której jak motyle z kwiatu, pili słodycz życia. Podobnych chwil musieli używać ludzie za Peryklesa w Atenach, za Augusta w Rzymie, potem może w ostatnich latach przed wielką Rewolucją we Francji. Po

ponurem panowaniu Borgii, po zbrojnych rządach Juljuszowych, nastaje z Leonem X epoka względnego spokoju, wczasu do używania rozkoszy życia. Jest to u schyłku skwarnej i burzliwej doby Odrodzenia zachód orzeźwiający i pogodny.

Już powierzchowność Leona X różniła go zupełnie od poprzednika, zdradzała inny charakter i usposobienie. Z portretów Juljusza II patrzy na nas człowiek *quattrocenta*, o wielkich, bezwzględnych namiętnościach, ale równie wielkim, nieugiętym duchu. Hart i siła malują się na tych myślami pooranych, w twarde rysy pociętych licach. Leon X to człowiek inny, o tyle tylko do *quattrocenta* należący, o ile Florencja i dwór ojca jego, Wspaniałego Lorenza, wiek swój wyprzedziły. W jego rysach znać już jakby znamię epigona, miękkość i pewne znużenie: wysoki, ale otyły, z dużą na krótkim karku osadzoną głową o zarumienionych policzkach i oczach z pod obrzękłych powiek na wierzch wysadzonych, a tak krótkowidzących, że zawsze szkła powiększającego używać musiał, z orlim nosem i o ustach wydętych, które ogólnemu wyrazowi słodyczy dodawały cechę pewnej wyniosłości — oto jak go nam przedstawiają portrety, słynna kamea ze zbiorów w Uffizi i opisy współczesne. Do tych opisów dodać należy piękną, białą rękę, o którą dbał, i na którą, jak mówi jeden ze współczesnych kronikarzy, »często nie bez zadowolenia« — *saepius haud sine voluptate* — spoglądał.

Wychowany na dworze ojca wśród zbytku rozkoszy umysłowych pod okiem Angela Poliziana — *politissimi illius Politiani*, jak go Erazm Rotterdamski nazywa, — upatrywał on w pewnym duchowym sybarytyzmie treść i zadanie życia, a w następstwie poniekąd i cel papiestwa w tem, aby głowa Kościoła była przedewszystkiem głową umysłowego rozwoju, pierwszym mecenasem nauk i sztuki. Do świetności rzymskiej wnosił wdzięk atmosfery florenckiej i w wytwarzaniu jej wokoło siebie był prawdziwym mistrzem. *Curis animique doloribus quacunque ratione aditum intercludere* — troskom i boleści nie dawać dostępu — to było wedle nieporównanej, choć cierpkiej charakterystyki tak zwanego Anonima Watykańskiego, głównem i ciągłem jego staraniem. Własną swobodę lubił zaś przeszczepiać w drugich i stąd, jak mówi ten

sam świadek, nigdy nikogo »bez nadziei« odprawić, nigdy nikomu odmowy dać nie zdołał. Co innego, że się nieraz na obietnicy kończyło, której niedotrzymanie przysparzało mu nieprzyjaciół. Łagodziła to wielka, zbytnia, bo do zupełnego roztrwonienia skarbu papieskiego prowadząca hojność i legendarną była owa purpurowa sakiewka, której papież nie wypuszczał z ręki, rozdzielając tak szczodrze złoto, że, jak Francesco Vettori mówił, »łatwiej było kamieniowi podlecieć w górę, niż dukatowi ostać się w ręku papieskiem«. Ale magnes ten przyciągał wszystko, co w ówczesnych Włoszech błyszczało nauką lub talentem, i stwarzał ten wspaniały Leonowy dwór, jakiemu równego świat nie znał.

Opisywać go nie tu miejsce, lecz dość wspomnieć, że na czele tego dworu i w najbliższem otoczeniu papieskiem stali: dowcipny Bibbiena, świetny Pietro Bembo, uczony Sadoleto, zręczny dyplomata Lodovico di Canossa, rozpoczynający właśnie swą karjerę literacką czy dziennikarską zjadliwy Aretino, a dalej bibljotekarze watykańscy, zrazu Fedra Inghirami, potem młodszy Beroaldo, archiwarjusz Acciajuoli, historyk Paolo Giovio, powołany do reformowania *Sapienzy* filozof Nifo, i cała zgraja poetów, jak Trissino, Ruccellai, Silvestri, improwizatorów, jak Marone, Brandolini, Querno, mniejszych lub większych wieszczów i wieszczków, których w samym Rzymie liczono do stu dwudziestu, a którzy znając dobrze medyceuszowskie rozmiłowanie Leona X w literaturze, nie wychodzili z pałacu i, jak świadczą współcześni, z nieubłaganem natręctwem wciskali się za papieżem do kościoła i ogrodów, do sal i do komnat prywatnych. Przelotnie pojawiał się wśród tej zgrai wielki Ariosto. Częściej przybywał w poselstwie z Mantuy wykwintny autor *Cortegiana*, Baltazar Castiglione, to znów naprzemian w poselstwie cesarskiem lub francuskiem, dostojny uczeń Alda Manuzia, Alberto Pio z Carpi; kilkakrotnie odwiedzała Rzym najrozumniejsza pani owych czasów, urocza margrabina mantuańska Izabella d'Este Gonzaga, którą przyjmowano w Watykanie przedstawieniem pieprznej *Calandry* kardynała Bibbieny. Pod opieką i za przykładem papieża tworzyły się obok głównego centrum dworskiego życia pomniejsze środowiska,

skupiające uczonych i artystów wokoło mecenasów tej miary, co wspomniany właśnie Bibbiena, co Bindo Altoviti, któremu Michał Anioł darowywał kartony swych fresków w Sykstynie, co wreszcie ów wesoły założyciel »Farnesiny«, najświetniejszy typ bankiera z czasów Odrodzenia — *mercator curiam romanam sequens* — Agostino Chigi.

W dziedzinie sztuki charakterystycznym pozostanie stosunek Leona X do największego genjusza epoki, do Michała Anioła. Dziewięcioletnie rządy tego papieża znaczą się zupełnym prawie zastojem w twórczości mistrza. A nie można sobie tego wytłumaczyć samą tylko polityczną niechęcią czy nienawiścią, którą wielki florencki republikanin do Medyceuszów żywił, kiedy później, choć ze wstrętem, wspaniałe ich grobowce pod rozkazami drugiego papieża z ich rodu, Klemensa VII, wykonał. Ale to, co na opuszczającym zawsze w połowie każde zadanie i zawsze buntującym się artyście potrafiła wymóc Juljusza II surowa i żelazna, Klemensa VII sucha i rozkazująca dłoń, do tego nie zdołała nagiąć go nielubiąca przemocy, delikatna, biała ręka Leona X. Bo był on, zawsze według świadectwa Anonima Watykańskiego, *callliditate artibusque paternis ad deliniendos conciliandosque hominum animos instructus* — przebiegłością i odziedziczonemi po ojcu zdolnościami do przyswajania i podbijania sobie ludzi wprawny — a tą drogą nie trafiało się do Buonarottiego. Ci dwaj ludzie rozumieć, dostroić się do siebie nie mogli: apokaliptyczne Sybille ze stropu Sykstyny, to były prorokinie według pokroju i miary potężnego liguryjskiego papieża, — do wykwintnego papieża toskańskiego przemawiały wyraźniej, zrozumialej pełne harmonji i wdzięku wróżki z ponad łuków w Santa Maria della Pace.

Toteż rodzajem swego słonecznego genjuszu dostrajał się do Leona X najlepiej Rafael, którego talent nadaje istotne a promienne piętno epoce tego pontyfikatu. Lecz i on, wśród ogólnego przekształcenia czasu i ludzi pod wpływem papieża Medyceusza, sam się przekształcić musiał. Minęła epoka głębokich i transcendentalnych tworów sztuki z panowania Juljuszowego; ważniejszą od wewnętrznej światłości stawała się świetność zewnętrzna i po teologicznych i filozoficznych spekulacjach ze

Stanzy *Sygnatury*, snuły się teraz przystępniejsze, ale już bardziej dekoracyjne opowiadania symboliczno-historyczne w Stanzach dalszych, mitologiczne w willi Agostina Chigi, biblijne w arrazzach i Loggiach. W sztuce króluje malarstwo, a w malarstwie wszechwładnie Rafael z wesołą swoją drużyną uczniów; z nim wspólnie marzy papież o restauracji idealnej starożytnych ruin rzymskich, tem zadaniu, godnem medyceuszowskiej fantazji; jemu poleca na życzenie umierającego Bramantego dalszą budowę kościoła św. Piotra. Obok Rafaela i jego scholarów stoją zaś przy tronie papieskim, lub w pobliżu, zrazu przez kilka lat jeszcze Bramante i Giuliano da Sangallo, potem Antonio da Sangallo i Peruzzi, Sebastiano del Piombo, przelotnie Sodoma, Fra Bartolommeo, a dalej snycerze Fra Giovanni da Verona i Giovanni Barile, rytownik Marc-Antonio, złotnicy Rafaello del Moro, Caradosso, Antonio de Fabbri i całe szeregi głośniejszych, lub zapomnianych dziś mistrzów.

Wśród tego świetnego dworu, wśród błyszczącego orszaku uczonych, poetów i artystów, wśród miasta, zaludniającego się tak szybko, że wedle Paola Giovia liczba mieszkańców pomnożyła się w tych latach przeszło w dwójnasób, bo z czterdziestu na dziewięćdziesiąt tysięcy, rządził Leon X, wsparty na potędze pontyfikatu z jednej strony, a rodziny własnej z drugiej. Z niej stali obok niego najbliżej: brat stryjeczny, kardynał Giulio, późniejszy papież pod imieniem Klemensa VII, a za Leona X prawa jego ręka, powiernik i niemal współrządca; dalej brat rodzony, dobrotliwy Giuliano, ks. de Nemours, broniący się stale, choć niezawsze ze skutkiem, przeciw zbyt wygórowanym dla jego osoby ambicjom papieskim; dalej jeszcze bratowa, wdowa po Piotrze Medyceuszu, Alfonsyna z Orsinich, dumna i żądna władzy, a zlewająca ambicję obu potężnych rodzin, Medyceuszów i Orsinich, na głowę jedynego syna, młodszego Lorenza; wreszcie szwagier papieski, a syn Innocentego VIII, bogaty i gnuśny Franceschetto Cibo, zamłodu gracz zawołany, który jednej nocy czternaście tysięcy dukatów do kardynała Rafaella Riario przegrał, zaczem, coprawda, skargę do ojca o rzekome oszustwo ze strony Riaria wnosił. Dopełniali to rodzinne otoczenie papieża

LEON X. Z KARDYNAŁEM GIULIEM DE' MEDICI (na lewo)
i LUIGIM DE' ROSSI (na prawo).

Portret Rafaela w Galerji Pitti we Florencji.

czterej kardynałowie siostrzeńcy: Salviati, de Rossi, Cibo i Ridolfi. Za tą bliższą rodziną papieską nadciągała zaś z ponad Arna nad Tyber coraz liczniejsza klientela Medyceuszowska, zastępy Florentczyków, których dawny toskański *gran disio dell' eccellenza* ze spowszedniałym teraz apetytem gnał ku otwartej zawsze, purpurowej sakiewce panującego ziomka. Toteż Leon X powtarzał nieraz, że z tylu Florentczyków tylko dwóch go nigdy o nic dla siebie nie prosiło, ale w zamian polecało mu dobro ojczystego miasta, a mianowicie mędrzec i błazen: osiadły na łasce papieskiej w Rzymie były *gonfaloniere* wolnej rzeczpospolitej florenckiej Pier Soderini, i Maestro Antonio Carafulla, jeden z licznych błaznów nadwornych.

Florencja i tradycje rodzinne wytwarzały też dwoistość polityki Leona X, sprawiały, że był on głośno i otwarcie panem papiestwa i Rzymu, a pocichu i z ukrycia także władcą medyceuszowskiej Florencji. Stąd nepotyzm jego, z którego mu mianowicie współcześni nieprzyjaciele Medyceuszów ostry czynić zwykli zarzut, różnił się zupełnie od tego, jakiego ślady zostawił nam wiek XV. Wówczas, jak za Sykstusa IV lub Aleksandra VI, chodziło papieżom o stworzenie niepodległych księstw dla krewnych i rodu. Wytłumaczeniem, oczywiście do pewnego tylko stopnia, mogła być atmosfera, w której ci papieże żyli. Wśród tych różnorodnych zawiści i sporów tyranów włoskich, wśród ciągłych zdrad i starć pomiędzy nimi, zrozumiałem jest, jeżeli nie naturalnem, że pojedynczy władcy, a więc i ci papieże, tylko na swoich najbliższych polegać mogli i w wywyższaniu ich tarczy dla siebie szukali. Leon X miał cel inny: nie chodziło mu o stworzenie nowych, lecz o wznowienie dawnych, przerwanych od wyprawy Karola VIII na Włochy rządów medyceuszowskich we Florencji. Celu tego dopiął i dzierżyli z kolei za jego wpływem władzę nad Arnem to brat Giuliano, to bratanek Lorenzo, to wreszcie kardynał Giulio, a rządy te były jedyne w swoim rodzaju, jakie tylko stworzyć, jakim tylko podołać mogła subtelna przebiegłość tego rodu: bo rządzący nie mieli oficjalnej władzy i rodzinną tradycją używali niby tylko w rzeczpospolitej prymatu *inter pares*, a ponad nimi i przez nich rządził w istocie, ale znów nie ofi-

cjalnie, tylko jakby z poza zasłony, sam papież. Epizod urbinacki, a mianowicie wypędzenie Francesca Marji della Rovere, dziedzica Montefeltrów, z Urbino, i nadanie tego lenna przez papieża bratankowi, za zbyt wielką także Leonowi X poczytywano nieraz winę. Prawda, że rodzina Montefeltrów zasłużyła sobie była na wdzięczność Medyceuszów, przyjmując ich w czasie ich wygnania i goszcząc w Urbino, ale Francesco Marja był lennikiem, na którym polegać było niepodobna, i dzieje jego od zamordowania kardynała Alidosi w Rawennie, aż do dwuznacznej roli w czasie *Sacco di Roma*, świadczą owszem o przenikliwości Leona X, który się takiego wasala chciał pozbyć.

Zresztą ambicje rodzinne Leona X skierowane były zczasem tylko ku Florencji i nie przynosiły ujmy Państwu Kościelnemu, a sądząc po ludzku, dziwić się nie można, że syn wielkiego Lorenza, prawnuk »ojca ojczyzny« Cosima, dbał o wielkość florenckich Medyceuszów. Same zaś potęgi nepotów były zjawiskiem krótkotrwałem, jak błysk fajerwerku; po śmierci Sykstusa IV rozbiła się w puch potęga Riariów, z których jeden, kardynał Pietro, nosił się podobno z szaloną myślą stworzenia dziedzicznego papiestwa w swoim rodzie, a drugi, Girolamo, był nikczemnym podżegaczem w sprzysiężeniu Pazzich. Równie nagle i prędko runął gmach, wznoszony kosztem tylu i takich ofiar przez Borgiów. I wokoło Leona X robiło się pod koniec pusto. Śmierć kosiła nielitościwie, niwecząc wszystkie nadzieje papieskie. Odumierali go z kolei i brat Giuliano i bratanek Lorenzo, owi dwaj *capitani* z grobowców florenckich, unieśmiertelnieni ponad zasługę krótkich względnie żywotów dłutem Michała Anioła. Dla młodszej, bocznej linji Medyceuszów, która później wydała granduków toskańskich, nie miał papież gorętszych uczuć ani ambitnych widoków. Toteż pod koniec panowania stał sam, jako ostatni prawy potomek głównej gałęzi rodu, idącej od starego Cosima, a przy nim została się już tylko maleńka *duchessina*, jak ją dwór papieski nazywał, po śmierci rodziców z Florencji do Rzymu przewieziona sierota, która zczasem miała się stać tak ważną kartą w grze politycznej Klemensa VII i z kolei odegrać sama tak wielką rolę jako królowa francuska, Katarzyna Medycejska.

Rozwianiem niejednej osobistej nadziei kończyła się więc polityka Leona X wobec rodzinnego miasta, ale nie bankructwem, bo supremację swą nad Florencją zdołał utrzymać do końca. Większe atoli były jego powodzenia w dziedzinie polityki państwa papieskiego. Polityka ta była wręcz inną, aniżeli owa, którą poprzednik jego wskrzesił niemal i umocnił państwo papieskie. Siłę i oręż Juljusza II zastępował Leon X dyplomacją i kompromisem. Wychowany w tradycji przyjaźni z Hiszpanją, za której czynną pomocą zdobywał niegdyś Florencję, zdołał wczas stłumić osobiste sympatje, kiedy wschodząca gwiazda Franciszka I upewniła na pewien czas we Włoszech przewagę wpływów francuskich. Bitwa pod Marignano stała się na kilka lat busolą polityki papieskiej, lecz znów tylko do chwili wyboru Karola V cesarzem. Zorjentować się wobec tych zmian tronu nie było łatwo; ustępowali z widowni przebiegły a wytrwały Ludwik XII we Francji, zmienny i nieobliczalny Maksymiljan I w Cesarstwie. Teraz role były odwrotne: tam rządzić miał awanturniczy często, fantastyczny zawsze Franciszek I, tu zimny, wyrachowany, nieubłaganie konsekwentny Karol V. A były to dopiero ich rządów początki i potrzeba było wielkiej znajomości ludzi, żeby się na kilka lat przed bitwą pod Pawją, między tymi młodzieńcami o wielkich, a żadnym czynem jeszcze nieokreślonych ambicjach, rozeznać. Bo jest to znów znamiennem dla owej epoki tak pełnych w treść, choć tak krótkich w lata żywotów, że zaledwie czterdziestokilkoletni papież stał w tym pamiętnym wyborem nowego cesarza roku 1519 wobec dwudziestosiedmioletniego Henryka VIII w Anglji, dwudziestopięcioletniego Franciszka I we Francji i dziewiętnastoletniego Karola w Hiszpanji i w Niemczech. Czy Karol V marzył w tych młodych latach o stworzeniu światowego imperjum ze stolicą w Rzymie, to sprawdzić trudno; ale Leon X zrozumiał odrazu, czem będzie wpływ na losy świata pana, rządzącego równocześnie w Saragossie i w Wiedniu, w Valladolid i w Brukselli, w Neapolu i w nowym, złotodajnym świecie; zrozumiał również, jakiem narzędziem stać się może w tem bezwzględnem cesarskiem ręku broń kuta przez zbuntowanego mnicha z północy, i odrazu, bez wahania, z tą giętką naturą

swego rodu, przerzucił się na stronę austrjackiego domu. Toteż wypędzenie Francuzów z Lombardji przez złączone wojska hiszpańskie i papieskie, na których czele stał ten sam kardynał Giulio, który później jako Klemens VII tak nieopatrznie i z taką dla siebie i Rzymu szkodą od przymierza z cesarzem odstąpił, było ostatniem wielkiem powodzeniem Leona X, nagrodzonem mu zwrotem Parmy i Piacenzy we Włoszech, obłożeniem banicją Lutra na sejmie w Wormacji. Jak doniosłem to było w danej chwili zdarzeniem, o tem świadczy choćby już to, że wielu współczesnych przypisywało niespodzianą, nagłą prawie śmierć papieża nadmiernej radości, doznanej na wieść o wkroczeniu sprzymierzonych wojsk do Medjolanu.

Że Leon X nici wielkiej, szerszej polityki we własnem trzymał ręku, tego dowodzi nieszczęsne ich powikłanie zaraz po jego zgonie. Dorósł on był całkiem do politycznych zadań swych czasów, nie dorósł niestety do moralnych ich zagadnień. Mimo zboczeń niektórych członków tego rodu, mimo zapędów zbyt śmiałych w dziedzinę śliskiej nieraz filozofji, były przecież te szerokie natury Medyceuszów w gruncie prawowierne i religijne. Pamiętnym jest zgon wielkiego Lorenza w uroczej willi w Careggi, kiedy przeczuwając zbliżający się koniec, dźwignąć się kazał ze śmiertelnej pościeli, aby w otoczeniu całego dworu, z największą pokorą na klęczkach przyjąć wiatyk. Na krótko przed śmiercią słał on zaś do młodziutkiego naówczas, przyszłego Leona X, który po raz pierwszy krzesło swe w kolegjum kardynalskiem miał zająć, ów słynny list, pełen mądrych, budujących rad i wskazówek. Inny z tego pisma przemawia Lorenzo, aniżeli ten, z którym nas zapoznają jego *Canzony* i *Canti carnascialeschi*. »Dzisiaj — pisał ojciec — poświęciłem cię zupełnie Bogu i Kościołowi świętemu, a więc pamiętaj, żebyś uczciwym zawsze był kapłanem«. Rady tej syn usłuchał, i uderzającem jest, jak w tej epoce powszechnego rozluźnienia obyczajowego z jednej strony, a inwektyw i oszczerstw z drugiej, współcześni, z wyjątkiem notorycznych pamflecistów, przyznają mu chętnie zupełną czystość obyczajów, pobożność i ducha miłosierdzia. Był on nawet zdolny do poświęceń swego powołania, jak n. p. na polu bitwy pod Rawenną,

gdzie jako legat Juljusza II przez cały dzień stał w pośrodku walki, krzepiąc rannych i pocieszając umierających, lub kiedy w czasie strasznej rzezi w Prato ratował i zasłaniał własną osobą nieszczęśliwe ofiary gwałtów hiszpańskich. Potem, jako papież, pilnie co dnia mszy św. słuchał, trzy razy w tydzień pościł, strzegł gorliwie powagi i dostojności obrzędów kościelnych. Minęły i skończyły się czasy, kiedy młoda Lukrecja Borgia i bratowa jej Sancia Arragońska swywolnem zachowaniem gorszyły wiernych w czasie ceremonij, odprawianych przez Aleksandra VI w bazylice św. Piotra, lub kiedy Cezar Borgia pod bokiem, a według innych nawet pod okiem ojca wyprawiał osławione uczty i tańce w Watykanie. Na dworze Leona X nie było kobiet, a charakterystycznym jest pod tym względem naiwny okrzyk Bibbieny w liście, pisanym na wiadomość o zapowiedzianem osiedleniu się w Rzymie Giuliana Medyceusza z młodą małżonką, Filibertą Sabaudzką; »Bogu bądź za to chwała, bo na niczem nam tu zresztą nie zbywa, ale brak nam pań na naszym dworze«.

Postęp ten istotny mógł był przecież tylko wystarczyć w czasach spokojnych, normalnych, ale wystarczyć nie mógł w chwili, kiedy Kościół i społeczeństwo chrześcijańskie domagały się głębszej i radykalniejszej naprawy. Zanim ją przyniósł Sobór Trydencki musiały jeszcze ten Kościół i to społeczeństwo najcięższe przebyć katastrofy i najboleśniejszego dożyć rozdarcia, a Leona X charakter nie nadawał się do tego, żeby klęskę odeprzeć, lub przynajmniej uzbroić siebie i drugich w hart na chwilę starcia. Bo najtrafniej go oceniał Marco Minio, jeden z tych cichych weneckich posłów, którzy na obcych dworach otwierali oczy, nadstawiali ucha, wnikali we wszystko, rozeznawali się wszędzie i z mrówczą pilnością sporządzali owe najdokładniejsze relacje, podstawę tradycyjnej wszechwiedzy rzeczpospolitej weneckiej: *Il papa e docto e amador di docti, ben religioso, ma vuol vivere.* I rzeczywiście ten papież, »uczony i przyjaciel uczonych, pobożny ale chcący używać życia«, nie mógł się dostroić do zadań chwili, nie chciał czy nie zdołał spostrzec, że na tej niwie, przeoranej przez humanistów, chwasty zaduszały zwolna zdrowe ziarno, rozsiane przez pierwszych, prawdziwych odnowicieli świata z *tre-*

centa, że ci, których zadaniem było zdrowy napój podawać spragnionym, zamiast czerpać z odnalezionego źródła starożytności tylko to, co w niej tkwi zawsze zapładniającej prawdy i piękna na kordjał i podnietę życia, jęli zeń czerpać wszystko, bez wyboru i bez wyjątku, na samąż tego życia treść. Mściło się teraz wielkie złudzenie XV wieku: trup odgrzebany wskrzesić się już nie dał i przechodził w zgniliznę. W wyższych warstwach objawiała się ta zgnilizna w wyszydzaniu prawd świętych i bluźnierstwie, które się stały niejako kanonem dobrego tonu, w niższych zaś tak dalekim powrotem do zabobonów, że w rok śmierci Leona X, a w przeddzień wyboru jego następcy, lud rzymski dla odwrócenia zarazy wyprawił na Forum hekatombę i w pogańskiej ofierze zarżnięto na ołtarzu byka. Na górze i na dole wiał duch pogański, jak żeby na hasło ostatniego buntu, wydane przez wykopywanych z pod gruzów świątyń bogów starego Olimpu.

Niesprawiedliwemi przecież są te sądy, które ówczesne w świecie zepsucie na Włochy i Rzym ograniczyć pragną. Było ono powszechne, tylko się gdzieindziej w grubszych jeszcze przejawiało formach, a na zarzut monopolizowania korupcji w Rzymie, odpowiada już dosadnio Ambroży Gumppenberg, Bawarczyk z rodu, a protonotarjusz apostolski przy Kurji rzymskiej za Klemensa VII, który z pewnością równie dobrze znał Włochy, jak swe Niemcy rodzinne, a którego cenną kronikę o wypadkach r. 1527 niejednokrotnie nam jeszcze w ciągu tego opowiadania przytoczyć przyjdzie: Jeżeliby złe wszystko w Rzymie się tylko znajdować i z Rzymu wychodzić miało, »skądże się natenczas — pyta — biorą ci wielcy hultaje i łajdaki w Niemczech, którzy przecież Rzymu i Włochów nie widzieli na oczy, i gdzież się oni zaprawili do wszystkich swych bezeceństw, pijaństwa, rozpusty?« »Pod osłoną wolności ewangelicznej — pisał ze swej strony w r. 1523, a więc już po wybuchu Reformacji, Erazm Rotterdamski — szukają tu, na północy, jedni bezmyślnej swobody, aby cielesnym chuciom dogadzać, inni spoglądają pożądliwie na dobra kościelne, inni znowu puszczają wszystko na trunki, gry i rozpusty, obiecując sobie ratunek w rabunku«. A już najbardziej chyba niepodejrzanym świadkiem jest sam Luter, który w tymże

roku 1523 pisał w Niemczech, że »siedzi tam jak w Sodomie, Gomorze i Babilonie«, a później w pamiętnym dodawał zwrocie, że »nasi ewangelicy są siedm razy gorsi, aniżeli byli przedtem, bo nauczywszy się Ewangelji, kradniemy, kłamiemy, oszukujemy, oddajemy się obżarstwu, opilstwu i wszelkim sprosnościom«.

Włochy nie były więc w tej epoce z pewnością wyjątkiem, a wina Rzymu leżała tylko w tem, że nie umiejąc być przykładem, nie potrafił nieść lekarstwa. Dwór papieski, niezdolny do położenia tamy rozpierającym prądom, musiał z niemi płynąć, stawał się coraz bardziej świecki, albo stwarzał najdziwaczniejszą mieszaninę świeckiego i duchownego pierwiastku. Drobny epizod maluje nieraz najtrafniej ducha czasu i działających w nim ludzi. Takiego epizodu opis znajdujemy w liście, przesłanym w roku 1519 z Rzymu przez ferraryjskiego posła Paulucciego księciu Alfonsowi d'Este: U Kardynała Cibo w Zamku św. Anioła, według innej wersji u samego papieża w Watykanie, grano komedję Ariosta *I Suppositi;* dekoracje malowane były przez Rafaela, świeczniki ustawione w litery, składające napis *Leo X pont. max.* »Wstęp — pisze Paulucci — ułatwił mi kardynał Rangone; papież z młodszymi kardynałami przechadzał się w przedsionku, dozwalając wpuszczać tych gości, których chciał widzieć. Kiedyśmy pocichu przechodzili ku sali, w której się przedstawienie odbyć miało, stanęła Jego Świętobliwość we drzwiach, udzielając nam błogosławieństwa; gdy się już sala wypełniła, wszedł na końcu papież i zajął miejsce na podwyższeniu pomiędzy kardynałami i posłami zagranicznymi«. To błogosławieństwo, udzielane na przybie teatru Ariosta, głębiej daje wniknąć w epokę i w jej obyczaj, niż całe, długie tomy.

Teatr, polowanie, szachy, improwizacje lub muzyka wypełniały chwile wczasu tego świetnego mecenasa, który świadectwem Fracastora

Dulcia jam profugas revocavit ad otia Musas.

Na polowanie jeździł on w okolicę Viterbo, lub pod Corneto, gdzie go wspaniale podejmował kardynał Farnese, albo jeszcze do bliższej swej willi nad drogą Ostyjską, Magliany. Tam na-

wpół po świecku, nawpół po duchownemu przybrany w krótki purpurowy płaszcz, z czarnym, hiszpańskim kapeluszem na głowie, ale ku wielkiemu zgorszeniu mistrza ceremonji Parisa de Grassis »bez stuły i komży«, a natomiast »z butami na nogach«, dosiadał konia i ruszał na łowy. W Rzymie inaczej schodziły *otia*. Wypełniały je ulubiona gra w szachy, oglądanie nowych obrazów nadwornych malarzy albo starej jakiej, z pod rumowisk świeżo odgrzebanej rzeźby lub medalu. Taką chwilę wczasu uwiecznił Rafael, przedstawiając w znanym portrecie papieża ze szkiełkiem w ręku nad zdobnym w minjatury kodeksem, a zamiłowanie to medyceuszowskie do starych ksiąg znać musiał dobrze historyk wenecki Navagero, kiedy wzywając Leona X w przedmowie jednego ze swych dzieł do krucjaty, kusił go i nęcił skarbami starożytnych rękopisów, które mu tajemniczy Wschód otworzy.

Wieczorem cały swój świetny dwór gromadził często papież przy uczcie. Sam wstrzemięźliwy w jadle i napoju, drugich podejmował suto i wystawnie. Ale były to przedewszystkiem uczty duchowe, prawdziwe sympozjony starożytne: roztrząsano tam tezy religijne i filozoficzne, poeci czytali swoje utwory, innych dostojny amfitrjon wyzywał na improwizacje, sam nieraz zapuszczając się w klasycznej łacinie w skandowany z nimi djalog. Udany utwór na miejscu wynagradzanym bywał hojnie; nieudany karano czasem doraźną chłostą. A był Leon X i w tem do ojca swego Lorenza podobny, że nie gardził ulubionemi w owej epoce »facecjami« a nawet grubym i pospolitym żartem, i w tym celu musiało być zawsze u dworu kilku trefnisiów, którzy do poważniejszych dyskursów lub improwizacyj dorzucali źdźbło błazeńskiej soli, nieraz pieprzu. Największą też uciechą bywało pojawienie się w tem gronie jakiego bardzo nieudolnego a pewnego siebie wierszoklety, jak n. p. owego opata z Gaety, Barabella, któremu obiecano uwieńczenie na Kapitolu: na białym słoniu, darowanym papieżowi przez Emmanuela Portugalskiego, ruszył zmistyfikowany wieszczek w dziwacznym napół starożytnym stroju z dziedzińca watykańskiego na Kapitol, ale już na moście św. Anioła wystraszony dźwiękiem trąb i okrzykami rozbawionych

tłumów słoń stanął i iść dalej nie chciał. Pamięć tej buffonady, opisanej szeroko przez Paola Giovia, uwiecznioną jest w intarsji na drzwiach, prowadzących ze Stanzy Sygnatury do sąsiedniej Heljodora.

Z wszystkich atoli sztuk najbardziej kochał Leon X muzykę. Toteż nadwornym jego muzykantom dobrze się działo: Giovan Maria, którego portret rozpoznają niektórzy w pięknym *Wiolonišcie* z galerji Sciarra, otrzymał tytuł hrabiowski i miasteczko w darze; inny, Jacopo Sansecondo, nie mniej hojnie nagradzany, służyć miał za model do Apollina z *Parnasu* Rafaela w Stanzach. Wieczorem po uczcie, rozpoczynały się śpiewy, przygrywali muzykanci i, jak opowiada przytaczany już przez nas kilkakrotnie Anonim Watykański, »dźwiękami cały rozbrzmiewał pałac, a papieża słodycz tych tonów tak przejmowała, że aż omdlewać się zdawał i nieraz półgłosem sam wtórował pieśni«. Może nucił tę canzonę ojca swego Lorenza, tak znamienną dla filozofji każdej obumierającej, a więc i własnej epoki, kończącą się zwrotką:

Chi vuol esser lieto, sia,
Di doman non c'è certezza.

»Kto chce wesołym być, niech nim będzie, bo jutro nasze niepewne«.

I rzeczywiście niepewnem było jutro po tym rozkosznym i pogodnym wieczorze Odrodzenia pod »słodkiem jarzmem« — *suave jugum* — które papież Medyceusz przyjął za godło, wśród tych kołyszących dźwięków zamykającego się okresu i świata ustępującego z widowni, któremi »cały rozbrzmiewał pałac«, a które wreszcie zgłuszyć miało, nagle i na zawsze, złowrogie stukanie młotka, przybijającego tezy protestu na bramie nadwornego kościoła w Wittenbergu.

III.

Młodość Giulia de Medici.

»Na głębokość miłosierdzia Bożego i krew Odkupiciela« zaklinał Leon X Lutra w bulli *Exsurge Domine*, aby nie zrywał jedności kościelnej. Reformacyjnego ruchu od samego początku nie lekceważył on sobie. »Papież — pisał w r. 1521 Baltazar Castiglione — jest bardzo poruszony sprawą Marcina Lutra, której wielką przypisuje doniosłość«. Doniosłość tę tłumaczył mu znający dobrze naturę niemiecką stary cesarz Maks, który od pierwszego protestu buntującego się Augustjanina przeczuł, że nie chodziło tu o zwykły teologiczny spór, jakich w średnich wiekach nie brakło, ale o istotną zapowiedź groźnego przełomu i rozdarcia. Wprawdzie jako dawny współzawodnik Juljusza II, a od bitwy pod Marignano i rozwielmożnienia się wpływów francuskich we Włoszech także i z Leonem X w zimnych pozostający stosunkach, nie przeoczał on jednak praktycznych korzyści, jakieby mu Luter, użyty za narzędzie polityczne, mógł w razie danym przynieść. W tym duchu polecał go nawet kurfürstowi saskiemu, ze znamiennym dodatkiem, »że go kiedyś może użyć przyjdzie«. Niemniej jednak lojalnie ostrzegał głowę Kościoła, że jeżeli się nie uda złego zdusić w zarodku, to »wnet w miejsce starych prawd zbawienia staną osobiste pojedynczych ludzi opinje«.

Dla pojęć włoskich, a w dodatku dla wspomnień medyceuszowskich, nie mogło to być równie zrozumiałem. W naturze Włocha leżało, a pono i dziś leży, przyjmowanie ryczałtowe dogmatów, jako rzeczy nienaruszalnej, niepodlegającej badaniu

i sądom, rzeczy, dającej się w zboczeniu obejść, nigdy zaprzeczyć; nie znano we Włoszech podatności ówczesnej północnej ziemi dla wszelkiego nowatorstwa, wynikającej nietylko z wrodzonej skłonności do krytyki i z bezwzględnej osobistej dumy Niemca, ale i z antyromańskiej nawskróś cechy nowej nauki. U Medyceusza odzywać się musiało ponadto wspomnienie z lat młodzieńczych szybkiego względnie zgaszenia pożaru, który wzniecila u schyłku XV wieku we Florencji płomienna wymowa wielkiego Dominikanina z klasztoru San Marco. Tylko tam z popiołami stosu, na którym spłonął Savonarola, rozwiała się, może na szkodę Kościoła, i sama jego myśl; tu iskry z ogniska, na którem 10 grudnia 1520 r. spalił Luter w Wittenbergu bullę papieską, buchały dokoła, niecąc coraz szerzej pożogę. Były one zaś jakby zarzewiem tego ognia, który miał w kilka zaledwie lat później spaść na Wieczne Miasto i którym już w tem zaraniu nowego ruchu groził posępny rycerz Reformacji, Ulryk von Hutten, nawołując, »aby natychmiast zbiegać się zewsząd, siodłać konie i ruszać z mieczem i z ogniem na Rzym«.

Jakikolwiek był zresztą stosunek Leona X do Reformacji, a mimo twierdzenia podejrzanego skądinąd w tej mierze świadka, bo Erazma Rotterdamskiego, że rzeczy byłyby z pewnością pomyślniejszy wzięły obrót, gdyby się papież własnym był tylko instynktem kierował, — to niemniej zawsze zakrawać będzie na ironję losu, a jest właściwie tragedją historji i jej nieprzewidzianych zwrotów, że ostatnim chyba aktem tych rządów było wydanie bulli, przesłanej już po zgonie papieskim Henrykowi VIII, a nadającej mu zachowane po dziś dzień w tytulaturze królów angielskich miano »obrońcy wiary«.

Wiara ta w chwili śmierci Leona X na wszystkich niemal punktach zachwianą lub zagrożoną była: na Północy szerzącą się Reformacją, na Wschodzie postępami Turków, pod których naparciem runąć miały właśnie dwie najdalej wysunięte strażnice chrześcijaństwa, Belgrad i Rodus, we Włoszech wreszcie zatrutemi owocami zwyrodniałego humanizmu. Z drugiej strony wzrastające współzawodnictwo Karola V i Franciszka I przyspieszało z dniem każdym ostateczne rozegranie się sprawy pomiędzy nimi,

teatrem zaś, a co więcej stawką w tej grze, miały być znów Włochy. Wrodzonemu szczęściu pierwszego Medyceusza na Stolicy Apostolskiej przypisać więc należy, że schodził on z widowni wśród powodzeń polityki swej, coprawda na krótką obliczonej metę, ale zawsze przed katastrofą. Tem cięższym zato był spadek, który pozostawiał stryjecznemu bratu, Klemensowi VII.

Rządy Hadrjana VI były bowiem tylko krótkim epizodem, dzielącym panowania obu Medyceuszów. Nieobecny na *conclave* po śmierci Leona X, Hadrjan z Utrechtu, kardynał Tortosy, dawny preceptor Karola V, ani pragnął, ani się spodziewał takiego wywyższenia. Wybór padł na niego za sprawą kardynała Medyceusza, który widząc, że własnego wyboru nie przeprowadzi, bo kardynałowie nie dadzą się nakłonić do stworzenia ciągłości rządu w jednym i tym samym rodzie, chciał przynajmniej mieć papieża z własnej poręki. Hadrjan VI był zresztą tej najwyższej godności najgodniejszy. Uczony, bogobojny, poważny i najczystszych obyczajów, miał on też w całej pełni poczucie wzniosłych swoich zadań. A pomimo tego, może zaś właśnie dlatego, zawiódł wszystkich: zawiódł Karola V, który sobie obiecywał znaleźć w nim, dawnym swym nauczycielu, powolne własnej polityki narzędzie, a znalazł osobistość niezawisłą, bezstronną, szukającą przedewszystkiem spokoju w chrześcijaństwie dla zwalczania Lutra w Niemczech, Turków na wschodzie; zawiódł Franciszka I, nie chcąc w niczem popierać awanturniczej jego polityki, szczególniej gdy po wzięciu Rodu przez Solimana wiecznie ze strony francuskiej wznawiane pretensje o Lombardję udaremniły plan papieski, pokoju i krucjaty. Na tle tych projektów u schyłku krótkiego pontyfikatu wyszedł nawet Hadrjan z pośredniej swej roli i połączył się otwarcie z cesarzem, grożąc królowi cenzurami kościelnemi. Pamiętną jest odpowiedź Franciszka I na tę groźbę z hardem przypomnieniem dramatu z Anagni: *Pape Boniface l'entreprit contre Philippe le Bel, dont se trouva mal, vous y penserez par votre prudence.*

Ale największym zawodem był ten pontyfikat dla Rzymian. Człowiek obcy, północny, *un barbaro*, jak takiego cudzoziemca pogardliwie zwano, wzniecał zawistną niechęć. Już w samym po-

czątku, po ogłoszeniu wyboru, kardynałowie kryć się musieli, aby się uchronić przed gniewem ludu; gniew ten podżegały odtąd ciągle satyry humanistów, rozpędzonych na cztery wiatry, dworaków, wygnanych z opustoszałego Watykanu, wszystkich pasorzytów z epoki Leonowej, nie mających racji bytu przy rządnym, oszczędnym nowym papieżu, którego skromne gospodarstwo prowadziła stara flamandzka sługa. Taki papież o cnotach prostych, gustach powszednich, a żywocie twardym, który w nocy zrywał się z posłania dla odmawiania oficjów, w dzień stronił chętnie przed ludźmi, aby się oddawać w samotnem zaciszu ulubionym teologicznym studjom, który z dwunastu wejść do Belwederu jedenaście zamknął, a klucz od dwunastego zawsze przy sobie nosił, nie mógł być po myśli ani wedle smaku ówczesnych Rzymian. Toteż panowanie jego obramowali oni niejako w dwa ostre dowcipy, pisząc w dzień wyboru, a w przekonaniu, że obcy elekt rezydencję jak za awinjońskich czasów zagranicę przeniesie, na murach Watykanu: *Roma est locanda* — Rzym jest do wynajęcia — strojąc zaś w dzień zgonu papieża mieszkanie przybocznego jego lekarza wieńcami i napisem: *Liberatori patriae S. P. Q. R.* Była to jakoby zemsta ulubionego w Rzymie Pasquina, owego tajemniczego fragmentu posągu, który służył do ogłaszania bezimiennego najzjadliwszych napaści, a który Hadrjan VI zamyślał podobno utopić lub spalić.

Z chwilą śmierci Hadrjana uznał kardynał Giulio, że teraz stanowczo nadeszła na niego kolej, aby wyjść z drugorzędnej roli i na pierwsze wysunąć się miejsce. Parły go ku temu nietylko tradycje rodzinne i ambicja medyceuszowska, ale i niezaprzeczalne osobiste zdolności. Giulio de Medici był bratankiem wielkiego Lorenza, a synem owego Giuliana, który 26 kwietnia 1478 r. padł w tumie florenckim, zasztyletowany przez Francesca de Pazzi. Matką jego była dziewczyna ubogiego rodu, Fioretta z Borgo Pinti pod Florencją. Dokładnego roku urodzenia Giulia dojść trudno. Według jednych przyszedł on na świat w r. 1477, a więc przed śmiercią ojca, wedle drugich był pogrobowcem. Tyle wiadomo, że miasto wrzało jeszcze pod świeżem wrażeniem sprzysiężenia Pazzich, a stronnictwo Medyceuszów mściło

w krwawym odwecie śmierć ulubionego Giuliana, kiedy matce jego, Lukrecji z Tornabuonich, doniesiono, że tuż pod Florencją żyje niemowlę, będące dzieckiem zamordowanego jej syna. Na jej prośby sam Lorenzo ruszył do Borgo Pinti po małego bratanka, który odtąd chował się pod troskliwą pieczą stryja, a wespół z równoletnim jego drugim synem, Janem, późniejszym Leonem X. Odtąd też egzystencje ich splotły się jak najściślej, ale po szczęśliwem dzieciństwie miały nadejść niebawem burzliwe lata pierwszych wypraw francuskich na Włochy i wygnania Medyceuszów z Florencji. Młody Giulio dzielił tułactwo rodziny, goszcząc z nią naprzemian to u Bentivogliów w Bolonji, to u Orsinich w Pitigliano, to wreszcie w Citta di Castello u Vitellich. Po trzykroć próbowali wygnańcy wrócić do Florencji, aby odzyskać władzę; usiłowania te, w których Giulio brał czynny udział, były daremne, a wnet przerzucenie się Aleksandra VI na stronę francuską i zawarcie razem z Ludwikiem XII i Wenecją ligi z nowym rządem rzeczypospolitej florenckiej stało się jakoby oficjalnem uznaniem tego rządu i takiem dla niego poparciem, że narazie rozwiać się musiały nadzieje Medyceuszów rychłego powrotu do Florencji.

W najtrudniejszem położeniu z wszystkich członków rodziny znalazł się w owej chwili późniejszy Leon X, naówczas młodociany kardynał de'Medici: zależność od papieża, pogodzonego z nowym porządkiem rzeczy we Florencji, stawała się nader uciążliwą, a wobec wzrastającego wpływu i daleko sięgających ambicyj Cezara Borgii, nawet niebezpieczną. Wespół z bratem stryjecznym, Giuliem, postanowili więc narazie porzucić Włochy i puścić się w podróż. Drużyna składała się z dwunastu dobranych przyjaciół. Aby zachować *incognito*, zdjął kardynał oznaki swojej godności; przybrani byli wszyscy jednako, a losem wybierano co dnia z pomiędzy siebie na jednę dobę innego przywódcę. Z Wenecji ruszyli do Niemiec, zajeżdżając z kolei do wszystkich miast znaczniejszych i oglądając ich osobliwości. Tylko w Ulm burmistrz, zaniepokojony tą bezimienną, a widocznie tak dostojną kawalkatą, przytrzymał podróżnych. Skoro jednak wymienili nazwiska, dano im natychmiast straż honorową i odstawiono z przynależną czcią na dwór cesarski. Maksymiljan przyjął ich najżycz-

liwiej, chwaląc »mężną stałość, z jaką znosili niedolę« i »ową użyteczną podróż, tak godne bystrego ich umysłu zajęcie, najlepsze ćwiczenie dla poznania spraw tego świata«. Z listami polecającemi od cesarza puścili się młodzi Medyceusze w gronie przyjaciół na dalszą wędrówkę, naprzód do miast nadreńskich, potem do Flandrji, gdzie syn cesarski, Filip Piękny, świetne im zgotował przyjęcie. Stamtąd pragnął się kardynał przedostać do Anglji, ale obawa jego towarzyszy przed morską przeprawą udaremniła zamiar i obrócono drogę ku Francji. Jak w Niemczech za przejazdem przez Ulm, tak tu w Rouen przytrzymano ich ponownie. Tylko tu przytrzymanie było dłuższe, bo Ludwik XII wmieszał się był znowu w sprawy włoskie i pojawienie się właśnie w takiej chwili tak znakomitych podróżnych włoskich we Francji było co najmniej podejrzanem. Uwolnił ich wstawiennictwem swem Piotr Medyceusz, który naonczas w obozie królewskim pod Medjolanem przebywał, ale potrwać musiało długo, zanim kurjer ich do Medjolanu dotrzeć i do Rouen wrócić zdołał. Z Normandji podążyła wędrowna drużyna do Marsylji, gdzie najęty okręt skierowano do Ostji; wiatr przeciwny zmienił atoli kierunek jazdy i wylądowali w Genui.

Z podróży tej został się nam tylko krótki jej opis Paola Giovia, krótsza jeszcze wzmianka u Scypjona Ammirata. Tu i tam brak zupełny dat nie pozwala nawet stwierdzić czasu trwania tej wędrówki. Z osobistych zaś wrażeń jej uczestników, podróżujących, co w owych czasach tak rzadkiem, nie w celach politycznych, ani w pobożnej pielgrzymce, ale istotnie dla zwiedzania obcych krajów, i jak im mówił cesarz Maks, »dla poznawania spraw tego świata«, nie pozostało niestety nic. Tyle wiadomo, że w późniejszych latach lubił Leon X wspominać często owe dni wędrówki, zaliczając je do najpiękniejszych swej młodości. Jedynie z samego kresu podróży przechowała się pamięć osobliwszego spotkania: z Genui zboczyli młodzi Medyceusze do Savony, gdzie przebywał właśnie Giuliano della Rovere, stroniący w gniewnem wygnaniu od Rzymu i rozpanoszonych w nim, znienawidzonych Borgiów. Ciekawe musiały toczyć się rozmowy przy tym stole, za którym zasiedli trzej mężowie, którzy z kolei jako Juljusz II,

Leon X, Klemens VII tak wielkie w dziejach Kościoła i Rzymu mieli odegrać role. Podróżni zdawali sprawę z tego, co spostrzegli i zasłyszeli na »barbarzyńskiej« Północy; kardynał della Rovere wzamian opowiadał im o tem, co zaszło pod ich nieobecność we Włoszech, a że był to rok 1500, więc o załamaniu się potęgi Lodowika Moro, o pogromie jego pod Novarą i uwięzieniu wraz z bratem, kardynałem Ascaniem Sforzą, a dalej o wzrastającym terroryzmie »Maranów«, jak zawzięty Giuliano zwykł był pogardliwie niecierpianych Borgiów nazywać, o zupełnem zawojowaniu papieża przez syna Cezara, o walkach tegoż z baronami rzymskimi, rozpoczętym podboju Romanji, wreszcie może już o ostatniej, najświeższej jego zbrodni: o zamordowaniu szwagra, księcia di Bisceglie, drugiego małżonka Lukrecji.

Od końca tej podróży aż do śmierci Aleksandra VI mało słychać o obu Medyceuszach. Nie chcąc się narażać papieżowi i wszechwładnemu jego synowi, w ukryciu i pocichu strzegą oni interesów swego rodu, kardynał w Rzymie, Giulio przelotnie na dworze Ludwika XII, którego próżno do powrócenia im władzy we Florencji nakłonić się stara. Dopiero za wstąpieniem na tron Juljusza II lepsze dla nich nadchodzą chwile: kardynał pozyskuje ufność i łaskę nowego papieża, który go do najważniejszych używa legacyj, a obok niego rośnie w znaczenie i zaszczyty Giulio, który zostaje Kawalerem Rodyjskim, co najlepiej odpowiada jego naonczas nawpół żołnierskiemu, nawpół duchownemu usposobieniu, i otrzymuje na wyposażenie bogaty priorat kapuański. W r. 1512 spotyka się znów razem obu stryjecznych braci w pamiętnej bitwie pod Rawenną. Tam Giulio ważną od wziętego w niewolę kardynała otrzymuje misję: ma coprędzej pędzić do Rzymu i zdać sprawę Juljuszowi II o prawdziwym stanie rzeczy. W cztery dni po bitwie staje on w Rzymie, gdzie nadeszłe już głuche wieści o poniesionej klęsce okropny wywołały popłoch i gdzie każdej chwili spodziewano się pojawienia pod murami miasta znanego z błyskawicznych ruchów Gastona de Foix. Przed zgromadzonym u papieża konsystorzem składa Medyceusz relację; nie tai klęski, oznajmia, że wojska papieskie i hiszpańskie w rozsypce, że wice-król Cardona umknął, że kardynał-legat

i najznakomitsi wodzowie, jak Fabrizio Colonna, Pietro Navarro i margrabia di Pescara w niewoli; ale opowiada także o stratach zwycięskiej, już atoli rozprzęgającej się armji nieprzyjacielskiej; donosi, że poległ ów postrach całych Włoch, młody Gaston de Foix, że obok niego padł dzielny Ives d'Allègre, że Lautrec ranny, a pozostali dwaj wodzowie, La Palice i głowa buntowniczego soboru pizańskiego, kardynał Sanseverino, już skłóceni ze sobą. Wieści te skrzepiły prędko niezłomnego ducha starego papieża, który z ulubionem hasłem: *fuori i barbari* jeszcze raz, prawie z ponad grobu, porwał się do ostatniej, tym razem zwycięskiej walki.

Pod osłoną zawiązanej w celu tej walki tak zwanej Świętej Ligi wrócili Medyceuszowie w r. 1512 do Florencji; wyparci z rodzinnego miasta za pierwszą wyprawą francuską do Włoch, wracali doń z chwilą wypędzenia Francuzów z półwyspu, a powrót ten poprzedziły i przygotowały zabiegi Giulia de'Medici. Potajemnie zetknął się on bowiem z partyzantami swego rodu we Florencji i jął nimi kierować; wszystko odbywało się w największej tajemnicy: listy bez podpisu i adresu składano na umówionem miejscu, w szczerbie murów, okalających cmentarz Santa Maria Novella; posłaniec przynosił odpowiedź, nie znając mieszkania, nazwiska, ani twarzy tych, między którymi pośredniczył. Prócz tego udało się zręcznemu Medyceuszowi nawiązać stosunki z towarzystwem ze słynnych ogrodów Ruccellai. Te *Orti Oricellarii*, gdzie obok chorego Cosima Ruccellai gromadził się kwiat młodzieży florenckiej, stały się niby w dalszym ciągu schroniskiem rozwiązanej ze śmiercią wielkiego Lorenza Akademji Platońskiej, a były właściwie nawpół literackim, nawpół politycznym klubem. Ów polityczny pierwiastek rozwijał się zapewne pod wpływem należących do tego świetnego koła historyków, jak Nardi, Nerli, Vettori, jak sam wreszcie Niccolo Machiavelli, który w tem gronie chętnie przebywał, członkom jego swoje *Discorsi* poświęcał i na tło wielkiego dialogu *Dell' Arte della guerra* właśnie owe *Orti Oricellarii* wybrał. Pociąg do politykowania w owem stowarzyszeniu potrafił ze swej strony Giulio Medici dla własnych celów wyzyskać: uknuty w ogrodach Ruccellai spisek przeciw gonfalonjerowi Soderiniemu, zakończony złożeniem go z urzędu,

ułatwił Medyceuszom bezkrwawy powrót do Florencji i wskrzeszenie ich rodowej oligarchji.

Z wstąpieniem na Stolicę Apostolską Leona X rozszerzyła się niebawem potęga medyceuszowska na całe środkowe Włochy, a pierwszym prawie czynem nowego papieża było nagrodzenie wiernych usług ukochanego brata stryjecznego Giulia, przez nadanie mu opróżnionego właśnie po śmierci Cosima de Pazzi arcybiskupstwa florenckiego, i jeszcze w tym samym roku purpury kardynalskiej z tytułem dotychczasowej własnej swej diakonji, Santa Maria in Dominica, dziś Navicella. Przeszkodę nieprawego urodzenia usunięto świadectwami, stwierdzającemi rzekomy tajny związek małżeński między zamordowanym przez Pazzich Giulianem de'Medici a ową wspomnianą już Fiorettą z Borgo Pinti. Wszelako punkt ten drażliwy niepokoić miał jeszcze często nowego kardynała a późniejszego papieża i był zawsze niebezpieczną bronią w ręku jego nieprzyjaciół.

Od chwili otrzymania purpury stał kardynał Giulio przy boku Leonowym, jako pierwszy doradca, zawsze wykonawca, często kierownik woli papieskiej. Leon X powierzał mu z kolei najważniejsze misje, nawpół dyplomatyczne, nawpół wojskowe. I tak spotyka się go w r. 1515, a więc w doniosłej chwili bitwy pod Marignano i zajęcia Lombardji przez Francuzów, na wytycznym posterunku legata w Bolonji, gdzie należało pilnować tych najdalej na północ wysuniętych dzierżaw papieskich. W roku 1517 staje on zaś na czele wojska papieskiego do walki z Franciszkiem Marją della Rovere o Urbino, które Leon X na lenno dla bratanka swego, młodszego Lorenza, przeznaczył, a który, na wstępie tej wojny ranny, z dowództwa ustąpić musiał. A kiedy tenże Lorenzo w dwa lata później umiera, obejmuje kardynał Giulio z rozkazu papieża rządy we Florencji. Umiarkowaniem, poszanowaniem publicznych wolności i zręcznem utrzymaniem przynajmniej pozorów rzeczypospolitej, zdołał on zjednać sobie zaufanie, a nawet przywiązanie ziomków i utrwalić wśród nich wpływ swego rodu. Ostatnią wreszcie powierzoną mu przez Leona X misją było, jak to już widzieliśmy, zajęcie Medjolanu, dokąd, jako

legat, z połączonemi wojskami papieskiemi i hiszpańskiemi wkroczył i gdzie go doszła wieść o niespodziewanym zgonie papieża.

Przeważnie jednak przebywał kardynał Giulio w czasie pontyfikatu Leonowego w Rzymie, bo Leon X potrzebował go ciągle i lubił go mieć blisko. Natury ich dopełniały się wzajemnie. Zbyt śmiałe ambicje papieża, jego wybujałą fantazję i nadmierną hojność hamował Giulio miarą, rozsądkiem, rządnością; papież był przedstawicielem pierwiastku świetności natur medyceuszowskich, kardynał strony praktycznej, kupieckiej; pierwszy obiecywał tyle, że rzadko mógł dotrzymać, drugi w obietnicach skąpy, danej dotrzymywał ściśle; dla pierwszego sztuka i literatura były treścią życia, dla drugiego tylko dodatkiem. Ale jeżeli Leon X bezkrytycznie często rozszerzał swą opiekę nad ladajakim pisarkiem lub niegodnym buffonem, kardynał Giulio, a późniejszy Klemens VII, był wybredniejszy w wyborze, a nadwornych błaznów zgoła nie znosił. Czem dla niego zresztą była literatura, o tem świadczą chlubnie za jego namową rozpoczęte i poświęcone mu *Storie Fiorentine* Machiavella, Sala Konstantyna w Stanzach watykańskich, wspaniała, budowana dla niego kolejno przez Rafaela, Sangalla i Giulia Romana willa na stokach Monte Mario, zrazu *Vigna Medici*, potem od późniejszej właścicielki, Małgorzaty Parmeńskiej, *Villa Madama* zwana; a dalej pierwsze pod jego okiem i na jego rozkaz wykonane misterne dzieła Benvenuta Celliniego, wreszcie zaś i przedewszystkiem Groby Medyceuszowskie we Florencji, będące także i pomnikiem woli tego Medyceusza, który od czasu skończenia *Genezy* na stropie kaplicy Sykstyńskiej, po raz pierwszy znów umiał skłonić czy zmusić buntującego się wciąż mistrza do rozpoczęcia, przeprowadzenia i niemal całkowitego dokonania nowych arcydzieł.

Kontrast charakterów obu Medyceuszów odrysowywał się wybitnie nawet w samej już ich powierzchowności: na słynnym Rafaelowskim portrecie Leona X z kardynałami widnieje po lewej za papieżem postać mężczyzny w sile wieku o cienkich, kościstych rysach, z przenikliwym wyrazem głębokiej zadumy na licu. To kardynał Giulio, stojący jako stróż i opiekun przy Leonie X. Wielki malarz bezwiednie usymbolizował te dwie posta-

cie: Leon X, krótkowidzący, ze szkiełkiem w ręku, patrzy w przeszłość, bada z lubością stary minjaturowy kodeks; smutny wzrok kardynała Giulia, zwrócony w stronę papieża, zda się błądzić gdzieś w dal, jakby w nieznaną przyszłość, tę twardą przyszłość, której się miał stać ofiarą. Są i inne, późniejsze jego portrety, z czasów, kiedy już sam zasiadał na Stolicy Apostolskiej, jak np. w *Chrzcie Konstantyna* w Stanzach. Na portrecie Rafaelowskim ma on twarz ogoloną. Wszelako już jako kardynał musiał czasami brodę nosić. Giovanni Cambi wspomina bowiem w charakterystycznym opisie, że »kardynał Giulio chadzał do kościoła z *rocchettem* otwartym, bez mantoletu i kapelusza, z brodą sięgającą do pół piersi, a otoczony zgrają zbrojnej służby, w miejsce księży lub kleryków«. Zarost ten był wyłomem w tradycji kościelnej: pamiętnem jest zdziwienie, nawet przesadne zgorszenie w świecie chrześcijańskim, kiedy Juljusz II w czasie zimowej kampanji w obozie pod Mirandolą zapuścił brodę, której od III wieku papieże nie nosili. Wkrótce po śmierci Rovera sobór lateraneński przypomniał duchownym przymus brzytwy. Trzymali się tego przepisu Leon X i Hadrjan VI, a zerwał dopiero na dobre z tą tradycją Giulio de'Medici. Długa, falista broda okala też jego twarz na wspaniałym, już z późniejszych zapewne lat pontyfikatu pochodzącym portrecie, pędzla Bronzina: dziwnie to piękna, pełna powagi i rozumna głowa, na której nieszczęścia nie zarysowały się znękaniem, ale, jak bywa u natur dumnych, wyrazem wyniosłej pogardy. Z oczu tych patrzy zaprawdę dantejska *anima sdegnosa*.

Z Leonem X mógł on zresztą w jednej tylko tej samej współzawodniczyć właściwości, a to w wygórowanej ambicji osobistej i rodowej. Kiedy po śmierci Leona X na *conclave* doznał zawodu, wrócił natychmiast do Florencji, aby tam przynajmniej dzierżyć władzę. Lecz władzę tę, teraz na jedną ograniczoną Toskanję wykonywał surowiej, niż przedtem, a ofiarą jej miało paść to samo właśnie towarzystwo z ogrodów Ruccellai, którego niegdyś za narzędzie powrotu Medyceuszów do ich rodzinnego miasta używał. Skłonność do ciągłych zmian politycznego ustroju była tradycyjnem po wszystkie czasy znamieniem Florencji i już Dante

porównywał ją do chorej, przewracającej się z boku na bok na posłaniu i szukającej ulgi w zmianie:

.....somigliante a quella inferma
Che non puo trovar posa in su le piume,
Ma con dar volta suo dolore scherma.

Ci sami ludzie, którzy niedawno jeszcze spiskowali ze stronnictwem medyceuszowskiem przeciw Soderinim, zawiązali teraz z wygnanymi Soderinimi w Rzymie sprzysiężenie, mające na celu wyzwolenie Florencji z pod jarzma Medyceuszów i wskrzeszenie rzeczypospolitej. Spisek odkryto; przywódzcy, jak przyjaciel Machiavella Zanobi Buondelmonti i bukoliczny poeta Luigi Alamanni zdążyli umknąć i schronić się do Francji. Inny Alamanni i Jacopo Diaceto zginęli na rusztowaniu. Sam Machiavelli wyszedł z tej potrzeby cało i zachował nadal łaskę rządzącego kardynała. Ale towarzystwo z ogrodów Ruccellai poszło na zawsze w rozsypkę i tak za sprawą Medyceusza zgasło to ostatnie ognisko duchowe, związane tradycją z Akademją Platońską starego Cosima.

Sprawa ta spotęgowała jeszcze wpływ i znaczenie kardynała Giulia. W Rzymie bowiem spoglądano niechętnie na zbytnią jego potęgę. Toteż usunięcie do Florencji było zarazem odsunięciem go umyślnem od polityki papieskiej. A była to właśnie chwila, kiedy polityka ta, wskutek wznowionej pretensji Franciszka I do Lombardji i gotującej się nowej inwazji francuskiej, wychodziła z dotychczasowej biernej równowagi i skłaniała się ku Hiszpanji. Na tę drogę wstępował Hadrjan VI, a z nim pozornie Soderini, kardynał Volterry, jeden z rzadkich z otoczenia papieża, którzy na niego wywierali wpływ istotny. Lecz Soderini napozór tylko popierał ten zwrot w polityce papieskiej. Jako synowiec ostatniego gonfalonjera rzeczypospolitej florenckiej, był on przez to samo sojusznikiem Francji, a wrogiem Medyceuszów. Potajemnie, a właśnie w chwili rozpoczęcia rokowań kurji z Karolem V, spróbował więc pokrzyżować zamiary papieża i zetknął się z dworem francuskim, namawiając króla do wyprawy na Sycylję, aby w ten sposób zmusić cesarza do cofnięcia wojsk z Medjolanu. Tajną tę korespondencję zdołał wyłowić kardynał Giulio i na-

tychmiast przesłał ją papieżowi, który Soderiniego wtrącił do więzienia. Medyceusz triumfował: wracał do Rzymu i do łaski papieża, który go teraz najzupełniejszem darzył zaufaniem; poskramiał tym samym zamachem Soderinich i ich stronnictwo we Florencji, a wreszcie i nadewszystko zasługiwał się ponownie Karolowi V, w którego ręku leżał wybór przyszłego papieża. Toteż kiedy po śmierci Hadrjana VI wstępował do *conclave*, liczył, że idzie nietylko na pewne, ale i na łatwe zwycięstwo. Stało się inaczej i wybór jego poprzedzić miała długa i namiętna walka, bo nietylko przeciwko jego cesarskiemu stronnictwu stanęło upornie stronnictwo francuskie z świętego kolegjum, ale przeciw niemu samemu podniosła się i zagrodziła mu na chwilę drogę inna, potężna indywidualność.

Opowiadają, że kiedy za rządów Leona X w r. 1517 w dzień wielkiej kreacji kardynalskiej, w którym naraz przeszło trzydziestu dostojników otrzymało purpurę, kardynałowie nocą wracali z Watykanu, zerwała się straszna nawałnica, piorun uderzył w figurę Matki Boskiej na kościele Santa Maria Transpontina i strącił w oczach przejeżdżającego orszaku Dzieciątko Jezus z łona Matki. Poczytano to ogólnie za złą wróżbę, a kroniki dodają, że kardynał Giulio upatrywał w tem znak gniewu Bożego, *non fuit sine metu irae caelestis.*

Nie myliło go przeczucie i dzień ten był istotnie dla niego złowrogi: bo pomiędzy nowomianowanymi purpuratami znajdował się człowiek, z którym już w chwili wyboru i w późniejszych latach pontyfikatu ciągle i najostrzej ścierać mu się przyszło i który zawsze i we wszystkiem krzyżował mu drogi. Był to ostatni może przedstawiciel w wielkim stylu średniowiecznego zuchwalstwa potężnych baronów rzymskich, Pompeo Colonna.

IV.

Pompeo Colonna.

Kiedy pod koniec krwawej bitwy pod Rawenną Ives d'Allègre przełamał zwarte szyki żandarmerji włoskiej, która pierzchła w rozsypce, najdłużej bronił się dzielny jej dowódca, Fabrizio Colonna. Ale już zewsząd obsaczali go nieprzyjaciele i życie jego wisiało na włosku, kiedy w ostatniej chwili przyskoczył do niego walczący ze słynną swoją artylerją ferraryjską po stronie francuskiej ks. Alfons d'Este i zawołał:

— Rzymianinie, nie gub się próżnym uporem, ale daj za wygraną i oddaj mi szpadę.

— Kto jesteś — odrzekł Fabrizio — ty, który znać mnie się zdajesz?

— Jestem Alfons d'Este i nic ci odemnie nie grozi.

— Tak szlachetnemu przeciwnikowi poddam się chętnie, byleś mnie nie wydał w ręce Francuzów, nieprzyjaciół mojego domu.

Dialog ten, zapisany u Paola Giovia, który zaręcza, że go z ust samychże obu interlokutorów słyszał, najlepiej charakteryzuje dumę, lecz i rzeczywiste znaczenie Colonnów. Ród swój uważali oni za równorzędną nietylko włoskim, ale i zaalpejskim państwom potęgę, a w istocie, kto się w sprawy półwyspu mieszał, ten dobrze wprzód się obliczyć musiał, po której stronie znajdzie Colonnów. Zresztą, przez cały niemal przeciąg równie głośnych jak burzliwych swych dziejów w wiekach średnich, stał ich dom wiernie pod znakami Gibellinów, w obozie cesarskim.

Ku tej stronie parł ich przedewszystkiem antagonizm do papiestwa, którego władza w Kampanji i w Rzymie krępowała zuchwałe ich ambicje. Pod koniec XV-go i na początku XVI-go wieku głowami rodziny byli bracia stryjeczni, Prospero i Fabrizio. Pierwszy z nich, najznakomitszy włoski wódz owej epoki, przez ówczesnych pisarzy *il gran Colonnese* zwany, zwycięzca Francuzów z pod Bicocca, wsławił się we wszystkich ówczesnych wojnach, w Neapolitańskiem i w Lombardji, a w ciągu ruchliwego życia zawitał i do Polski, odwożąc do Krakowa Bonę Sforza na zaślubiny z królem Zygmuntem I. Drugi, co dopiero wyżej wspomniany Fabrizio, także niepospolity wódz i żołnierz, więcej jeszcze niż wojennemi czynami uświetnił dom swój znakomitem potomstwem, bo córką jego była urodzona mu z Agnesiny di Montefeltro słynna Vittoria Colonna.

Pod okiem tych dwóch opiekunów chował się ich bratanek, wcześnie osierocony Pompeo. Wychowanie było na modłę ówczesnej epoki nawpół humanistyczne, nawpół wojskowe. W obu kierunkach celował młody Pompeo, obdarzony niezwykłemi zdolnościami; lecz z natury, usposobienia i ambicji skłaniał się więcej ku ćwiczeniom rycerskim, niż ku naukom, które, jak mówi biograf jego, Paolo Giovio, »przysparzają tylko wyjątkowo świetnym umysłom sławy, ale przeciętnym dają zaledwie środki na chudy żywot«. Jak na prawdziwego Colonnę przystało, pierwszy raz, w chłopięcym niemal wieku, ruszył on w pole przeciwko odwiecznym wrogom swego domu, przeciw Orsinim, kiedy chytra polityka Borgiów rzuciła nowe zarzewie waśni pomiędzy potężnych baronów rzymskich. Ta polityka prześladowcza ostatnich lat pontyfikatu Aleksandra VI skłoniła nawet Colonnów do opuszczenia Rzymu i jego okolic i przeniesienia się w Neapolitańskie. Tam przebył Pompeo naukę wojenną w najlepszej szkole, bo pod bokiem stryjów, a dowództwem żołnierza tej miary, co wielki Gonzalvo z Kordowy. W długiej wojnie hiszpańsko-francuskiej o panowanie w południowych Włoszech, na każdem niemal polu bitwy znajdowali się Prospero i Fabrizio, przy nich zaś bratanek Pompeo. Dopiero po śmierci Aleksandra VI, a za wstąpieniem na Stolicę Apostolską Juljusza II, wrócili Colonnowie w strony rodzinne.

KARDYNAŁ POMPEO COLONNA.

Kopja współczesna z portretu Lorenza Lotto w Galerji Colonna w Rzymie.

Nowy papież przyjął ich łaskawie i zwrócił im wszystkie ich zamki w Kampanji, zagrabione przez Borgiów. Czasowa ta konfiskata na dobre im nawet wyszła, bo stare, kruszące się ich twierdze zamieniła na długą metę obliczona ambicja Cezara Borgii i niepospolity jego talent wojskowy w potężne i niezdobyte warownie.

Na inne pole miała jednak wola stryjów skierować bratanka. Kardynał Giovanni Colonna starzał się coraz bardziej, a leżało w interesie rodu, żeby mieć przedstawiciela swego w świętem kolegjum, któryby tam, na najwyższych szczeblach hierarchji kościelnej, strzegł interesów domu, i co najważniejsza, bogatemi beneficjami zasilał jego dobrobyt i utrzymywał splendor. O wpływ ten chodziło baronom rzymskim tem bardziej, że za ostatnich pontyfikatów przezorna pod tym względem polityka papieska nie dopuszczała ich do purpury: nie miały purpurata potężne domy Cesarinich i Savellich, ostatni kardynał Orsini zmarł był w r. 1500 w Zamku Św. Anioła, otruty podobno przez Cezara Borgię, a stary kardynał Colonna chylił się do grobu. Na miejsce to, lada chwila mające się opróżnić, postanowili Colonnowie wysunąć Pompea. Wzbraniał się on usilnie i wymawiał wrodzonym pociągiem do zawodu żołnierskiego, do którego prawdziwe czuł powołanie. Nastawali przecież stryjowie, a wreszcie pojawienie mu się we śnie zmarłego ojca, który mu rózgą za nieposłuszeństwo wygrażał, skłoniły go do poddania się surowej woli rodu.

Na dworze kardynała Colonny, zrazu jako protonotarjusz, rozpoczął on więc nowy swój zawód, ale choć Paolo Giovio zapewnia, że wrócił do zajęć humanistycznych i przestawał najchętniej z uczonymi, z Fedrą Inghirami z Volterry i Sewerem Portiusem, przecież pod nową suknią burzyła się i wrzała dawna butna natura. Charakterystycznem było pod tym względem zajście z Hiszpanem Hiscerusem: chodziło o dochody z jakiegoś beneficjum; stąd nieporozumienie, kłótnia, wreszcie wyzwanie przez Hiszpana do rozegrania sprawy orężem. Natychmiast cisnął Pompeo biret i suknię prałata i już miał stawać do walki, aż w ostatniej chwili udało się stryjom zażegnać burzę i uniknąć zgorszenia. A szczęściem było zapewne dla Pompea, że na Sto-

licy Apostolskiej zasiadał właśnie żołnierskiego ducha Juljusz II. Bo gdy Hiscerus, nie dając za wygraną, przez trębacza przed pałacem Colonna nadal Pompea wyzywać i lżyć za odmowę pola kazał, i gdy służba Colonnów ubiła zuchwałego śmiałka, papież na skargę, wniesioną przez posła arragońskiego o śmierć Hiszpana, sprawę znamienną rozstrzygnął odpowiedzią, iż dobrze się stało, że duma rzymska poskromiła butę hiszpańską.

Ta duma rzymska — *superbia romana* — Pompea, na którą stary papież nie niechętnie patrzeć się zdawał, póki się tylko znienawidzonym obcym, »barbarzyńcom«, dawała we znaki, miała się przecież niebawem przeciw jego własnemu majestatowi i przysłowiowej *terribilità* obrócić. Działo się to w r. 1511. Juljusz II zaniemógł ciężko. Przez cztery doby nie zażywając pokarmu i jakby omdlały z zawartemi powiekami leżał na posłaniu. Lekarze w każdej chwili spodziewali się zgonu, bramy watykańskie rozwarto, a lud wtargnął do komnat i patrzał na pasującego się ze śmiercią papieża. Wierny mistrz ceremonji, Paris de Grassis, notował w swym diarjuszu, »że tu mu dziennik zamknąć przyjdzie, bo papież nie słuchając lekarzy dogorywa i kardynałowie wydali już zlecenie co do pogrzebu, egzekwij i przyszłego *conclave*«. W mieście natomiast, jak zwykle w przededniu nowych rządów, wszczynały się nieporządki i poseł wenecki Lippomano donosił Prześwietnej Rzeczypospolitej, »że nigdy, przy żadnym zgonie papieskim, nie było takiego chrzęstu broni w mieście, nigdy większe nie groziło niebezpieczeństwo«. Naturalnem następstwem nagłego omdlenia tej żelaznej dłoni, przed którą drżeli wszyscy, było skupienie się nagłe niesfornych żywiołów rzymskich, ufnych, że zgon papieża zgotuje im odwet. Na ich czele stanął Pompeo Colonna, wówczas już biskup z Rieti i opat ze Subiaco. Z garstką młodszych członków wielkich rodów rzymskich wtargnął na Kapitol i demagogiczną wymową jął podburzać lud. »Czas już — wołał — skończyć z dotychczasowym porządkiem rzeczy w Rzymie, wyzuć się z pod jarzma kapłańskich rządów i wskrzesić rzeczpospolitą«. Ludowi rzymskiemu obiecywał urzędy rzymskie, dla panów rzymskich żądał miejsc w świętem kolegjum

i przywiązanych do nich beneficjów; warunki te miał lud stawić zbierającemu się *conclave*, w potrzebie wymóc je siłą.

Łatwo pojąć, jak podziałały na zapalne umysły Rzymian te namiętne słowa, z których brzmiało echo wiekowych obietnic Krescencjuszów, Rienzich, Porcarów. To też zawrzało między pospólstwem i każdy za broń chwytał, kiedy wtem jak piorun z jasnego nieba padła wieść, że jeden z lekarzy watykańskich zmusił papieża do przyjęcia posiłku, że chory »zjadł brzoskwinię« i dźwiga się z niemocy. Było to przebudzenie się lwa. Strach ogarnął wszystkich: skupiające się już i przeciągające przez ulice miasta tłumy ludu w mgnieniu oka poszły w rozsypkę, kardynałowie obradujący nad przyszłem *conclave* chyłkiem rozbiegli się do swych siedzib, a zbuntowani baronowie zemknęli co tchu do zamków w Kampanji.

Z obawy przed jednym z takich jowiszowych wybuchów gniewu starego papieża, które wstrząsały Rzymem, ukrywano mu zrazu postępek Colonny. Długo się jednak prawda zataić nie dała, a odpowiedzią papieską było odebranie krnąbrnemu prałatowi biskupstwa z Rieti i innych beneficjów. On sam schronił się najpierw do Nemi, potem w bezpieczniejszem schronisku górskiem, w twierdzy swej w Subiaco. I znów wpływowa rodzina wytężyła wszystkie siły, żeby go ratować w tej imprezie. Ale ratunek był trudny, ile że sam zuchwały Pompeo, umocowawszy się w warownem Subiaco, począł palić za sobą mosty i wdał się w konszachty z głównym naonczas wrogiem Juljusza II, z Ludwikiem XII Tego już i Colonnom było za wiele, bo narażało ich równocześnie papieżowi i cesarstwu. Z trudem rozplątywali stryjowie nici tych zawiłych intryg, snute przez niepoprawnego bratanka, aż udało im się wreszcie doprowadzić do tego, że nieskory do przebaczania papież gotów był przebaczyć. Tylko kiedy *breve* z obietnicą łaski wysłaniec przywiózł do Subiaco, Pompeo hardo odmówił przyjęcia pisma, mówiąc, że nie do niego stosowane, skoro brakuje w nagłówku tytułu biskupa z Rieti. Podobno i tym razem jeszcze chciał papież winę darować, a Paolo Giovio mówi, że się nawet zaśmiał, kiedy mu o tej nowej próbce »dumy rzymskiej« donieśli; ale miara cierpliwości mogła się wnet wyczerpać

i niewiadomo dokąd byłby doprowadził Pompea dalszy upór wobec zwierzchnika, który twardsze niż jego umiał zginać karki, gdy w tem goniec wysłany z Rzymu przyniósł do Subiaco wieść, że w nocy z 20 na 21 lutego 1513 r. Juljusz II rozstał się z tym światem.

Natychmiast ruszył Pompeo ze zbrojnym orszakiem i z działami na Rzym, grożąc, że pomści swą krzywdę na kardynale del Monte, który był otrzymał od zmarłego papieża odebrane jemu biskupstwo z Rieti. Chwila opróżnienia Stolicy Apostolskiej i rozluźnienia władzy nadawała się zresztą jak wraz do wywołania rozruchu, tem więcej, że pospólstwo rzymskie, oddane burzliwemu Colonnie, ruszyło hurmem na jego spotkanie i droga tuskulańska zaroiła się od ludu. Ażeby zażegnać niebezpieczeństwo, wysłali kardynałowie poselstwo do nadciągającego Pompea, obiecując zwrot wszystkich odebranych mu godności, byle poniechał rozruchów, spokojnie wszedł do miasta i objął straż przy *conclave*. Po twardym targu przyjął Colonna te warunki, a w kilka dni później, za wstąpieniem na tron Leona X, zmieniło się i jego położenie. Bo gładki Medyceusz lubił sobie jednać ludzi, dbał zaś osobliwie o zjednanie Colonnów. Toteż Pompeo wrócił do wszystkich utraconych dostojeństw i godności, a osiadłszy w Rzymie, współzawodniczył z nowym papieżem w przepychu roztaczanym na swym dworze i w hojności wobec dworzan. Pałac Colonnów stał się jednem z głównych środowisk ówczesnego rzymskiego życia, jednym z owych świetnych humanistycznych zborów, a Pompeo, jak opowiada przytaczany już kilkakrotnie jego biograf, zwykł był powtarzać, że dom jego i w tem rywalizujący z nim ród Orsinich przewyższa, iż Orsiniowie »po chłopsku« lekceważyli ludzi pióra, Colonnowie zaś już od czasów Petrarki, otaczając się pisarzami, gwarantowali sobie sławę u potomności. Natura żołnierską i zamiłowanie do rycerskich zabaw były przecież zawsze główną cechą świetnego prałata i słynne były mianowicie łowy, urządzane przez niego w Kampanji i górach okolicznych, kończące się zwykle huczną myśliwską ucztą. Od czasu do czasu sprawy rodzinne wciągały go zaś znowu w wir szerszych działań i wiodły za granice Włoch, naprzód

na dwór Franciszka I, potem do cesarza Maksymiljana, wreszcie do młodego arcyksięcia Karola do Flandrji. Tam doszła go wieść o spełnieniu się długoletnich gorących życzeń: Leon X, zrywając z tradycją ostatnich swych poprzedników, w wielkiej kreacji kardynalskiej z roku 1517 nadał znów purpurę kilku członkom wielkich rodów rzymskich, a obok Franciotta Orsiniego otrzymał kapelusz i Pompeo Colonna. Wystawić sobie łatwo, co znaczyło dla jego ambitnej natury zdobycie tego ostatniego szczebla, z którego już sięgać mógł po trójkoronną tiarę.

Zresztą jednak na pontyfikat Leona X przypadają spokojniejsze lata z życia Colonny. Zdawałoby się, że nawet na tak burzliwą naturę wpływało uciszająco »słodkie jarzmo« — *suave jugum* — florenckiego papieża, jarzmo, pod którem łagodniały obyczaje, choć czasem i malały dusze. Było to przecież tylko uciszenie przelotne, a już wtedy z pewnością gromadził Pompeo w głębi dumnej duszy zapasy tej nienawiści, która z czasem wybuchnąć miała przeciw drugiemu Medyceuszowi na tronie papieskim.

U pisarzy ówczesnych stałą niby zwrotką wraca wzmianka o nienawiści Pompea Colonny do Giulia de' Medici, późniejszego Klemensa VII. Przyczyn zewnętrznych tej animozji nie podają, a w gruncie rzeczy szukać ich byłoby zbytecznem. Pompeo owszem dużo Medyceuszom, bo Leonowi X purpurę i darowanie dawnych win z czasów Juljuszowego pontyfikatu, zawdzięczał. Obie rodziny należały zresztą do jednego, bo do cesarskiego obozu. Dzielić je natomiast mogły ścisłe stosunki Medyceuszów z domem Orsinich, z którym się kilkakrotnie kojarzyli, jeszcze więcej zaś owa wrodzona pogardliwa niechęć, z którą wszyscy baronowie rzymscy, a już najbardziej bratankowie Marcina V Colonny, spoglądali na papieży nie Rzymian, szczególniej na tych parwenjuszów florenckich, jakimi wobec starych rodów włoskich byli tak od niedawna wyrośli i wzbogaceni Medyceusze. To wszystko jednak było tylko względem drugorzędnym.

Kto sprężyny uczuć i działań ludzi z owej epoki szuka, musi głębiej, do wnętrza ich zajrzeć, a w tych skomplikowanych zresztą organizmach znajdzie zawsze te same rysy wytyczne. Już

Dante w swej zagrobowej pielgrzymce tak znamiennie dwa razy tylko wskazuje na miejsca, gdzie i jego duszy przyjdzie kiedyś szukać pokutnej przystani, i znajduje je w owych kołach, w których się czyszczą dumni i zawistni. Duma i zawiść były też istotnie głównem znamieniem ludzi z owych czasów we Włoszech, od zarania Odrodzenia aż do jego zmierzchu. Ludzie ci nietylko otaczali się sztuką, ale byli sami sztukmistrzami życia, artystami we wszystkiem, od cnoty aż do zbrodni, więc nie dziw, że to, co po wsze czasy znamionuje artystów, owo zazdrosne nieznoszenie równości, było samym rdzeniem ich natur. To piętno wyryło się na wszystkiem, co po nich zostało, nawet na zewnętrznych kształtach wielkich z ich epoki pamiątek. Pojmie to łatwo, kto widział choćby raz w życiu te zamarłe średniowieczne mieściny włoskie, takie n. p. San Giminiano toskańskie, gdzie na małym skrawku wzgórza piętrzy się zdumiewająca ilość wieżyc, z których każda była warownią innego rodu, a które, o kilkanaście zaledwie kroków od siebie odległe, zdają się wspinać jedna ponad drugą, dybać na siebie i wygrażać sobie wzajemnie. Prawdziwie dantejska to wizja, niby ilustracja do przekleństwa poety na tych »żrących się« najbliższych sąsiadów, na tę społeczność, gdzie

...l'un l'altro si rode
Di quei ch'un muro ed una fossa serra.

A wymowny kontrast skarłowaciałej powszedniości i mizernego życia, które się dziś u ich stóp roztacza, nadaje jeszcze bardziej tym posępnym wieżom znamię czyścowych niby pomników pokuty za to, co było głównym grzechem średniowiecznych Włochów, czem wyrodniały ich dusze i co ich wreszcie ugiąć miało pod obce jarzmo: za paraliżującą zczasem wszystko w tych wybujałych indywidualnościach dumę i zawiść. I wtedy pojmuje się także, dlaczego takiemu Colonnie było obok Medyceusza za ciasno i dlaczego ten ostatni, już u schyłku swego pontyfikatu, na wieść o śmierci Pompea zawołał: »Od dziś dopiero naprawdę czuję się papieżem«.

V.

Conclave z r. 1523.

Na *conclave*, z którego miał wyjść następca Hadrjana VI, zebrali się kardynałowie 1 października 1523 roku. Zrazu było ich trzydziestu pięciu, a liczba ta wzrosła za przybyciem francuskich członków świętego kolegjum do trzydziestu dziewięciu. Stronnictwa zarysowały się wyraźnie od samego początku. Kandydatem cesarskim był Giulio de' Medici; miał on blisko dwadzieścia zapewnionych głosów pomiędzy młodszymi kardynałami z kreacji Leona X, a ufał w poparcie Karola V, który jeszcze przed śmiercią Hadrjana VI, ambasadorowi swemu, książęciu di Sessa, zalecał, »żeby uszanował wolność wyboru, ale w razie jakiegokolwiek nacisku ze strony francuskiej, użył ze swej strony pomocy wice-królów neapolitańskich i sycylijskich, wojska i wszelkich innych środków«. Wszelako do wyboru potrzeba było dwóch trzecich, a więc w tym wypadku dwudziestu sześciu głosów. Brakujących wyborców musiał zatem Medyceusz szukać w obozie przeciwnym.

Obóz ten składał się z kardynałów francuskich, których zadaniem było udaremnić wszelkim sposobem wybór kandydata hiszpańsko-cesarskiego, i z kilkunastu kardynałów starszych, kreowanych jeszcze przez Juljusza II i wcześniej, a niechętnych Medyceuszom. Ta ostatnia frakcja liczyła kilka indywidualności znaczących i ambitnych, bo należeli do niej kardynałowie Monte, Fieschi, Soderini, Carvajal, przedewszystkiem zaś Aleksander Farnese, który później jako Paweł III zwykł był powtarzać, że Kle-

mens VII dziesięcioletniemi rządami ukradł mu dziesięć lat pontyfikatu. Z poza *conclave* i zdaleka stawiał wreszcie energicznie swą kandydaturę, łudzony naprzemian obietnicami Franciszka I i Karola V, skarbiących sobie jego względy, wszechwładny minister Henryka VIII, Tomasz Wolsey, kardynał Yorku. »Bądź ostrożny — pisał on do Johna Clerka, posła angielskiego w Rzymie — i nie daj się uwieść pięknym słówkom tych, którzy mówią byle co, ale w gruncie pragną własnego, a nie mojego wywyższenia. Potrzeba wielkiej zręczności; król przecież mniema, że stronnictwo cesarskie stanie po naszej stronie, jeżeli cesarzowi wogóle zaufać można. Młodzi, zwyczajnie potrzebujący, chętnie nadstawią ucha twoim obietnicom, które zresztą napewne dotrzymane będą. Król pragnie, abyś nie oszczędzał ani jego powagi, ani pieniędzy«.

Pośród tych stronnictw stał Pompeo Colonna. Rola jego była trudna i niewdzięczna; szansy dla własnego wywyższenia nie miał, bo jako Colonna, już przez to samo zdeklarowany popleczník cesarski, nie mógł liczyć na poparcie stronnictwa francuskiego, ani większości kardynałów starszych, pośrednie zajmujących stanowisko. Tem mniej głosów mógł się spodziewać w samem stronnictwie cesarskiem, w którem cesarz oficjalnego już miał kandydata. Zadanie jego było więc czysto osobiste, ale negatywne: kierując się starą nienawiścią do Medyceusza, postanowił wytężyć wszystkie siły, aby udaremnić jego wybór, i stał się duszą opozycji przeciw niemu. Antagonizm ten nadał też odrazu sygnaturę obradom nad wyborem Hadrjanowego następcy, a ze względu na miarę zapaśników rozumiano powszechnie, że pasować się będą długo.

Zrozumiał to również lud rzymski, którego oczy zwrócone były na zamknięty Watykan, w niecierpliwem oczekiwaniu, jakiego mu *conclave* odda wybrańca. Niecierpliwość tę potęgowała obawa, że wśród walki stronnictw wyjdzie, jak po śmierci Leona X, znów człowiek obcy z wyboru i powtórzą się tak niepopularne w Rzymie rządy Hadrjana. Wywołane tem zaniepokojenie wzniecało już nawet nieporządki w granicach państwa papieskiego, a z poza granic dochodziły wieści o niebezpiecznych knowaniach

korzystających z bezkrólewia sąsiadów: wiecznie ruchliwy Alfons, książę Ferrary, zajął Reggio i wyciągał rękę po Modenę. Toteż już w tydzień po rozpoczęciu wyborczych obrad zmniejszono żywność dostarczaną kardynałom i ograniczono ich na jedno danie, aby w ten sposób wymóc pośpiech. W połowie października zaś konserwatorowie miejscy i tłumy ludu ruszyły na Watykan, żądając posłuchania. Z okna przemówił delegowany przez *conclave* kardynał Armellini: zalecał spokój, prosił o cierpliwość, zapewniając, że jedynie czas i namysł pozwoli kardynałom dokonać wyboru takiego elekta, któryby Bogu i ludowi rzymskiemu był miły; zagroził, że nacisk z zewnątrz złe tylko wywrze skutki, że, jak za poprzedniej sediswakancji, mógłby nawet doprowadzić do wyboru nieobecnego, cudzoziemca. »Jeżeli — zakończył — zadowolicie się takim papieżem, gotowiśmy wam wybrać Anglika«. Groźba ta poskutkowała; lud począł wołać, że woli pierwszego lepszego, byle kogo, ale z obecnych; tłumy przecież spokojnie się rozeszły. Tylko skorzystał natychmiast z tych zajść Pompeo Colonna, aby kazać w mieście szerzyć wieści, że to Giulio de' Medici forytuje wybór kardynała Wolsey.

Wszystko to nie zdołało jednak przyspieszyć wyboru. Przez kilka tygodni miały stać stronnictwa w zwartych szeregach naprzeciw siebie; zmieniały się nazwiska kandydatów, ale nie zmieniał stosunek głosów i beznadziejnie powtarzano *scrutinia* wśród głuchego pomruku niezadowolenia, który dochodził do uszu konklawistów z burzącego się coraz bardziej miasta. Pomruk ten zamieniał się chwilami w groźny okrzyk i znów tłumy oblegały Watykan, żądając, aby wedle konstytucji Bonifacego VIII nie dawano kardynałom innej strawy prócz chleba, wina i wody. Z trwogą powtarzano sobie między ludem wieści, że lada dzień przyjdzie do schizmy, że za odmurowaniem bramy *conclave* dwóch papieży z Watykanu wyjdzie, a przygodni poeci satyryczni, nawiązując do waśni między Medyceuszem i Colonną, rozsiewali w lot rozchwytywane wiersze, w których wzywano mścicieli, Brutusa i Fotina, bo »znów złość Pompejusza i Juljusza Rzym ciemięży«.

... iterum Romam Pompei et Julii mens furiosa premit.

W obrębie *conclave* natomiast brak powietrza i wywołany tem zaduch wzniecał choroby, dokuczliwe mianowicie dla starszych, mniej wytrzymałych kardynałów; upór wywoływał przesyt, a przesyt bezsilną gorączkę, aby wyjść z położenia, które istotnie zdawało się bez wyjścia. Tylko jeden Giulio de' Medici, który był sobie poprzysiągł, że papieżem z tego *conclave* wyjdzie, czekał cierpliwie, w przekonaniu, że przecież nadejdzie chwila, w której mu zbieg okoliczności lub błąd przeciwnika tiarę odda.

Chwila ta wreszcie nadeszła, a błąd popełnił istotnie Colonna. Wiedział on bowiem, że Medyceusz nie zgodzi się nigdy i za żadną cenę na papieża ze stronnictwa francuskiego, który to wybór oznaczałby w danej chwili annihilację wszelkich wpływów Medyceuszowskich w Rzymie i we Florencji. Jął więc nalegać na kardynałów francuskich, ażeby zrezygnowali z własnego kandydata, a głosy swe oddali na rzecz starego kardynała Jacobaccio, który acz w gruncie cesarski i stronnik Colonnów, stał był zawsze zdala od polityki czynnej, a odznaczał się zresztą nauką i cnotą. Na wypadek, gdyby stronnictwo francuskie zgodziło się na niego i złączyło w tym celu ze starymi kardynałami, obowiązywał się Pompeo wymóc na Medyceuszu, żeby brakujących do koniecznej większości głosów ze swojego im odstąpił stronnictwa. Francuzi przystali zrazu na ten układ, a kardynał Pompeo zwrócił się do Medyceusza z prośbą o poparcie swego planu i ustąpienie kilku głosów dla kardynała Jacobaccio, którego wybór i tak nie narażał nikogo cesarzowi. Kardynał Giulio odpowiedział wymijająco, a odpowiedź stanowczą obiecał na później, po porozumieniu się z własnem stronnictwem. Tymczasem nie uszło bacznej jego uwagi, iż Francuzi, pomimo zawartego z Colonną paktu, wdali się poza jego plecami w nowe rokowania z kardynałem Franciottem Orsini, który jako Orsini był już z urodzenia wrogiem Colonnów i musiał się sprzeciwiać wyniesieniu na Stolicę Apostolską klienta i kreatury ich domu. I rzeczywiście doniesiono wnet Medyceuszowi, że pomiędzy Orsinim a francuskimi członkami świętego kolegjum stanęła tajna umowa, wedle której mieli oni w ostatniej chwili tyle własnych głosów kardynałowi Jacobaccio ująć, ile mu ich Colonna w stron-

nictwie Medyceuszowskiem wyjedna. Otrzymawszy tak cenną dla siebie informację, zwrócił się natychmiast kardynał Giulio do Pompea: »Co zrobisz dla mnie — zapytał — jeżeli ci oddam żądane dla kardynała Jacobaccio, potrzebne mu do większości cztery głosy, a gdyby rezultat jednak był ujemny?« »W takim razie — odparł Colonna, który już nie wątpił w wygraną — oddam dla ciebie lub twego kandydata tyle głosów, ileś ty mi ich dla Jacobaccia odstąpił«.

Rozpoczął się nowy wybór. Wszyscy oczekiwali stanowczego wyniku, wyzwolenia z długiej niewoli i końca bezkrólewia. Tylko kardynałowie francuscy z Orsinim na jednym krańcu, Giulio de' Medici na drugim wiedzieli, że i tym razem głosowanie będzie daremne. Wśród głuchego milczenia przystąpiono do scrutinium: kardynał Jacobaccio otrzymał ośmnaście kartek, do których Medyceusz dołączył natychmiast *per accessit* cztery obiecane głosy ze swego stronnictwa. Suma wynosiła dwadzieścia dwa, czyli o cztery głosy mniej, niż było potrzeba. Medyceusz triumfował: wynik był ujemny, a Colonna, związany daną mu obietnicą, pobity.

Z gorzkiemi wymówkami zwrócił się ten ostatni do kardynałów francuskich, wytykając im wiarołomstwo. Zasłaniali się oni wyraźnemi wskazówkami Franciszka I i lekceważącą uwagą, że cnotliwy Jacobaccio mógł być dobrym papieżem dla innych, ale nie dla ich pana i władcy. »Kiedy tak — odrzekł rozgniewany Colonna — to dostanie wasz pan i władca dobrego papieża, ale z mojej poręki«. I natychmiast zwrócił się do Medyceusza, dziękując za dotrzymanie obietnicy i poręczając mu w dotrzymaniu własnej swój głos i głosy swych najbliższych stronników. W nocy z 17 na 18 listopada miał już Medyceusz zapewnioną większość. Postanowiono jednak odroczyć wybór do dnia następnego, a tymczasem kardynałowie z obozów przeciwnych, widząc, że dalsza opozycja była daremną, zgodzili się na wybór jednogłośny. Wybór ten przeprowadzono nazajutrz *per adorationem* i 19 listopada dziekan świętego kolegium ogłosił ludowi rzymskiemu, że Giulio de' Medici został papieżem i przyjął imię Klemensa VII.

Przybranie tak dobrotliwego imienia miało zwiastować zgodę, poręczać przebaczenie nieprzyjaciołom, a więc Colonnom w Rzymie, Soderinim we Florencji, i pokój w całem Chrześcijaństwie. Nikt w owej dobie nie przypuszczał, że przeciwnie rozpoczynający się pontyfikat będzie może najburzliwszym, jaki się w dziejach Kościoła zapisał. Tylko stronnictwo francuskie upatrywało w wyborze przez elekta właśnie tego imienia ostrze, skierowane przeciw sobie; bo Klemensem VII zwał się już pod koniec XIV wieku, w czasie groźnej schizmy Kościoła, przeciwnik Urbana VI, francuski antipapa Robert z Genewy, a prawowitości jego pontyfikatu Francja i jej Kościół nie kwestjonowały nigdy. Zresztą wyborowi Medyceusza przyklaśnięto ogólnie. W rozpolitykowanych w owej chwili więcej niż kiedykolwiek Włoszech, witano z radością w nowej głowie Kościoła człowieka, który cały swój dotychczasowy żywot sprawom politycznym poświęcił, który uchodził za prawą rękę Leona X, a sam się tęgim osobistym rządem we Florencji wsławił i przywiązanie poddanych sobie zjednał. Stawienie zaś ponowne Rzymu i Florencji pod wspólny wpływ i niejako jedno ramię Medyceuszowskie było już samo przez się warunkiem stworzenia silnego organizmu politycznego w środkowych Włoszech, organizmu, który mógł przeciwważyć w potrzebie ścierające się na północy i południu półwyspu zagraniczne prądy.

Najradośniej atoli witał nowego papieża w tej pierwszej chwili Rzym. Dodatniejsze żywioły ceniły w nim jego powagę, pracowitość i rządność, przy obyczajach czystych i sposobie żywota raczej twardym. Po tak obcem dla natur i usposobień włoskich odosabnianiu się i zamknięciu w sobie Hadrjana VI, ten nowy papież, przystępny i wysłuchujący cierpliwie wszystkich, o którym pisał poseł wenecki Foscari, że już jako kardynał »dawał więcej posłuchań od samego papieża« — *havia piu zente a la sua audientia che il papa* — łatwo mógł ludzi jednać. Lud rzymski radował się zaś, że miał znów nad sobą Włocha i wielkiego pana, a łudził się, że ten drugi Medyceusz na Stolicy Apostolskiej wskrzesi dla Rzymu epokę Leonową i że powtórnie złoto sypać się będzie ze skarbonki papieskiej. Wzmagało

mir nowego papieża pogodzenie się z popularnym w Rzymie rodem Colonnów. Przed trzydziestu laty, na sromotnem *conclave* po śmierci Innocentego VIII, kupił był sobie Rodrigo Borgia głos i wpływ potężnego Ascania Sforzy obietnicą wicekanclerstwa i oddaniem mu pałacu Borgia, który się odtąd starą Cancellarią nazywał. Przy wyborze Klemensa VII, nie ceną, bo wybór był prawidłowy, lecz nagrodą za poparcie było mianowanie Pompea Colonny wicekanclerzem i nadanie mu najpiękniejszego naówczas pałacu w Rzymie, zbudowanego przez kardynała Rafaella Riario, dzisiejszej Cancellarii.

Zgody tej, acz pozornej, znak wobec ludu widomy dał zresztą Klemens VII już w pierwszych czasach swego panowania, przyjmując dawnym, przez papieży przyjętym zwyczajem gościnność w pałacu Colonnów podczas festynów majowych na placu ŚŚ. Apostołów. O tej uroczystości ludowej tem bardziej zresztą wspomnieć warto, że jest ona wymownym dowodem, czem była, obok i pomimo wykwintności w sztuce, pospolitość ówczesnych obyczajów. W dzień ŚŚ. Jakóba i Filipa wychodzili młodzi kardynałowie i prałaci na szczyt portyku kościoła ŚŚ. Apostołów i stamtąd rzucali pomiędzy cisnący się u stóp motłoch — *inutil plebe et ignorante popolo* — jak mówi świadek naoczny, rozmaite gatunki żywego drobiu, oblewając walczących o te łupy wiadrami wody. Dziwaczną tę zabawę, która miała symbolizować zesłanie darów Ducha św., opisuje dokładnie w ciekawym swym pamiętniku Marcello Alberini, notując, że główna walka toczyła się o zawieszone na sznurze przed frontem kościoła prosię, a dodając, że w tym r. 1524 ów festyn, któremu się Klemens VII z okna przyglądał, z większym jeszcze niż zwykle obchodzono sumptem, »jakby w przewidywaniu, że się już nie powtórzy«.

Fety i uroczystości nie miały się też wogóle za nowego papieża powtarzać. Bo Klemens VII nie był do zabaw skłonny; rozrywką, godniejszą zresztą zajmowanego stanowiska, były mu w rzadkich od obowiązku wolnych chwilach dysputy filozoficzne lub teologiczne i studja nad mechaniką, w których się szczególnie lubował. Obok braku skłonności do wystawnych zabaw, brakło mu zaś i środków po temu. Ciężkiem bowiem, a jednem

z piekących zadań następców Leona X było ratowanie finansów papieskich, roztrwonionych przez nieopatrzną szczodrość pierwszego z papieży Medyceuszów. Same odsetki pozostałych po nim długów wynosiły rocznie czterdzieści tysięcy dukatów, a na wykupno zastawionych u Chigich klejnotów musiał Klemens VII już w pierwszym roku swego pontyfikatu znaczne poświęcić sumy. Złe położenie finansowe miało też odrazu poważnych nowemu papieżowi przysporzyć kłopotów, bo z jednej strony wiązało mu ręce w polityce zewnętrznej, z drugiej narażało u własnych poddanych, zarzucających mu wyrachowanie i skąpstwo. Do tych zarzutów przyczyniła się głównie twarda polityka fiskalna kardynała camerlenga, Francesca Armellini: lud sarkał na nowe nałożone mu ciężary, satyrycy ośmieszali Armelliniego, mówiąc, że łamie sobie głowę, jakby w Rzymie nawet muchy do składania czynszu a mrówki do płacenia akcyzy zmusić, schlebiający zaś zawsze pospólstwu Pompeo Colonna na pełnym wołał konsystorzu, że więcej od wszystkich nowo wymyślanych podatków przyniosłoby skarbowi zysku, gdyby papież Armelliniego ze skóry obedrzeć i skórę po państwie papieskiem obwozić kazał, żądając po *quattrinie* od oglądających. Pod tym względem nastąpiło więc pierwsze rozczarowanie: ten sam Giulio de' Medici, który nielubiany zrazu przez Florentczyków zdołał ich sobie w czasie swych rządów we Florencji tak prędko i szczerze zjednać, po przelotnej chwili zapału Rzymian, witających go papieżem, stracił grunt pod nogami i stał się więcej niż niepopularnym. Lud rzymski wedle wiekowej tradycji wołał o chleb i widowiska, chleb zaś stawał się coraz droższy, mianowicie odkąd cały handel zboża przeszedł w ręce protegowanych przez papieża Strozzich, a widowisk wcale nie było.

Większe atoli i dla Rzymu dotkliwsze rozczarowanie miał zgotować Klemens VII jako polityk. Są natury, które tylko na drugiem miejscu, pod osłoną cudzej firmy dodatnio i skutecznie działać umieją; wysunięte na pierwszy plan — słabną i uginają się pod brzemieniem osobistej odpowiedzialności. Do takich natur należeć musiał Klemens VII. Ten śmiały i stanowczy kierownik woli Leona X stał się z chwilą rozpoczęcia własnych rzą-

dów wahającym i chwiejnym. Chwiejność ta objawiała się już w samym wyborze doradców, których do boku swogo powołał. Pierwszym z nich był Gian Matteo Giberti, datarjusz papieski, z pewnością jedna z najszlachetniejszych postaci pierwszej połowy XVI wieku we Włoszech, człowiek, którego później, w czasach odrodzenia ducha kościelnego, kompetentny w tej mierze sędzia, bo św. Karol Boromeusz, za wzór biskupa stawiał; drugim Mikołaj Schomberg, niegdyś uczeń Savonaroli z klasztoru San Marco, potem poplecznik Medyceuszów, z kolei prokurator klasztoru Dominikanów i kardynał, a mąż stanu bystry i poważny. Obaj byli zaufania godni, tylko Giberti był zdeklarowanym stronnikiem polityki francuskiej, którą na dworze papieskim popierał, a Schomberg stał twardo w obozie przeciwnym, kierował się wolą i wskazówkami Karola V.

Pomiędzy temi dwoma krzyżującemi się zdaniami decyzja była trudna, jak trudnem, nawet niemożebnem stawało się dalsze lawirowanie państw włoskich, a więc i Rzymu, wśród zaostrzającego się coraz bardziej współzawodnictwa Hiszpanji i Francji i rozstrzygającej o losach Włoch walki Karola V z Franciszkiem I. Stawić obydwom czoło było zadaniem, któremuby chyba zdołał był sprostać człowiek takiej miary, co Juljusz II; Klemens VII podjąć się tego zadania nie mógł, a nie zrozumiał, że za późno już było na politykę dyplomatycznych wykrętów. I tak dojść musiało zczasem do tego, że ten prawnuk Cosima, bratanek Lorenza, powikłać się miał w siatce własnej, zbyt subtelnej polityki, w której celował niegdyś jego ród, ale której nici wytrzymać mogły tylko próbę, póki je ostrożne, kupieckie ręce starych Medyceuszów snuły w granicach samych Włoch. Z chwilą, kiedy polityka włoska stawała się światową, te nici, za cienkie, musiały sie plątać i rwać. Zanadto misternemi środkami, raczej półśrodkami, ratować się chciał w rozpaczliwem położeniu drugi papież Medyceusz, a do wielkiej sprawy rzymskiej zbyt małą, florencką przykładał miarę. Najtrafniej go też określa w swoich *Annalach* Muratori, kiedy w owym, jedynie w oryginale włoskim całą swą subtelność zachowującym zwrocie mówi, że wina Klemensa VII leżała w tem, iż był *troppo politico.*

VI.

Zawikłania polityczne.

Hiszpanie już z początkiem XVI wieku utwierdzili silnie swoją potęgę w południowych Włoszech i hiszpańscy wicekrólowie rządzili w imieniu Katolickiego Króla Neapolem i Sycylją. Wobec północnych Włoch opierały się roszczenia Karola V, z chwilą kiedy został cesarzem, na starych, tradycyjnych prawach świętego imperjum do Lombardji jako cesarskiego lenna. Franciszek I natomiast wznawiał swoje pretensje z tytułu dziedzictwa andegaweńskiego po młodszej królowej Joannie wobec Neapolu, a schedy po Walentynie Visconti, księżnie Orleańskiej, wobec Medjolanu i miast lombardzkich. Bardziej rozstrzygającą niż te obustronne, bądź co bądź przedawnione prawa i wątpliwe tytuły, była atoli w istocie rzeczy zachłanność skonsolidowanych pod koniec XV stulecia przez Ludwika XI i Ferdynanda Katolickiego w silne, jednolite organizmy, dwóch państw sąsiednich. Piękny i żyzny półwysep apeniński, już przez Dantego »ogrodem cesarstwa« — *il giardin dell' imperio* — zwany, stawał się dla nich ponętnym, a wskutek niezgody pojedynczych państw włoskich między sobą, napozór i łatwym łupem. Od schyłku XV wieku przez trzech z kolei królów francuskich wznawiane próby niefortunny przecież dla Francji i jej wewnętrznego rozkwitu brały obrót, mimo chwały, która opromieniła francuski oręż na polach Fornovo, Agnadelu, Rawenny i Marignano. Ale te wznawiające się ciągle inwazje były też nieustanną groźbą dla Włochów. Dotychczasowe ich walki między sobą były bowiem raczej turnie-

jowemi zapasami, niż prawdziwą wojną. Wszakże nawet w owej słynnej bitwie pod Anghiari z r. 1440, którą się tak szczyciła Florencja, że w pół wieku potem miał ją Lionardo da Vinci na ścianach Starego Pałacu uwieczniać, zginął tylko jeden żołnierz, i to, wedle opowiadania Machiavella, nie z ręki nieprzyjaciela, ale wskutek tego, iż spadł z konia i złamał kark. Chodziło w tych spotkaniach o łupy i okup więźniów, ale »nie było racji ginąć« — *non era cagion di morire* — jak mówi dowcipnie tenże Machiavelli. Dopiero w francuskich inwazjach zamieniły się owe turnieje w krwawe, nieraz mordercze walki.

Wpływ cesarstwa na sprawy włoskie tymczasem malał, bo cesarz Maks, mimo wielkiej osobistej ambicji, wskutek której marzył nawet o tiarze papieskiej dla siebie, jak we wszystkiem, tak i w polityce włoskiej zawsze połowiczny, zrywał się wprawdzie po kilkakroć i przekraczał z wojskiem Alpy, lecz zatrzymywał zawsze w pół drogi, może dla wiecznie pustego skarbu, dla którego go Włosi żartobliwie *pochi danari* zwali. Ale współzawodnictwo Francji, Hiszpanji i Niemiec w sprawach włoskich trwało nieprzerwanie, do przeciwieństwa politycznego przyłączył się zaś z chwilą śmierci cesarza Maksymiljana I antagonizm osobisty pomiędzy Karolem V a Franciszkiem I, kiedy obaj ubiegać się poczęli o koronę cesarską. Walka była namiętna, a bronią w walce pieniądz, cena kupna głosów przedajnych elektorów Rzeszy, którzy umyślnie przeciągali sprawę, żeby dłużej licytować współzawodników i dłużej z obu stron ciągnąć fundusze. W handlu tym przodowali mianowicie dwaj Brandenburczycy, margrabia Joachim, zwany przez agentów austrjackich »ojcem wszelkiego skąpstwa«, i brat jego, Arcybiskup Moguncki, który w czasie tych rokowań, poprzedzających elekcję, sześć razy zmieniał zdania i obozy, a z wysłannikami dworów targował się jak przekupka.

Przemogła wreszcie zręczność Karola V, a więcej może zawinił temperament Franciszka I, który tylko postawieniem kandydatury trzeciej, nie zaś forsowaniem własnej, mógł był zapobiec tak niebezpiecznemu dla Francji skupieniu hiszpańskiego i niemieckiego berła w jednem ręku. Praktyczniejszą tę myśl po-

pierali nawet przelotnie agenci francuscy, wysuwając z kolei kandydaturę Palatyna Bawarskiego, potem margrabiego Joachima, wreszcie naszego Zygmunta I. Ale niepohamowana ambicja króla mieszała im szyki. Opromieniony po bitwie pod Marignano sławą pierwszego rycerza Europy, nie chciał się Franciszek I zadawalniać drugiem miejscem wśród panujących, średniowieczną zaś tradycją pierwsze zajmował ten, kto był panem »świętego imperjum«. Przegrana przy elekcji partja wzmogła więc jeszcze antagonizm pomiędzy nim a nowym cesarzem i najdotkliwiej zraniona miłość własna pogłębiła polityczne przeciwieństwa, których i tak było dosyć. Prócz wspomnianych powyżej wspólnych pretensyj do Włoch, dzieliły ich bowiem jeszcze inne: Karol V windykował od strony Niederlandów zagrabioną jego pradziadowi przez Ludwika XI Burgundję, a Franciszek I na południu wydartą przez Ferdynanda Katolickiego Henrykowi d'Albret Nawarrę.

W sprawach włoskich chodziło obu spornym stronom przedewszystkiem o zjednanie sobie poparcia pierwszej włoskiej powagi, to jest papiestwa. Po bitwie pod Marignano zyskał Franciszek I łaski Leona X i nalegał na papieża, aby wspólnemi siłami wyprzeć Hiszpanów z Neapolu i podzielić się królestwem Obojga Sycylij. Zręczny Medyceusz skorzystał z tego usposobienia dla swych bliższych celów, bo zapewnił sobie neutralność Francji przy zajęciu Urbina, dla brata Juljana otrzymał księstwo Nemours i rękę ciotki królewskiej, Filiberty Sabaudzkiej, wreszcie tak niekorzystną dla Kościoła »sankcję pragmatyczną« zastąpił korzystniejszym o wiele konkordatem z Francją. Zostawszy cesarzem, zwrócił się ze swej strony Karol V do papieża: w miejsce wątpliwego nabytku Neapolu proponował Leonowi X wspólne działanie w celu wypędzenia Francuzów z Lombardji i oddania Medjolanu jako lenna cesarskiego ostatniemu Sforzy, synowi wyzutego z dziedzictwa Sforzów przez Francję Lodowika Mora.

Wskrzeszenie księstwa włoskiego na północy Włoch miało położyć naturalną tamę nieustannie wznawianym obcym roszczeniom do Lombardji i wynikającym stąd wojnom. Restytucja ta odpowiadała więc gorącemu życzeniu i istotnym interesom pa-

pieża, tem więcej, że młody cesarz pomoc przeciw Francji nagradzał mu banicją Lutra na Sejmie w Wormacji, a obiecywał ponadto zwrot Parmy i Piacenzy. Skoro więc wojska francuskie w pierwszem starciu Franciszka I z Karolem V przekroczyły granicę i stanęły na terytorjum papieskiem pod Reggio, oświadczył się Leon X otwarcie za cesarzem i, jak to już w ciągu tego opowiadania widzieliśmy, wojska cesarskie pod dowództwem Prospera Colonny, połączone z armją papieską, którą wiódł ówczesny kardynał Giulio de' Medici, zdobyły Medjolan dla Francesca Sforzy, a marszałka Lautrec z załogą francuską wyparły z Lombardji.

Pierwsze niepowodzenie w polityce włoskiej nie zniechęciło przecież Fraciszka I i już w następnym roku skorzystał z neutralności świeżo obranego papieżem Hadrjana VI, aby próbować na nowo podboju Medjolanu. Druga ta kampanja włoska była również dla Francuzów niefortunna, bo świetnem zwycięstwem pod Bicocca zmusił ich znów stary i doświadczony wódz cesarski, Prospero Colonna, do cofnięcia się poza Alpy. Ale w wojnie tej z r. 1522 prawdziwą ironją losu dziwna kardynałowi de' Medici przypadła rola: ażeby zastąpić służących tym razem po stronie francuskiej Szwajcarów, musiało się wojsko cesarskie innym uzupełniać zaciągiem; na ten cel obok cesarza i Sforzy ofiarował i późniejszy Klemens VII znaczną sumę, najemnikiem zaś był stojący na czele 10.000 niemieckich lancknechtów, zacięty jego późniejszy wróg, Jerzy von Frundsberg.

Położenie Franciszka I po tej nowej porażce stawało się tem krytyczniejsze, że grandowie kastylscy i arragońscy poskromili właśnie w tym czasie tak niebezpieczną dla Karola V rebelję Communerosów, co rozwiązywało cesarzowi ręce w Hiszpanji i dozwalało mu zwrócić się ku dalszym celom, mianowicie ku czynnej rewindykacji Burgundji. Równocześnie zaś korzystał z tych planów cesarskich Henryk VIII, żeby ze swej strony zagrozić Francji wznowieniem dawnych pretensyj królów angielskich do Normandji i Guyenny, z rzekomego tytułu schedy po Plantagenetach. Zamiast stanąć przeciw Anglji i Niderlandom i od tamtej strony ubezpieczyć naturalne granice

Francji, zaślepiony chęcią zdobycia Medjolanu, a może jeszcze więcej żądzą odwetu na zbyt szczęśliwym przeciwniku, marzył tymczasem Franciszek I nadal o podboju Lombardji i z całym zapałem swego rycerskiego ducha, lecz szalonej polityki, do tego jednego znów zmierzał celu.

Właśnie zaś w tejże chwili rozeszła się w świecie chrześcijańskim żałobna wieść o upadku Belgradu i o zdobyciu Rodu przez Turków. Kiedy Hadrjanowi VI doniesiono o tym nowym pogromie chrześcijaństwa, »nie wyrzekł ani słowa, tylko — jak opisuje poseł wenecki — spuścił na dół wzrok i westchnął głęboko«. Chwila to była w jego panowaniu decydująca: wyszedł z dotychczasowej politycznej bierności, którą uważał dotąd za święty stanowiska swego obowiązek, i zwróciwszy się do powaśnionych mocarstw, zażądał kategorycznie najpierw rozejmu, potem wspólnego podjęcia krucjaty. Karolowi V żądanie to było wielce na rękę, bo gwarantowało mu *status quo* w chwili powodzenia na całej linji, poręczało obronę zagrożonych przez Turków Węgier, paraliżowało wspólnem religijnem hasłem krucjaty religijne spory w Niemczech i odpowiadało wreszcie celem »świętej wojny« jego własnej, skomplikowanej, przebiegłość z mistycyzmem zespalającej naturze. Lecz to, co leżało w interesie cesarza, nie było po myśli Franciszka I. »Gotowiśmy — pisał do Rzymu — zawrzeć rozejm lub pokój i stanąć z całą naszą potęgą przeciw Turkom, byle Medjolan, który jest naszą własnością, nieprawnie nam wydartą, zwrócony nam przedtem został«. Hadrjan VI odpowiedział na to zagrożeniem kar kościelnych, gdyby król, trwając w uporze, rozejmowi pomiędzy państwami chrześcijańskiemi dalsze chciał stawiać przeszkody. Zuchwała odpowiedź króla, w której groźbą odpłacał za groźbę, przypominając papieżowi Bonifacego VIII, Nogareta i dramat w Anagni, przeważyła szalę: w przeddzień niemal śmierci, 3 sierpnia 1523 r. przystąpił Hadrjan VI do Ligi przeciw Francji, do której należeli: cesarz, Henryk VIII, arcyksiążę Ferdynand w imieniu brata za Austrję, dalej Florencja, książę Medjolański, Genua, upatrująca w poskromieniu Francji rękojmię dla narodowego u siebie rządu Adornów, wreszcie Wenecja, dla której Francuzi byli nie-

bezpieczniejszymi sąsiadami w Lombardji, niż słaby Francesco Sforza. Od czasów Ligi w Cambrai nie widział był świat takiej skonfederowanej potęgi. Zbroili się wszyscy, a przeciw wszystkim zbroił się nieustraszony Franciszek I na nową wyprawę do Włoch.

Takie było położenie Europy i stanowisko Rzymu w pamiętnej jesieni 1523 roku, kiedy Klemens VII wstępował na Stolicę Apostolską. A wśród tego pasowania się dwóch wyjątkowych indywidualności na przełomie epoki, pomiędzy tym królem, ostatnim średniowiecznym rycerzem, zrywającym się wciąż z grona świetnych uciech i zabaw na te same, zawodne zawsze podboje, i tym młodym cesarzem, o tajemniczej niemal potędze, którego szczęściu już nie gwiazda, ale niezachodzące w jego państwach słońce przyświecać się zdawało, staje właśnie w owej chwili postać trzecia, zdumiewająca śmiałością zamiaru, ponura ogromem spełnionej, choć daremnej zbrodni, tragiczna własnym losem i zgubnym wpływem na losy Włoch i Rzymu.

W samem sercu Francji, którą Ludwik XI przetworzył chytrą swą polityką na państwo nowoczesne, łamiąc średniowieczny feudalny w niej ustrój, zostali się byli ostatni wasale korony w dwóch, idących od szóstego syna św. Ludwika, gałęziach rodu Bourbonów. Obie gałęzie połączyły się z początkiem XVI wieku przez małżeństwo Karola de Bourbon z kuzynką Zuzanną ponownie w jeden szczep i utworzyły rozległe państwo, obejmujące księstwo Bourbonnais, księstwo i Delfinat Auvernji, hrabstwa Montpensier, Forez i La Marche. Stojący na czele tego państwa Karol de Bourbon był żołnierzem i wodzem o niezwykłych zdolnościach, czego dowiódł w bitwach pod Agnadelem i Marignano, politykiem wytrawnym, a przedewszystkiem wasalem dumnym i ambitnym, który sam o sobie mówił, że ofiarowanie mu królestwa nie zachwiałoby go w wierności wobec korony, ale że wierność ta nie wytrzyma próby obelgi. Rezydencja jego w Moulins współzawodniczyć mogła świetnością z niejedną z ówczesnych stolic państw niezawisłych, miał własne, dobrze wyćwiczone gwardje i skarb zasilany podatkami, które mógł z prawa w bogatych swych prowincjach ściągać. Takiego wasala nale-

żało zgnieść przemocą, jak to umiał Ludwik XI, albo też łaską przywiązać do siebie.

Franciszek I zrazu drugiej, odpowiedniejszej w danych warunkach, trzymał się taktyki: Bourbon został konetablem Francji, a po bitwie pod Marignano namiestnikiem Lombardji, której strzegł i w której dobre sprawował rządy. Ale wnet zmieniło się usposobienie króla; inni posiedli jego łaski, mianowicie Lescuns, Lesparre i Lautrec, bracia pięknej, a władającej sercem Franciszka I pani de Chateaubriant, i po kilku miesiącach odwołano Bourbona z Lombardji, którą był zdobył, a namiestnikiem na jego miejsce został Lautrec, który ją miał stracić. To było pierwszym kamieniem obrazy, za którym wnet padły na Bourbona inne, kiedy go w chwili pierwszego starcia między Franciszkiem I a Karolem V przy podziale czterech dowództw armji pominięto, nie zostawiając mu nawet należącego się z prawa konetablowi Francji dowództwa awangardy. W osobistem zetknięciu traktował go król wyniośle i ozięble, dworacy z lekceważeniem, a do tych obelg przyłączyła się wreszcie ostatnia, ale najdotkliwsza: matka królewska, Ludwika Sabaudzka, z tytułu pokrewieństwa ze starszą linją Bourbonów zażądała wydania nagle spadku po zmarłej właśnie bez potomstwa dziedziczce tej linji, a żonie konetabla, Zuzannie.

Czy do kroku tego zniewoliła króla pokusa przełamania zbytniej potęgi wasala, czy dyktowały go, jak twierdzą niektórzy z ówczesnych autorów, zawód i zemsta zakochanej w młodym i pięknym konetablu matki królewskiej, z którą tenże nie chciał w powtórne wchodzić śluby, dość, że w chwili, kiedy burza gromadziła się nad głową Franciszka I i koalicja całej prawie Europy zagrażała jego państwu, stwarzał on sobie jakby z umysłu w samym środku Francji najniebezpieczniejszego wroga. Bo Bourbon nie zapominał doznanych krzywd, a z chwilą, kiedy mu zagrożono najcięższą, czyli ograbieniem, zniósł się natychmiast z nieprzyjaciółmi Francji i jej króla. Henryka VIII utwierdzał w zamiarze zbrojnej rewindykacji ziem francuskich, należących mu się rzekomo z tytułu Plantagenetowskich praw; Karolowi V, który się już oddawna ubiegał o jego względy, nęcąc

KAROL KS. DE BOURBON

Wielki Connétable Francji.

Rycina Łukasza Vorstermana, według zaginionego portretu Tycjana.

go ręką siostry, Eleonory Portugalskiej, radził zająć i posiąść wschodnie prowincje Francji; sam wznieceniem rokoszu obiecywał najsilniejsze dla tych przedsięwzięć poparcie, a wzamian chciał wykroić sobie w sercu Francji duże, niepodległe państwo. Spisek odkryto na czas, a kiedy po zbyt późnych usiłowaniach króla, żeby buntownika przejednać, a nieudanych, żeby go w ręce dostać, Bourbon zdołał zmylić pogoń i zbiegnąć za granicę, Franciszek I przyjaciół i wspólników jego stawił przed sąd, ziemie obłożył sekwestrem, a jego samego ogłosił banitą.

Wiek XV oswoił był ludzi z pojęciem zdrady i z osobami zdrajców. Nad postępkiem Bourbona przecież i ówczesny świat zdumiał, kiedy celem zdrady był ni mniej ni więcej, tylko rozbiór wielkiego królestwa, a zdrajcą książę z królewskiej krwi. We Włoszech mniej może zdawano sobie sprawy z tego, co zaszło. Wśród rozdrobnionych lokalnych i dynastycznych interesów zanikało tam bowiem zupełnie poczucie jakiejkolwiek spójni i obowiązku względem całości, a prawo indywidualne zatarło zczasem zrozumienie praw wyższych. Zresztą już i wskutek zwykłej przedajności kondotjerów i ciągłego przerzucania się ich z obozu do obozu musiały Włochom zdrady spowszednieć. Stąd sądy ich o Bourbonie były łagodniejsze od innych, a że prócz tego czarem swej osobistości umiał on sobie i nadal podbijać bliższych, więc nie dziw, że naprzykład spokrewniona z nim rozumna i urocza margrabina Mantuańska, Izabella Gonzaga d'Este, witała go z radością, kiedy się wkrótce po ucieczce z Francji na dworze jej pojawił. W listach z tej epoki znajduje ona tylko życzliwe i ciepłe dla niego słowa, wielbi »męstwo i stałość«, z jaką »niedolę« znosi, i jakby w usprawiedliwieniu takiej dla niego słabości, zwie go *gentil e bel signore*. Inaczej spoglądano na Bourbona w Hiszpanji, gdzie honor kastylski nie znał kompromisów sumień włoskich. Toteż kiedy później, po bitwie pod Pawją, Bourbon do Madrytu zawitał, mimo świetnego przyjęcia, jakie mu Karol V zgotował, mimo zaszczytów, któremi go obsypał, margrabia de Villena na wezwanie cesarza, aby konetabla w domu swoim ugościł, odrzekł dumnie, że panu swemu niczego

odmówić nie zdoła, ale że potem własną ręką podpali dom, którego progi przestąpił zdrajca.

W tych pierwszych czasach swego tułactwa tłumił atoli Bourbon gniew i z zimnem wyrachowaniem szukał narzędzi, wyczekiwał okazji odwetu. Do zawikłań chwili i zawiści skonfederowanych przeciwko Francji potęg wnosił nowy, najsilniejszy żywioł zemsty, i starą dewizę swego rodu: *Espérance*, zastąpił inną: *Omnis spes in ferro*. Los zrządził, że tem żelazem, które ostrzył na Francję i na Franciszka I, najsrożej ugodził nie w nich, ale w Rzym i w papieża.

VII.

Włochy w r. 1525.

Zaraz po elekcji zapłacił Klemens VII pierwszą ratę z kwoty należącej się od Rzymu i Florencji na cele ligi przeciw Francji, do której jego poprzednik, Hadrjan VI, był w przeddzień zgonu przystąpił. Ale dalszych wpłat odmówił wręcz, wymawiając się pustką w skarbie papieskim. Napróżno wzywał go Karol V przez umyślnych wysłanników do formalnego odnowienia przymierza, daremnie napierał na niego w tym samym celu książę di Sessa, poseł hiszpański w Rzymie, przypominając mu niedwuznacznie, że tiarę cesarzowi zawdzięczał. Papież wzbraniał się, w nadziei, że zdoła pozostać neutralnym, bez mieszania się do nieustającej walki, w której pragnął tylko jednej roli, roli rozjemcy. Tymczasem zaś obie strony o swej życzliwości zapewniał. Cesarzowi donosił, »że jeżeli, będąc kardynałem, był jego sługą, to teraz sprawy i interesa cesarskie uważa za własne«, że z tej przyczyny odrzucił nawet propozycję dworu francuskiego, ażeby młodą latorośl swego domu, Katarzynę Medycejską, z księciem Orleanu, drugim synem królewskim, zaręczyć i dać jej, jako wiano, Medjolańskie księstwo. Równocześnie atoli zapewniał Franciszka I, że pragnie trwać z nim w równej, co z cesarzem, przyjaźni, obiecywał mu, że wszelkich dalszych subsydjów na wojnę z Francją cesarzowi odmówi.

Ze subtelnym swoim zmysłem politycznym musiał Karol V już wtedy niezawodnie zrozumieć, że mu się ten Medyceusz,

dotąd składne jego woli narzędzie, naraz z rąk wyśliznąć stara. I w istocie rzeczy tak było. Zwrot Klemensa VII był niespodziany, bo nagły, ale względy kierujące nim były słuszne, choć nie poparte dostateczną siłą i może za późne. Sprawa lombardzka stawała się bowiem dla reszty Włoch, szczególnie dla Rzymu i Florencji, piekącą, a raczej coraz bardziej dopiekającą. Wprawdzie Hiszpanie zawdzięczali wzrost swej potęgi we Włoszech udzielanemu im kolejno przez Aleksandra VI, przez Juljusza II i Leona X poparciu. Ale ci papieże, zbliżając się do Hiszpanji, szukali tylko przeciwwagi wobec Francji. Dla dwóch ostatnich, a szczególnie dla dumnej włoskiej duszy liguryjskiego papieża, Hiszpan na półwyspie był w rzeczywistości równie znienawidzonym intruzem, pogardzanym *barbaro*, co Francuz. Tak samo Klemens VII zdobył wprawdzie jako kardynał wspólnie z wojskiem Karola V Medjolan, ale jedynie w tym celu, aby wyprzeć z Lombardji Francuzów i księstwo Medjolańskie oddać włoskiemu księciu. Rachuby te zawiodły: Karol V ociągał się z nadaniem inwestytury Sforzy, który miał tylko cień władzy, i Lombardja była i nadal jabłkiem niezgody między powaśnionemi stronami, a rządziły nią wyłącznie, z bezlitośnym wyzyskiem, załogi hiszpańskie. Na południu i na północy, w Neapolu i w Medjolanie rosła więc ta sama hiszpańska przewaga, coraz groźniejsza dla Włoch środkowych, ujętych z obu stron w twarde jej kleszcze.

Mściły się teraz wszystkie polityczne grzechy Włochów z XIV i XV wieku. Dla rozćwiartowanego przez pojedynczych tyranów kraju już nawet wspólne niebezpieczeństwo nie było dostatecznym kitem. Czuli wszyscy grozę położenia, ale o wspólnym oporze nie było mowy. Pomniejsi książęta zdawali się na łaskę i niełaskę jednej lub drugiej, francuskiej lub hiszpańskiej strony; inni, silniejsi, do których i Klemens VII należał, lawirowali wśród dwóch zdań i dwóch obozów, a w braku odwagi do radykalniejszych środków, próbowali jeszcze wygrywać obu współzawodników przeciw sobie. Rozjemcze usiłowania papieża spełzły na niczem, kłopoty się zaś wzmagały, bo wznowiona w jesieni 1523 r. wojna w Lombardji nietylko nie osłabiła

potęgi hiszpańskiej, ale przeciwnie, zdawała się zwiastować ostateczny pogrom Francji. Niedołęstwo admirała Bonnivet, faworyta królewskiego i dowódcy wojsk francuskich, udaremniło początkowe tychże wojsk powodzenie. Z wiosną 1524 r., stojący teraz na czele armji cesarskiej wielki banita, Bourbon, wspólnie z wice-królem neapolitańskim, Karolem de Lannoy, i margrabią di Pescara, wyparł ponownie Francuzów z Lombardji. Papież zaś przez nuncjusza w Londynie domagał się tymczasem pokojowej interwencji Henryka VIII go, aby położyć koniec krzywdzącym rządom namiestników cesarskich we Włoszech i uzyskać nareszcie dla Sforzy prawdziwą niepodległość w Medjolanie.

Szukanie poparcia z tej strony było tem większem złudzeniem, że dojrzewająca od roku myśl rozbioru Francji teraz właśnie miała się stać z woli sprzymierzeńców doraźnym ich planem. Duszą przedsięwzięcia był Bourbon. Do cesarza i do króla angielskiego pisał, iż nadeszła chwila, aby wkroczyć wspólnie do Francji, zrzucić Franciszka I z tronu i podzielić się jego państwem. Cesarz miał uderzyć z południa, Henryk VIII ruszyć na Paryż; sam Bourbon od Alp chciał zająć Prowancję, a obiecywał, że z chwilą pojawienia się we Francji, wszystkich dawnych wasalów zwabi pod swe znaki. W Madrycie, jak w Londynie, namowy te chętny znajdowały posłuch. Tylko ostrożny Tudor przysłał naprzód do obozu w Montecalieri posła, Ryszarda Pace, z rozkazem, aby przed rozpoczęciem akcji odebrał od konetabla przysięgę wierności wobec niego, Henryka VIII, jako króla Francji. Mściwy Bourbon, nie mający już nic do stracenia, i tę przysięgę złożył, a w chwili przejścia przez granicę uroczyście i wobec świadków posła angielskiego zapewnił, że włoży koronę św. Ludwika na skroń potomka Plantagenetów. »Dla takiego celu — pisał do Henryka VIII — nie będziemy szczędzić ciała, ni mienia, krwi, ani życia naszego«.

Klemens VII usiłował na wszelki sposób wstrzymać wojska cesarskie od tej wyprawy, której cel, pogrążenie Francji, musiałby był zwichnąć jego własny program, polegający coprawda już tylko na utrzymaniu jakiej takiej, choć zbrojnej i ciągle

krwią znaczonej, równowagi między Hiszpanją a Francją. Z drugiej strony przecież przeniesienie teatru wojny poza Alpy było dla papieża, jak i dla reszty Włoch, chwilą odetchnienia. Ale tylko chwilą, bo ta tak szumnie zapowiadana i dumnie rozpoczęta przez Bourbona inwazja Francji, miała się stać przelotnym, bez doniosłości w rozwoju wypadków epizodem. Wprawdzie kilka miast południowych otworzyło przed nim bramy, a w Aix rajcy miejscy złożyli mu przysięgę wierności, zaczem przybrał tytuł hrabiego Prowancji. Towarzyszący mu na czele wojsk hiszpańskich przezorny margrabia di Pescara nie chciał przecież dla jego zemsty własnej narażać armji, i zamiast ryzykownego zapuszczania się w głąb kraju, radził zacząć akcję od oblężenia Marsylji; Henryk VIII, wbrew obietnicy, zwlekał ze swej strony z lądowaniem na północy, wyczekując zapowiadanego przez Bourbona, a nie wybuchającego w środkowej Francji rokoszu; Karol V wreszcie ociągał się z przekroczeniem granicy francuskiej, licząc na to, że wzięta w posiadanie Marsylja będzie mu już dostatecznym w dalszym sporze o Lombardję i Burgundję przedmiotem targu.

Przedewszystkiem zaś rozbiły się mściwe zakusy Bourbona o dzielność Marsylji, której załogą dowodził wysłannik królewski, Chabot de Brion, i Lorenzo Orsini, dla grodu swego w Kampanji zwykle Renzo da Ceri zwany. Pomimo że Marsylja od czterdziestu lat dopiero należała do korony francuskiej, przywiązanie do wielkiej nowej ojczyzny rozbudziło taki patrjotyczny zapał, że mieszkańcy jej współzawodniczyli z żołnierstwem w sypaniu szańców, dźwiganiu ostrzeliwanych przez nieprzyjaciela murów, strzeżeniu bram i wyłomów. Czterdzieści dni trwała bohaterska obrona, aż nadciągające wojska królewskie zmusiły Bourbona, obawiającego się odcięcia od Włoch, do zaniechania planu. W trop za uchodzącą jego armją, której odwrót zasłaniał umiejętnie Pescara, szli atoli Francuzi, tym razem pod wodzą samego króla, i w dzień, kiedy zdemoralizowane nieudaną wyprawą, zmęczone uciążliwym, nieraz do ucieczki podobnym marszem wojska cesarskie wyszły z gór liguryjskich i wkroczyły

do Alby, Franciszek I wchodził do Vercelli i nieszczęśliwe północne Włochy stawały się znów teatrem wojny.

Pomimo tylokrotnych niepowodzeń oręża francuskiego we Włoszech w ciągu lat ostatnich, tym razem sądzili Włosi, że karta się obróci i że rozpoczynająca się na nowo wojna położy koniec przygniatającej ich coraz bardziej przewadze hiszpańskiej. Ufność tę budził widok powracającej jakby w rozsypce i po klęsce armji cesarskiej, która bez próby oporu opuściła Medjolan w chwili, kiedy wojsko francuskie stanęło pod murami miasta. Silniej zaś jeszcze działała na włoskie wyobraźnie obecność w obozie francuskim króla Franciszka, w którym widziano zawsze świetnego zwycięzcę z pod Marignano, wodza, któremu żaden nieprzyjaciel w osobistem spotkaniu nie sprostał. Ku niemu zwracały się oczy wszystkich, a pomniejsze dwory włoskie jęły ubiegać się o jego względy, zapewniać go o gotowości do usług. Tak samo i Klemens VII liczył się ze zmienioną sytuacją, ale choć w głębi serca życzył narazie powodzenia Francuzom, bojąc się przecież, że to powodzenie mogłoby być znowu, jak już tyle razy, tylko przelotnem, i teraz pragnął zapobiec zupełnemu rozegraniu partji. Stąd też w chwili, kiedy Franciszek I, zamiast ścigać wojsko cesarskie, gotował się za złą poradą Bonniveta do oblegania Pawji, a wice-król neapolitański, Lannoy, w niedalekiem Soncino gromadził wokoło siebie resztki topniejącej z dniem każdym armji cesarskiej, pojawił się między dwoma obozami wysłannik z Rzymu z nowemi propozycjami papieża.

Wysłannikiem tym nie był, jak za poprzednich misyj, oddany cesarzowi i jego sprawom Schomberg, tylko, co znamionowało zmienione usposobienie papieża, najgorętszy poplecznik polityki francuskiej w Watykanie, datarjusz Giberti. W Soncino żądał legat cofnięcia wojsk hiszpańskich do Neapolu, w obozie pod Pawją odprowadzenia francuskich poza Alpy, tu i tam oddania księstwa Medjolańskiego zrazu papieżowi w sekwestr, pod opieką mającej się zawiązać w celu pacyfikacji Włoch zbrojnej ligi trzech największych państw włoskich, Wenecji, Florencji Rzymu.

Błędem przy stawianiu tych warunków było to, że zapowiadano w nich jako skutek, co powinno było być ich przesłanką. Bo gdyby Klemens VII był chciał i zdołał poprzeć te żądania posunięciem wojsk własnych i florenckich ku Lombardji i połączeniem ich z wojskami Rzeczypospolitej weneckiej, argument taki mógłby był wymóc na Francuzach i na Hiszpanach ustępstwa. Dyplomatyczna, żadną siłą nie poparta misja wywołała tylko z obu stron hardą odpowiedź: wice-król neapolitański odrzekł, że o układach nie może być mowy, póki piędź ziemi lombardzkiej pozostaje w posiadaniu francuskiem; Franciszek I zapowiedział, że się nie zadowoli Medjolanem, ale ruszy wnet dalej na podbój Neapolu. Misja Gibertiego rozbiła się więc zupełnie, a papież z rosnącym niepokojem oczekiwał dalszego rozwoju niezależnych już od niego wypadków.

Tylko, zamiast oczekiwać ich biernie, skory zawsze do politykowania jął jeszcze w tej ostatniej chwili, kiedy już tylko oręż mógł rozstrzygać i rozstrzygnąć lada chwila musiał, coraz to nowych, a niebezpiecznych, próbować środków: wice-królowi neapolitańskiemu zapłacił wprawdzie sekretnie 6.000 dukatów z tytułu zobowiązań ligi z r. 1523, ale w kilka dni potem zawarł we własnem, jako też w imieniu Florencji i Wenecji, tajemny układ z Franciszkiem I, mocą którego zobowiązywał się nie dostarczać żadnego poparcia cesarzowi, za co mu król obiecywał wzamian opiekę dla Wenecji, Florencji i Rzymu.

W najcięższych dla papieża warunkach, wobec sytuacji na ostrzu noża, rozpoczął się jubileuszowy rok 1525. Klemens VII daremnie czekał na przypływ wiernych do grobów Apostolskich. Wierni nie przybywali. Jednych odstraszała srożąca się w północnych Włoszech wojna, innych wybuchła świeżo w Rzymie samym zaraza. Prócz tego wszczęły się i w granicach państwa papieskiego niepokoje. Franciszek I wysłał był bowiem część armji pod dowództwem księcia Albany na zajęcie ogołoconego z wojsk cesarskich Neapolu, w nadziei, że tą dywersją zmusi wice-króla Lannoy do cofnięcia się z Lombardji na południe. Wskutek tej wyprawy zakotłowało i w środkowych Włoszech. Orsiniowe i Colonnowie jęli natychmiast werbować milicję nie-

tylko w swych włościach, ale i w samym Rzymie, pierwsi na rzecz Francji, drudzy dla obrony Neapolu, i zdawało się, że wzniecony na północy pożar lada chwila całe zajmie Włochy. Tem niecierpliwiej wyczekiwano nowin z głównego pola walki. Nadeszłe w styczniu niepokoiły coraz bardziej papieża: dzielność Antonia de Leyva, zamkniętego z załogą hiszpańską w Pawji, paraliżowała ruchy Franciszka I, który upornie oblegał nadal miasto, zostawiając wodzom cesarskim potrzebną zwłokę dla rekonstrukcji rozprzęgającej się armji. Armja ta, wzmocniona dwunastoma tysiącami lancknechtów pod Jerzym Frundsbergiem, którego Bourbon przywiódł z Niemiec, mogła teraz znów stawić czoło nieprzyjacielowi, dzięki mianowicie stanowczości margrabiego di Pescara, który pomimo wahań wice-króla Lannoy, zaniepokojonego wyprawą księcia Albany na południe, postanowił nie rozdzielać sił, w słusznem przekonaniu, że losy Medjolanu i Neapolu wspólnie się na polach Lombardji ważyć będą. Ale Klemens VII nie przypuszczał sam może, że rozstrzygnięcie w tej wielkiej sprawie tak szybko nastąpi, choć, znając trudności finansowe wodzów cesarskich, do ostatniej chwili namawiał Franciszka I, aby się oszańcował silnie i nie ryzykował bitwy, bo armja cesarska i tak z braku środków utrzymania wnet się rozprószyć musi.

Jest to albowiem tak znamiennem dla owych czasów zjawiskiem, że ta bitwa pod Pawją, decydująca o losach świata, w pierwszym rzędzie przyspieszoną i zaryzykowaną była przez wojska cesarskie wskutek pustki w ich skarbie. Nie tyle ilość i jakość żołnierza, co wciąż ta strona pieniężna decyduje o wszystkiem w owych wielkich wojnach z początku XVI wieku. Do zbyt kosztownych, bo światowych teraz zadań, przystępowali ówcześni monarchowie z za szczupłym materjalnym zasobem, opartym na przeżytych, niewystarczających już formułkach kontrybucyjnych z wieków średnich. To, co paraliżowało niegdyś ruchy jego dziadka Maksymiljana, wiązało tak samo teraz ręce Karolowi V, pomimo że połową świata zawładnął, sprawiało, że własne narzędzia wypadały mu nieraz z rąk i toczyły się przygodną koleją. Tak samo w owym roku 1525 wypróżniony skarb cesarza miał

rozstrzygnąć o ruchach jego wojsk. Utrzymanie przez dłuższy czas na stopie wojennej armji, skoncentrowanej pod Lodi, było niepodobieństwem. Wobec Hiszpanów zalegano oddawna z płacą, nowozaciągniętych lancknechtów zbyto tylko *Wartgeldem*, miesięcznie potrzeba było zaś 130.000 dukatów, a wyssana przez tyloletnie wojny Lombardja nie była już w stanie żywić najeźdźców. Dlatego margrabia di Pescara, a z nim Bourbon i Lannoy postanowili przyspieszyć wypadki i, mimo ryzyka, spróbować ostatniego środka ratunku, zastępując zwykłą średniowieczną metodą żołd łupem. W połowie lutego ruszyli więc na obóz królewski pod Pawją, a w kilka dni po tym, w rzeczywistości rozpaczliwym, bo najtwardszą koniecznością podyktowanym ruchu, spadła na Włochy jakby piorunem wieść, że wojska francuskie pobite na głowę, a sam król Franciszek I w niewoli.

Nie tu miejsce, ani naszem zadaniem dawać opis tej bitwy, ale dość wspomnieć, że jeżeli w skutkach politycznych stanowiła ona przełom dwóch światów, to w przebiegu swym była godnem i najpiękniejszem zakończeniem epoki rycerskiej. Ta rycerskość opromieniła ostatnim, zachodzącym blaskiem postać owego króla, stającego rankiem w błyszczącej zbroi do walki, walczącego z nieporównanem męstwem przez dzień cały na czele i w pierwszym rzędzie swych wojsk, upadającego wreszcie pod wieczór wraz z koniem na tem polu, na którem legli wokoło niego trupem La Tremoïlle, Lescuns, La Palice, d'Aubigny, bastard Sabaudzki, książę Lotaryngski i cały zastęp bohaterów z ostatnich średniowiecznych wojen, kwiat i chluba szlachty francuskiej. Ten król wołający w chwili wzięcia w niewolę, że woli umrzeć, niż oddać szpadę w ręce zdrajcy Bourbona, i oddający ją całującemu na klęczkach dłoń królewską Karolowi de Lannoy, który mu wzamian swą własną oddaje, »bo nie wypada cesarskiemu słudze patrzeć na bezbronnego króla, choćby jeńca« — to ostatnia pieśń z średniowiecznego rapsodu, zakończona jakby trenem ostatniego rycerza, ową zwrotką ze słynnej rymowanej epistoły królewskiej:

Las! que diray? cela ne veulz·nyer,
Vaincu je fuz et rendu prisonnier!

»Wszystko stracone, okrom czci« — pisał Franciszek I wieczorem po bitwie do matki, a że było »wszystko stracone«, to czuł nietylko on i Francja, ale czuli przedewszystkiem oniemieli z grozy na wiadomość o wyniku bitwy pod Pawją Włosi. Nagle i niespodzianie otwarły się im oczy i ujrzeli się nad brzegiem przepaści. Całe Włochy znały już ciężkie brzemię obcych najeźdźców: w Sycylji, pomimo twardych rządów wice-królewskich, wznawiające się wciąż sprzysiężenia i spiski świadczyły o nieugiętości oporu sycylijskiego ludu przeciw hiszpańskiemu jarzmu; w Neapolu żałowano i tęskniono niemal za minionem, z pewnością także nie lekkiem panowaniem Francuzów, odkąd poborczy system hiszpański krew z potem ludu wyciskał; w środkowych Włoszech, w Toskanji, z grozą wspominano świeżą a straszną rzeź w Prato, gwałty i mordy spełnione przez dzikie żołdactwo hiszpańskie przy zajęciu tego miasta; na północy zaś Wenecja nie zdołała jeszcze wygoić ran, zadanych jej w czasie Ligi z Cambrai, a czuła, że obca przemoc wyzuje ją już na dobre z pierwszego, dominującego stanowiska na półwyspie; Lombardja wreszcie, najnieszczęśliwsza ze wszystkich ziem włoskich, zamieniona od lat trzydziestu w nieustający niemal teatr wojny, tratowana naprzemian przez Hiszpanów i Francuzów, Szwajcarów i Niemców, żywa i najboleśniejsza rana w ciele włoskiem, stała teraz wobec rozstrzygającego triumfu może najsroższych swych ciemiężycieli. Wszyscy, wielcy i mali, truchleli na widok otwierającej się dla Włoch przyszłości, która tym, co już byli podbici, groziła utrwaleniem niewoli, z innych zaś silniejszym utratą wpływu, słabszym niepodległości.

Dla Klemensa VII, który przenikliwiej zwykł był w przyszłość patrzeć, choć złemu zaradzić nie umiał, nowy ten, a tak świetny sukces cesarski nie był może tak wielką, jak dla reszty Włoch, niespodzianką, ale zato sroższym niemal jeszcze ciosem. Pierwszy ze wszystkich, i to prawie bezpośrednio po bitwie pod Pawją, uczuł on dotykalne jej skutki. Niedaleko Rzymu, pod Monterotondo, stała bowiem jeszcze nietknięta część armji francuskiej, ów oddział, przeznaczony na kampanję w Neapolitańskiem. Wódz jej, książę Albany, na wieść o pogromie Francji

zrozumiał, że zadanie jego skończone, i postanowił ruszyć co prędzej przez Bracciano i inne włości sprzyjających mu Orsinich ku wybrzeżom. Ale ambasador hiszpański przy dworze papieskim, książę di Sessa, spróbował odciąć mu odwrót i w tym celu jął w samym Rzymie, pomiędzy stronnikami Colonnów, zaciągać żołnierza. Albany uszedł cało, na zdążający jednak za nim od Sermonety oddział pod znakami Orsinich napadł około Tre Fontane Giulio Colonna i przyszło do bitwy. W zamęcie Orsiniowie i Colonnowie przez bramy Appijską i Ostjańską wpadli do Rzymu, w mieście zakotłowało, a zacięta walka zawrzała na Campo di Fiore i koło pałacu Orsinich przy Monte Giordano. Z troską i gniewem patrzał papież na takie podeptanie jego władzy i powagi w Rzymie. Było to dla niego jakby przedsmakiem przyszłości, złowrogą jej wróżbą.

Najprzód przyszło mu więc uśmierzać tę burzę, ułatwić księciu Albany spokojny odwrót, skłonić nadciągających z południa Colonnów do cofnięcia się w Neapolitańskie. A tymczasem z Hiszpanji groźne nadchodziły wieści. Cesarz nie taił niezadowolenia ze stanowiska, jakie Klemens VII zajął w przeddzień bitwy pod Pawją, w ostrych słowach skarżył się na jego niewdzięczność, zapowiadał, że sam do Włoch przybędzie, aby zrobić porządek. Wedle Paola Giovia, korespondencja papieska z Franciszkiem I ze zdobytego obozu pod Pawją dostała się do rąk cesarskich. Karol V miał więc dokumentami stwierdzone dowody, jak się ten dawny jego stronnik przesunął najprzód ku neutralności, a z neutralności przesuwał z kolei na stronę przeciwną. Zrazu ratowano położenie znów zwykłym ówczesnym środkiem, nowym traktatem. Już 1 kwietnia 1525 r. stanął za pośrednictwem bratanka kanclerza cesarskiego, młodszego Gattinary, układ, mocą którego wice-król i Klemens VII ślubowali sobie przyjaźń, poręczali wzajemnie posiadłości swoje we Włoszech. Ale te układy były czczą tylko formalnością; nikt już w ich skuteczność nie wierzył, najmniej może sami kontrahenci. Cesarz stracił zaufanie do papieża; papież przemyśliwał jedynie, jakby się osłonić przed zemstą cesarza, a uchronić przed zachłannością hiszpańską; pierwszemu złemu miał zaradzić narazie

ów traktat z 1 kwietnia, który się skończył nową, nałożoną na Rzym i Florencję, kontrybucją; przeciw drugiemu niebezpieczeństwu postanowił Klemens VII innych szukać środków.

Środki te same z siebie mu się nastręczyły. Po pierwszem przygnębiającem wrażeniu, jakie bitwa pod Pawją wywarła na Włochy, jakiś wiatr świeższy, ożywczy powiał bowiem przez półwysep. Na chwilę ucichły domowe swary i graniczne waśnie, zamilkł partykularystyczny interes, a hasło wspólności, tak doszczętnie w ciągu wieków zatarte, skupiło znów zagrożone wspólnie części. Przodowała w tym ruchu tak upornie stojąca dotąd zawsze na uboczu, dumnie odosobniająca się Wenecja. Już to samo dowodziło potrzeby spójni. Sekundował jej nieszczęśliwy Francesco Sforza, który, zamiast księciem Medjolanu, był właściwie tylko przymusowym poborcą ciężkich kontrybucyj hiszpańskich. Z Wenecją i Medjolanem połączył się wnet za Rzym i Florencję sam papież. Nie było między nimi pisanego traktatu. Ale nie pisany, tylko polegający na jednakowem przekonaniu, mógł właśnie mieć w owych czasach większą szansę powodzenia; nie był to układ, ale raczej spisek o daleko, bo aż do Francji i Anglji, sięgających rozgałęzieniach. Chwilowa konstelacja polityczna sprzyjała nawet w pewnej mierze sprzysiężonym. Dzielność, z jaką matka królewska, Ludwika Sabaudzka, jako regentka osierociałej Francji odrzuciła twarde warunki pokoju, stawiane przez Karola V, z drugiej strony zaś zbliżenie się ku Francji Henryka VIII, który wolał sąsiadować z osłabionym i ugiętym przez niepowodzenia Franciszkiem I, aniżeli ze zbyt silnym, lecz nie kwapiącym się wcale do dzielenia się państwem francuskiem z Anglją cesarzem, dodawały Włochom otuchy. Na regentkę nalegano z poza Alp, żeby nie ustępowała ani na krok w oporze przeciw żądaniom cesarza, ale czekała chwili, aż koalicja włosko-francuska za tańszą cenę wolność jej syna odkupi. Wzamian wymagano od niej tylko zrzeczenia się praw francuskich do Lombardji i uznania Francesca Sforzy księciem Medjolanu.

Zabezpieczywszy się w ten sposób na przyszłość od strony Francji, ufali sprzysiężeni, że zdołają wspólnemi siły zamknąć Hiszpanom przystęp do Włoch. Dla tego celu było atoli wprzód

nieodzownem rozbicie tej armji hiszpańskiej, która jeszcze stała w Lombardji. Targnięcie się na połączonych zwycięzców z pod Pawji, na Karola de Lannoy, Bourbona i Pescarę, zdawało się jednak zbyt hazardownem zadaniem. Postanowiono więc szukać innego sposobu bezkrwawego rozbicia stojących na północy Hiszpanów, a zbieg okoliczności sam dostarczył pola do jednej z owych subtelnych *combinazioni*, w których się Włosi po wszystkie czasy lubowali.

VIII.

Margrabia di Pescara.

Franciszek I od wzięcia w niewolę osadzony był pod strażą Alarcona na zamku w Pizzighettone. Zamek był obronny, a strażnik czujny i pewny. Pomimo tego sądzili wodzowie cesarscy, że przecież bezpieczniej będzie oddalić jeńca od zaburzonej bądź co bądź zawsze Lombardji i przewieźć go do Castel Nuovo w Neapolu. W tym celu ruszył z nim w początku czerwca wicekról de Lannoy do Genuy, aby się morzem do Neapolu przeprawić. W ciągu drogi zmieniono jednak projekt. Franciszek I łudził się bowiem, że w osobistem zetknięciu zdoła wzbudzić wspaniałomyślniejsze uczucia w zwycięzcy i nalegał, ażeby go przewieziono do Hiszpanji. Wice-królowi było to na rękę, bądź że obawiał się dla tak cennego więźnia niezdrowego o tej porze roku klimatu neapolitańskiego, bądź że wolał dzielić odpowiedzialność straży z samym cesarzem, bądź wreszcie, że schlebiało to jego miłości własnej, aby z takim jeńcem stanąć wobec dworu przed obliczem cesarskiem. W ostatniej chwili wydano więc inne rozkazy i zamiast ku Neapolowi, popłynęła flota hiszpańska ku Barcelonie, a to bez wiedzy Karola V i w zupełnej tajemnicy przed Bourbonem i Pescarą.

Dla tych ostatnich potajemne wywiezienie króla do Hiszpanji było ciężką obrazą i ciosem: wyrywano im z ręki krwawo zdobyte trofeum, a szemrającemu i tak już ich żołnierstwu zabierano jeńca, za którego hojnej spodziewało się nagrody; bitwa pod Pawją, wygrana sztuką Pescary, męstwem Bourbona, miała

się w ten sposób zakończyć jednego triumfem Karola de Lannoy, który tym postępkiem zdawał się windykować całą zasługę zwycięstwa dla siebie. Porywczy Bourbon, nie hamując gniewu, natychmiast za przedmiotem swej nienawiści do Hiszpanji podążył. Na czele pozostałego w Lombardji, ale już przez zbrojne świty Karola de Lannoy i konetabla uszczuplonego wojska stał teraz, nie tając rozgoryczenia, lecz skarżąc się głośno na niewdzięczność cesarza i podstęp wice-króla, sam Pescara. Ku niemu zwóciły się oczy Włochów.

Ferrante Francesco d'Avalos, margrabia di Pescara, pochodził z hiszpańskiej, jeszcze za Alfonsa I z domem Arragońskim w Neapolitańskie przybyłej rodziny. Pomimo stuletniego przebywania na ziemi włoskiej, z którą się zrósł interesem, zachował był jego dom język i obyczaj hiszpański. Wraz ze stryjecznym bratem Alfonsem, margrabią del Vasto, chował się wcześnie osierociały Pescara pod opieką ciotki, Constanzy d'Avalos, księżnej di Francavilla, na Ischji. Do zawodu żołnierskiego sposobiły młodzieńców nietylko namowy, ale i osobisty przykład ambitnej opiekunki, wsławionej dzielną obroną Ischji przeciw Francuzom. Dwór Constanzy d'Avalos na uroczej wyspie zaliczał się do najświetniejszych środowisk w południowych Włoszech. Gościli tam często Gonzalvo z Kordowy, książę Salernu, Fieramosca, Prospero i Fabrizio Colonna, a obok tych żołnierzy i mężów stanu pisarze, jak Paolo Giovio, Musefilo i cały zastęp owych niepospolitych zresztą poetów neapolitańskich, jak Sannazzaro, Bernardo Tasso, Rota, którzy tak wcześnie wnieśli do liryki włoskiej, wyprzedzając o kilkadziesiąt lat analogiczny zwrot w sztukach plastycznych, pierwiastek miękkości i manieryzmu. Jaki zbytek i przepych roztaczano na tych południowych dworach i zamkach, o tem świadczą dokładnie opisy współczesne festynów, wyprawionych w Neapolu z okazji przybycia wysłanników króla Zygmunta I po królowę Bonę. Ta *festa ed ingaudio della serenissima donna Bona Sforza, nova regina di Apolonia (sic)* zalicza się z pewnością do najwspanialszych uroczystości epoki Odrodzenia; cały wielki świat królestwa Neapolitańskiego i Sycylijskiego stanął do asysty przy zamianie pierścionków między zastępcą króla, Stani-

FERRANTE FRANCESCO D'AVALOS
MARGRABIA DI PESCARA.

Portret nieznanego malarza w Museo Correr w Wenecji.

sławem Ostrorogiem, kasztelanem kaliskim, a Boną i brał udział w dziewięciogodzinnym bankiecie, danym na ich cześć. W gronie weselnych gości była i księżna Francavilla z dworem swoim ischjańskim, a margrabia di Pescara należał do świty, odprowadzającej nową królowę polską do Manfredonji.

W tem świetnem otoczeniu, w którem bujność włoską miarkowała i równoważyła powaga żywiołu hiszpańskiego, rosła i rozwijała się od lat dziecięcych zaręczona, a w r. 1509 poślubiona margrabiemu di Pescara, słynna Vittoria Colonna. Wspólne pożycie nowożeńców trwało jednak krótko, bo wnet burze inwazyj francuskich wygnały młodego Pescarę do obozu. W rzadkich pokojowych przestankach przelotnie i gościem już tylko pojawiał się on na Ischji. Ale z pola walki dolatywały na cichą wyspę wieści o rosnącem powodzeniu i sławie szczęśliwego wojownika. Od bitwy pod Rawenną, po której stał z niewoli młodej małżonce zaginiony dziś niestety *Dialogo d'amore* swego pióra, chlubnie się znaczy jego imię w krwawym regestrze wojen w pierwszej ćwierci XVI stulecia, a największa, rozstrzygająca w tych wojnach wygrana hiszpańska, zwycięstwo pod Pawją, było w pierwszej mierze jego zasługą. Dla Vittorii rósł w nim rycerz, którego sława opromieniała jej tęsknotę, dla stojących bliżej Włochów wyłaniała się z niego jakaś przynęcająca, zwycięska siła, którą posiąść dla ratowania niepodległości włoskiej było więc godnem wielkiej sprawy przedsięwzięciem.

Ruchliwy i przedsiębiorczy kanclerz Francesca Sforzy, Girolamo Morone, był pierwszy, który się w tym celu do rozgoryczonego uprowadzeniem Franciszka I Pescary zwrócił. Najpierw naprowadził rozmowę na niewdzięczność cesarza, nie nagradzającego jak należy tylu i takich usług, jakie mu Pescara oddał, a słuchając tegoż skarg, zaogniał jeszcze zręcznem słowem jątrzącą się ranę. Następnie wskazał na prąd nurtujący w całych Włoszech a skierowany przeciw Hiszpanom, i zapytał Pescary, co o tym ruchu myśli. Zagadnięty d'Avalos odrzekł, że skupienie się państw włoskich i aljans ich z Francją mógłby istotnie cesarzowi nielada stworzyć trudności i narazić go na utratę Neapolu. »Komużby w takim razie oddano Neapol?« — zapytał ta-

jemniczo Morone. »Nie wiem — odrzekł Pescara — ale znalazłby się łatwo, ktoby taki dar przyjął«. »Może — szepnął Morone — oddanoby go tobie, gdybyś go przyjąć chciał«. Na tem urwała się pierwsza rozmowa.

Daremnie ostrzegał datarjusz Giberti, żeby tych rokowań nie prowadzić nadal i nie ufać nazbyt temu, który był bądź co bądź zawsze jeszcze wodzem wojsk cesarskich. Stymulowani przez gorącego Morona papież i Wenecjanie skłonni byli do dalszych pertraktacyj, a sam Pescara wznowienia ich szukał. Czy olśniony blaskiem obiecanej mu korony, był zrazu szczerym, czy też już od samego początku zastawiał tylko ze swej strony na sprzysiężonych sidła, tego dociec trudno. Umyślne przewlekanie sprawy z jego strony świadczyć się jednak zdaje, że po przelotnej może pokusie, chciał jedynie wniknąć w istotę całego włoskiego spisku, a w decyzji, czy ma zostać zdrajcą czy szpiegiem, rychło drugą rolę obrał. Bo Morone, zażądawszy od niego słowa żołnierskiego i rycerskiego, że dotrzyma tajemnicy, odsłonił mu wszystkie sprężyny sprzysiężenia: plan polegał na tem, ażeby on, Pescara, rozbroił, albo i w radykalniejszy sposób unicestwił załogę hiszpańską, zaczem wojska papieskie i florenckie, połączone z armją wenecką, stanęłyby pod jego komendą; tą siłą miał odpierać wszelkie dalsze zakusy Hiszpanów na Włochy, bronić im przystępu na półwysep, a papież, jako lenno, obiecywał mu w nagrodę Neapol.

Przygotowania jęły gorączkowo postępować naprzód. Za namową i instygacją Klemensa VII zbroili się Szwajcarzy i Wenecja, a pod wpływem papieskim zbliżała się Anglja do Francji. Tylko Pescara zwlekał ze stanowczą odpowiedzią, zasłaniał się skrupułami, żądał dochodzeń, a nawet teologicznych rozstrząsań, w jakiby się sposób z obowiązków swych wobec cesarza mógł zwolnić. Sofizmatami szerokich ówczesnych natur starał się go uspokoić Morone: zapewniał, że sam rozwiąże sobie ręce, składając wprzód cesarskie urzędy i powierzone mu przez cesarza dowództwo; oddał mu nawet skrypt, w którym wyłuszczone były przyczyny, dla jakich mógł rzekomo bez ujmy czci zdradzić swego dotychczasowego pana, a wstąpić na tron przez posłuszeństwo

wobec papieża, któremu Neapolem, jako papieskiem lennem, rozporządzać było wolno. Ale należało spieszyć się z decyzją, bo właśnie Sismondo Santi, sekretarz Alberta Pia z Carpi, jadący w poselstwie weneckiem na dwór regentki Francji, zamordowany został przez rozbójników w okolicy Brescii; papiery, które wiózł i które wtajemniczyć miały dwór francuski w knowany przeciw Hiszpanom spisek, zaginęły bez śladu i lada chwila mogły się dostać w ręce hiszpańskie. Z tą możliwością trzeba się było liczyć, aby w danym razie ubiec przeciwnika.

Czy Pescara czekał tylko, aż wszystkie nici tego zawiłego kłębka we własnej skupi dłoni, czy chciał posiąść wprzód niezbite, pisemne dowody spisku, jakich mu Morone owym rozgrzeszającym go skryptem dostarczył, czy wreszcie zląkł się, że go kto inny, choćby przypadkowy znalazca zaginionych po Sismondzie Santim dokumentów, w wykryciu sprzysiężenia przed cesarzem ubiegnie, pierwszeństwa zasługi pozbawi, a co gorzej narazić zdoła — dość, że we wrześniu wysłał zaufanego swego, Jana Baptystę Gastaldo, na dwór madrycki z rozkazem, aby cesarzowi istnienie spisku odkrył i o przebiegu i celach tych knowań go objaśnił. Że z wątpliwego charakteru własnej roli szpiega i niemal agenta prowokacyjnego zdawał sobie sprawę, o tem świadczą własne jego słowa, stosowane do Karola V. »Nierad jestem — pisał bowiem — z tych praktyk, ale kiedy przypadek i konieczność mnie zmusiła, chętnie Miłościwemu Memu Panu służę, choć nie bez wielkiego wstydu, bo nie taję sobie, że zawiniłem wobec jednej strony, byle nie zawinić wobec tej, której najwięcej obligowany jestem«. Ale tych praktyk, którym rad nie był, i teraz nie zaniechał bynajmniej, lecz je owszem z podwójną spełniał gorliwością, konferując naprzemian z Moronem, z agentami papieża i Wenecji, aby ich tem nieodzowniej skompromitować, a dokładniej ich zamiary poznać. Zamiarów tych nie lekceważył i natarczywie, niemal hardo nalegał na Karola V, aby nie zwlekał z zawarciem pokoju z Franciszkiem I, ale co prędzej tę sprawę, chociażby pod warunkiem zrzeczenia się Burgundji, skończył, byle mieć wolne ręce we Włoszech. »Inaczej — pisał — pożałujesz Najjaśniejszy Panie zwłoki, ale pożałujesz,

gdy już za późno będzie. Bo tu we Włoszech, niema nikogo, ktoby nie drżał przed Twoim Majestatem, ale nikogo także, ktoby nie przeklinał jarzma Twego wojska. Nie masz, Najjaśniejszy Panie, przyjaciół w tym kraju, gdzie książę Ferrary i margrabia Mantuański równie Ci są wrodzy, jak książęta Medjolanu lub Genuy, gdzie Lucca jest bardziej francuską od samego Paryża, a Siena wnet nią będzie, gdzie mało już liczysz sług, którzyby nie byli znużeni i zniechęceni«.

Równocześnie gotował się Pescara do czynu, koncentrował rozsiane po Lombardji załogi hiszpańskie pod Medjolanem i wzmocnił je nowym zaciągiem niemieckich lancknechtów, tłumacząc ten ruch spiskowcom chorobą księcia medjolańskiego, Francesca Sforzy, i potrzebą znaczniejszego zbrojnego pogotowia na wypadek jego zgonu. Wsparty na takiej sile, postanowił zdjąć maskę: dalsza zwłoka była już niemożebną, bo z jednej strony sprzysiężeni niepokoili się zbyt długiem jego wahaniem, z drugiej podwładni hiszpańscy zaczynali wietrzyć otaczające ich intrygi i Antonio de Leyva groził otwarcie, że Morona stracić rozkaże. Może wreszcie parła Pescarę ku rozwiązaniu tej sytuacji własna niemoc, która w sile męskiego wieku pędziła go do grobu: przed zgonem chciał dokonać dzieła.

Morone zapewniał niejednokrotnie papieża i Wenecjan, że w razie najmniejszego podejrzenia skorzysta z częstych odwiedzin Pescary u Sforzy na zamku w Medjolanie, aby go tam przyaresztować. Nie przypuszczał, że sam wpadnie w podobną pułapkę. W połowie października chory już Pescara wezwał go do Nowary. Kanclerz przybył i zeszli się na nową konferencję. Tylko tym razem zmusił go margrabia do obszerniejszej niż kiedykolwiek relacji, zażądał wyliczenia najdrobniejszych szczegółów co do planów włoskich i roli, którą jemu w nich wyznaczono. Morone sądził, że zbliża się nareszcie chwila dobicia targu, i jeszcze raz roztoczył przed nim cały obraz sprzysiężenia, zdwoił nalegania, obietnice i przynęty. Z poza kotary słuchał tych zeznań nastawiony przez Pescarę towarzysz jego, Antonio de Leyva, a podedrzwiami czekali rozkazu żołnierze hiszpańscy. Kiedy więc Morone rzecz swoją skończył i wychodził poza próg komnaty, na

dany przez Pescarę znak rzuciła się na niego warta i pojmanego wtrącono do więzienia.

Cięciem tem, którego bezpośredniem następstwem było oblężenie nieszczęśliwego Sforzy na zamku w Medjolanie, rozpruł Pescara ową misterną sieć, tak znojnie plecioną przez sprzysiężonych, a wraz z nią zerwały się ostatnie nici, któreby jeszcze można było w danym razie z Hiszpanją nawiązać. Na obranej drodze nie było już dla Włochów odwrotu; wszystkich, a w pierwszym rzędzie Klemensa VII, odsłonił Pescara i wydał na zemstę cesarza. Dramat ten zaś jest tem ciekawszym, że charakteryzuje tak dobitnie różnice stojących naprzeciw siebie i ścierających się ras, typów i epok. Włosi kierują się w nim tradycją *quattrocenta*: akcja dyplomatyczna przemienia się u nich zaraz w akcję o wszelkich znamionach spisku; w Pescarze widzą kondotjera, jednego z tych, którym na stróżów dodawała Wenecja do obozu proveditorów, Florencja komisarzy, Rzym legatów, bo nikt nigdy ich pewnym być nie mógł, każdy wiedział, że się żaden z nich pokusie nie oprze, skoro mu blask korony przed oczyma zabłyśnie. Zapominali zaś Włosi, że czasy się zmieniły, że minęła bezpowrotnie epoka Carmagnoli lub Braccia, Piccinina lub pierwszego Francesca Sforzy, że we Włoszech, wobec wzrastających, skonsolidowanych potęg sąsiednich, nie było już miejsca dla nowych samozwańców i małych zdobyczy. Nie zdawali sobie co więcej sprawy, że Pescara, Lannoy, Alarcon, Leyva, to nie byli najemnicy dawnego pokroju, ale karni jenerałowie armji cesarskiej, korni poddani majestatu Karola V, Hiszpanie, wychowani w tradycji Cyda, oddychający wspomnieniem niedawnych walk z Maurami i snutych na tem tle powieści rycerskich, w których wierność była synonimem honoru.

Prawda, że ten punkt honoru ograniczał się u wielu z nich, jak u Pescary, do jednego obowiązku wierności. Zresztą, »choć nie bez wielkiego wstydu« — *no sin mucha verguença* — jak sam d'Avalos do Karola V pisał, pozwalali oni sobie na wszystko. Więc jeżeli zrozumiałem jest, że ówcześni Włosi nie zdołali się rozeznać w różnicy ras, i co mniej łatwem jeszcze, w zmianie czy postępie czasów, to pojąć przecież trudniej, że zaufali tak

gładko człowiekowi, który z nimi od urodzenia obcował i którego dokładnie znać byli powinni. Wszakże ten sam Morone, który mu się dał usidlić, mówił jeszcze za panowania Leona X do Guicciardiniego, że w całych Włoszech nie znajdzie przewrotniejszego, złośliwszego człowieka od Ferranta d'Avalos, a Vettori oddaje mu świadectwo, że był »dumny nad miarę, zawistny, niewdzięczny, skąpy, zjadliwy i okrutny, nieludzki i bez religji, jakby zrodzony na pognębienie Włoch« — *nato proprio per distruggere l' Italia.*

Na ten drugi, tak ostry sąd wpłynęło już zapewne rozgoryczenie Włochów za doznaną od Pescary krzywdę. Ale z wcześniejszego świadectwa Morona i innych współczesnych wynika, że była to w każdym razie natura twarda, sucha i okrutna. A przecież od potępienia bezwzględnego bronić go będzie zawsze miłość, którą wzbudził, żal, który zostawił po sobie w wielkiem sercu Vittorii Colonny. Może właśnie stąd, że patrzała na niego w perspektywie ciągłych niemal rozłączeń i oddalenia, że więcej słyszała o rycerzu i zwycięzcy, niż znała człowieka, przystroiła go sobie w wyobraźni w nienależące mu się barwy, oświeciła go własnem, z niej, nie z niego wychodzącem światłem. Ale to uczucie dla męża, które tak bogatem źródłem trysnęło w jej poezji, nie było, jak u Petrarki i jego szkoły, tylko grą słów. I to właśnie jej rymom tyle dodaje wdzięku. W owych czasach wybujałości rozumów, ale oschłości serc, niełatwo natrafić na ślad szczerze ludzkiego, serdecznego uczucia. Tem bardziej pociągają rzadkie pod tym względem wyjątki, jakie się znajduje n. p. w listach Baltazara Castiglione do żony Ippolity Torelli, i w liście Bibbieny — o nim i o jego żałobie po przedwczesnej śmierci tejże Ippolity, — jak dalej w korespondencji uroczej Izabelli d'Este z mężem, tchnącej tak niezwykłą na owe czasy prostotą, a czułą zawsze o męża troskliwością, — jak wreszcie i przedewszystkiem w każdem, choćby potocznem odezwaniu się Michała Anioła, nietylko pierwszego artysty, ale najbardziej, najszczerzej ludzkiego z ludzi, których owa epoka wydała.

Kiedy zaledwie trzydziestokilkoletni Pescara wkrótce po uwięzieniu Morona dogorywał w Medjolanie, powołana do łoża umie-

rającego męża Vittoria ruszyła z Ischji na północ. Jeszcze w ciągu drogi, w Viterbo, doszla ją wieść o zgonie małżonka. Zawróciła natychmiast do Rzymu i tam, w klasztorze przy kościele San Silvestro *in urbe*, szukała schronienia. Z ojcowską pieczołowitością polecał ją Klemens VII opiece zakonnic, nakazując, aby czuwały nad stroskaną i niosły jej pociechę. Gdyby jednakowoż, dodaje odnośne *breve*, w nadmiarze świeżej boleści chciała wdowie szaty na zakonne zmienić, natenczas miały się zakonnice takiemu zamiarowi sprzeciwić i porozumieć pierwej z papieżem. Przestroga była słuszna, bo ranę czas zabliźnił i Vittoria opuściła mury klasztorne. Ale przez długi jeszcze żywot, wśród rozmyślań religijnych i filozoficznych, w obcowaniu z najwybitniejszemi umysłami wieku, z Contarinim, z Reginaldem Pole, Michałem Aniołem, myśl o zmarłym małżonku, tęsknota za nim pozostała jej gwiazdą przewodnią. Życie szlachetniało w żalu po tym węźle, o którym sama tak pięknie mówi, że ją »wyrwał poza światowe obłędy i utrzymał na pewnej drodze cnoty«

. . . . . questo laccio
. . . mi trae fuor d'ogni mondan errore
E mi tien nella via ferma d'onore.

Ślubowała sobie, że w tem uczuciu, w tej »pięknej myśli« wytrwa, póki życia stanie:

La vita e l'bel pensier moranno insieme,

a najpiękniejszy temu wyraz dała w owym sonecie, w którym opowiada, jak ze skał Ischji patrzy na zorzę opromieniającą niebo i ziemię: tak samo w jej duszy rozpraszają się mgły i za słońcem myśl wzlata ku ukochanemu w niebiosy . . . . . »w takiej chwili, błogiego żaru promień w duszę wnika«

. . . . . in quel momento sente
Lo spirto un raggio dell'ardor beato.

Promień ten pada i na przedmiot tej miłości, a czarno rysująca się na tle dziejów postać margrabiego di Pescara bieleje w apoteozie rymów Vittorii Colonny.

IX.

Wrogowie Medyceusza.

Śmierć margrabiego di Pescara była dla Włochów wypadkiem doniosłym. Ale przyszła za późno, skoro zdążył on przed zgonem odkryć ich cele i zamiary cesarzowi, a za wcześnie, kiedy konfederaci nie byli jeszcze gotowi, aby pod nieobecność Karola de Lannoy i Bourbona zgnieść pozbawioną teraz naczelnego dowódcy załogę hiszpańską w Lombardji. Tymczasem zaś położenie, wytworzone bitwą pod Pawją, miało ulec zmianie. W połowie stycznia 1526 r. podpisał bowiem Franciszek I traktat madrycki, zwracający mu wolność. Warunki były twarde i upakarzające; stypulowały. zwrot Burgundji, hrabstw Charolais i Auxonne, zrzeczenie się wszelkich praw do Neapolu, Medjolanu i Genuy, odebranie Henrykowi d'Albret tytułu króla Nawarry, oddanie Bourbonowi i jego wspólnikom wszystkich zabranych im ziem i włości; zobowiązywały wreszcie króla do udzielenia zbrojnej świty Karolowi V w chwili, kiedy ruszy na koronację do Włoch. Ale, jak mówi tak słusznie znakomity historyk średniowiecznego Rzymu, Reumont, nic lepiej nie znamionuje owych czasów i spaczenia ówczesnych pojęć, jak to nieustanne przeciwieństwo słowa i czynu: »Papież, cesarz, król, książęta, dowódcy i ministrowie idą w tem o lepsze; labirynt traktatów i przeciwtraktatów, przymierzy, które nie kładą tamy dalszemu porozumiewaniu się z nieprzyjacielem, zawieszeń broni i zawartych pokojów, nie przerywających wojny; wahanie się, niedowierzanie i brak uczciwości wszędzie« — oto prawdziwa sygnatura epoki.

Tak samo miała się rzecz z traktatem madryckim. W wigilję podpisania go zwołał Franciszek I do Alkazaru, gdzie go więziono, przybyłych z Francji wysłanników królowej regentki i odebrawszy od nich naprzód przysięgę tajemnicy, zaprotestował solennie przeciw punktacjom, które miał nazajutrz podpisać, zastrzegając się, że jako wymuszone na więźniu, wiązać go nie mogą. Uspokojony tym szczególnym rezerwatem w poczuciu swej czci rycerskiej, o którą przecież był zawsze tak wielce dbały, zwlekał zrazu po odzyskaniu wolności z ratyfikacją traktatu, która wedle umowy na pierwszej stacji francuskiej, w Bayonne, nastąpić miała. Za przybyciem zaś w głąb kraju, do Cognac, na dalsze nalegania posłów cesarskich oświadczył wręcz, że zawartego w Madrycie traktatu ratyfikować nie będzie, bo wymuszona na nim obietnica odstąpienia Burgundji stanowi warunek zbyt twardy, który należy złagodzić, czyli według własnych jego śmiałych słów »sprowadzić do rozsądku i uczciwości« — *réduire à raison et honnesteté*.

Łatwo pojąć, co to postanowienie królewskie znaczyło dla Włochów. Wielka i szlachetna, choć, jak dowiódł rozwój wypadków, za późna myśl Klemensa VII ratowania niepodległości włoskiej zdawała się znów bliską wcielenia. Bo równocześnie z posłami hiszpańskimi stanęli w Cognac wysłannicy papiescy i weneccy. Z wolnym, a już otwarcie przeciw cesarzowi występującym Franciszkiem I rozpoczęły się układy w celu zawarcia oddawna przygotowanej, negocjacjami o uwolnienie króla z niewoli opóźnianej, wykryciem spisku przez Pescarę na chwilę niemal że zwichniętej ligi opiekuńczej dla Włoch. Podstawy jej określał sam papież: pozornie miała ona na celu przywrócenie i ustalenie pokoju w świecie chrześcijańskim i dlatego zaproszonym był do przystąpienia do niej i cesarz; w istocie ostrze skierowane było właśnie przeciw cesarzowi. Bo w warunkach zastrzegano, że Sforzy zwróconą będzie zupełna i wolna własność księstwa medjolańskiego, że Karol V oddanych mu na zakładników traktatu madryckiego synów królewskich za stosownym okupem uwolni, że wreszcie cesarz przybędzie na koronację do Włoch tylko z taką świtą, jaką papież i Wenecjanie za zgodną z ogólnem bezpie-

czeństwem uznają. Że Karol V takich warunków nie przyjmie, to wiedziano oczywiście zgóry: samo wezwanie go do współdziałania było raczej wyzwaniem, rzuceniem mu rękawicy.

Toteż właściwą treścią układu zawartego w Cognac w dniu 22 maja 1526 r., a stwarzającego tak zwaną *Świętą Ligę*, było zagwarantowanie przez kontrahentów sił, mających stanąć przeciw Hiszpanji. Klemens VII za siebie i za Florencję zobowiązywał się dostarczyć 800 pancernych, 700 lekkiej jazdy i 8.000 piechoty; Wenecjanie 800 pancernych, 1.000 lekkiej jazdy i 8.000 piechoty; książę medjolański 400 pancernych, 300 lekkiej jazdy i 4.000 piechoty. Franciszek I obiecywał zaś uiszczać miesięcznie papieżowi i Wenecjanom 40.000 talarów na zaciąg żołnierza szwajcarskiego, a własną armję, wzmocnioną odpowiednią artylerją, pchnąć za Pireneje. Równocześnie połączoną flotą francuską, wenecką i papieską, obok których stanąć miał z własnemi okrętami wzięty na żołd papieski Andrzej Doria, chciano uderzyć naprzód na Genuę, potem, po rozbiciu wojsk cesarskich w Lombardji, na Neapol, który, jako lenno papieskie, wróciłby w ten sposób do wolnego rozporządzenia Klemensa VII. Anglja nie uczestniczyła w układach. Ale cel ich, położenie tamy zbytniemu rozrostowi potęgi hiszpańskiej, był po myśli Henryka VIII, a sympatje jego po stronie Ligi, która go mianowała swym protektorem i do której miał przystęp otwarty.

Zawarcie Świętej Ligi napełniło otuchą serca Włochów. Po zawiedzionych nadziejach z lat ubiegłych, w ostatniej chwili zjawiał się ratunek, tym razem, zdawało się im, niechybny. Zapał ogarniał nawet spokojniejsze, trzeźwiejsze umysły. »Potomkowie zazdrościć nam będą — pisał datarjusz Giberti do biskupa z Veruli, — że im nie było danem żyć w naszych czasach, że nie zaznali takiego szczęścia, nie uczestniczyli w takiem przedsięwzięciu«. Ale jeżeli przedsięwzięciu temu nazbyt ufał, to trafnie oceniał rozstrzygającą jego doniosłość, kiedy dodawał, że »tym razem nie rozchodzi się o małą zemstę, o punkt honoru, ani o pojedyncze miasto, ale o wolność lub wieczną niewolę Italji«. Za jego wpływem przyspieszono akcję i jeszcze przed ostateczną ratyfikacją traktatu z Cognac posunął papież wojska swoje i flo-

renckie ku Piacenzy, Wenecjanie nad brzegi Addy. Kości były rzucone i z podniesioną przyłbicą stawał Klemens VII z Florencją i Wenecją w obronie niepodległości włoskiej przeciw Hiszpanji. Tylko nieszczęściem jego było, że wojska weneckie prowadził jako gonfalonjer rzeczypospolitej człowiek, któremu dla godności i reputacji wojennej naczelne nad całą armją Ligi przyznano dowództwo, a któremu on, Medyceusz, najmniej był ufać powinien.

Kto zwiedzał galerję Uffizi we Florencji, tego uderzył z pewnością wspaniały portret Tycjana, jedno z jego arcydzieł, zdobiący środkową ścianę sali weneckich mistrzów. Okuty w ciemną stal, z buławą dowódcy w ręku, stoi mężczyzna w sile wieku, o niezwykle wymownym i charakterystycznym wyrazie w rasowej, lecz twardej i jakby czarną myślą zmroczonej twarzy. Bujne krucze włosy i broda okalająca policzki uwydatniają jeszcze silniej trupią niemal bladość liców, którym zmarszczka, przecinająca szeroką brózdą czoło, nadaje znamię surowe i ostre. Z rozwartych szeroko z pod puszystych brwi oczu patrzy indywidualność znacząca, ale zagadkowa, jak zagadkową była w tych najcięższych dla Rzymu i Włochów latach rola tego Francesca Marii della Rovere, księcia Urbinu, którego ten portret przedstawia.

Ojcem jego był Giovanni della Rovere, brat Juljusza II, matką Giovanna di Montefeltro, przez którą stał się dziedzicem księstwa Urbino. I stryj, wielki papież Juljusz, i wuj, ostatni z Montefeltrów, Guidubaldo, z szczególną troskliwością wychowywali młodzieńca, częścią w Rzymie, wśród wspaniałości watykańskiego dworu, częścią w Urbino, gdzie wokoło rozumnej małżonki Guidubalda, Elżbiety Gonzaga, skupiało się grono najwykwintniejszych umysłów owej epoki we Włoszech, grono, którego wytworny obraz odtworzył Baltazar Castiglione w niezrównanym swoim *Cortegiano*. Ale dzikie instynkta młodego Rovera dziwnie musiały odbijać od tonu i atmosfery tego wyborowego dworu, jakim był dwór Montefeltrów, a popędliwość pupila niemałych opiekunom przysparzać kłopotów. Chłopięciem niemal zasztyletował on w Urbinie niejakiego Andrea Bravo, kochanka siostry swej, hrabiny da Varano, a w kilka zaledwie lat później już drugie spełniał morderstwo. Działo się to w pamiętnem lecie

1511 r. »Barbarzyńcy«, których Juljusz II z niezłomną swą energją poza Alpy z półwyspu wymieść pragnął, znów hardo podnosili głowy. Papież wysłał kardynała Alidosi, wszechmocnego przez chwilę faworyta, a z nim księcia Urbinu, na obronę zagrożonej przez marszałka Trivulzio Bolonji. Obrona zbyt niedołężna zgotowała łatwy triumf armji francuskiej: znienawidzeni przez papieża Bentivogliowie wrócili do Bolonji, hrabina Francesca Pico do zdobytej świeżo i z takim trudem pod osobistą komendą Juljusza II Mirandoli, Alfons d'Este zajął ponownie Modenę. Dla starego papieża był to cios najdotkliwszy, obracający w jednej chwili wniwecz mozolną pracę lat kilku. Kiedy więc bawiącemu w Rawennie doniesiono o tym pogromie, w pierwszym porywie gniewu oświadczył zgromadzonym kardynałom, że stracić każe bratanka, na którego chytry Alidosi zrzucał całą winę klęski. W kilka dni potem sam książę Urbinu stanął przed papieżem, aby się oczyścić z zarzutów. Juljusz II przyjął go gniewnie, obsypał obelgami, a obelgi zaostrzył groźbą. Z burzą w mściwem sercu, w którem wrzała gwałtowna krew Roverów, wypadł Francesco Maria na ulicę, a natknąwszy się na zdążającego przypadkiem w tejże samej chwili ku kwaterze papieskiej kardynała Alidosi, rzucił się na niego i z okrzykiem: »Masz twoją zapłatę zdrajco!« — przeszył go nawylot szpadą.

Nic wprawdzie znamienniejszego dla owej epoki, jak ten chór pochwalny wszystkich prawie ówczesnych pisarzy włoskich, wzniesiony z okazji śmierci znienawidzonego powszechnie Alidosiego na cześć księcia Urbinu. Nawet cichy mistrz ceremonji, Paris de Grassis, wyszedł z tego powodu na chwilę ze zwykłej równowagi i dyskretnej przedmiotowości, wielbiąc »dobrego Boga za sprawiedliwe wyroki«, za »dozwolenie« spełnienia takiego czynu. Ta współczesna opinja publiczna zaważyć też musiała na szali w ciągu wdrożonego natychmiast przeciw mordercy procesu. Ale jeżeli z tej sprawy wyszedł cało, to zawdzięczał to w pierwszej linji opiece starego papieża. Bo sędziowie liczyć się musieli z faktem, że choć Juljusz II nie zwykł był protegować nepotów, a zrazu na Francesca Marię gwałtownym zawrzał gniewem, to do niego jednego żywił przecież zawsze w głębi surowego serca jakieś

FRANCESCO MARIA DELLA ROVERE,
KSIĄŻĘ URBINU.

Portret Tycjana w Galerji Uffizi we Florencji.

cieplejsze uczucie rodzinne. Śmierć papieża, która nastąpiła w rok potem, była więc dla bratanka tem sroższym ciosem, że następca Juljusza, Leon X, mógł zawsze dla własnych politycznych celów dawne inkryminacje wznowić, a wznowił je istotnie, kiedy mu Francesco Maria odmówił zbrojnej pomocy w chwili inwazji francuskiej z 1515 r. Bezkarność wobec lenników państwa papieskiego mściła się zawsze srodze na papieżach i słusznie Leon X powtarzał, że jeżeli w tym wypadku księcia Urbinu nie ukarze, nie będzie tak słabego książątka w okolicach Rzymu, któreby mu na przyszłość nie stawiało czoła. Ale karę obmyślił najdotkliwszą, bo przypominając dawne zbrodnie i wytykając winnemu świeże nieposłuszeństwo, wyzuł go z lenna. Że się atoli przytem nietylko i pewnie nie tyle rozchodziło o wymiar sprawiedliwości za dawne winy i o napiętnowanie nowych, co o zadośćuczynienie rodzinnym ambicjom medyceuszowskim, tego dowodzi fakt, że księstwo urbinackie przeszło w posiadanie bratanka papieskiego, młodszego Lorenza de'Medici. A ta słuszna, czy niesłuszna spoljacja długoletnich urbinackich lenników zaszkodziła nietylko samemu Leonowi X, pozbawiając go zaufania innych państw italskich, lecz pomściła się dotkliwiej jeszcze na jego następcach. Bo Francesco Maria gromadził w głębi mściwej duszy ogrom nienawiści przeciwko tym Medyceuszom, którzy niegdyś, w czasie własnego wygnania z Florencji, zażywali tak szczodrej gościnności Montefeltrów w Urbino, a taką ich dziedzicowi odpłacali się teraz krzywdą; chociaż mu zaś za Hadrjana VI zwrócono zagrabione księstwo, w Klemensie VII widział on znów przedewszystkiem znienawidzonego Medyceusza, i to w dodatku tego właśnie, który przy zajęciu Urbinu jako kardynał-legat przeciw niemu wojska papieskie prowadził.

Tylko w ten sposób wytłomaczyć sobie można dwuznaczne postępowanie Francesca Marii w roli dowódcy Świętej Ligi w latach 1526 i 1527. Prawda, że stał on w pierwszej linji na czele wojsk Wenecji, a Wenecja, utrzymując jedyną stałą na półwyspie armję, nie lubiła jej narażać i używała częściej za straszaka, niż za taran, szczególnie kiedy po ciosach, zadanych przez Ligę z Cambrai, pozorami siły i zdrowia pokrywać przyszło Prze-

świetnej Rzeczypospolitej niejedną niezabliźnioną jeszcze ranę. Prawda także, że kunktatorstwo było głównem znamieniem dowódców w bezkrwawych średniowiecznych wojnach włoskich i że ostatniego wielkiego z tej epoki wodza, Prospera Colonnę, już współcześni drugim Quintusem Fabiusem zwali. Ale w spóźnieniach, zwłokach, przerywaniach rozpoczętej akcji, a bezczynności w chwilach decydujących, kunktatorstwo księcia Urbinu, jako dowódcy Świętej Ligi, ma jakieś inne, głębszą racją spowodowane, podejrzane znamię. Choć więc Luigi Guicciardini tłomaczy go w charakterystycznym zwrocie, »że z przezorności, czy z natury był nieprzyjacielem niebezpieczeństwa« — *per troppa prudenza o per natura inimico de'pericoli* — to przesadne zwłoki i fatalna bezczynność w chwilach, kiedy takie niebezpieczeństwo zagrażało papieżowi, jak już w r. 1526, a bardziej jeszcze w następnym, zdają się wskazywać, że był on przedewszystkiem mścivym wrogiem Medyceusza i że tem uczuciem kierował, a raczej umyślnie i ze złą wiarą hamował swe kroki.

Wojskom Ligi sprzyjały z początku warunki pomyślne. Bourbon i Lannoy bawili bowiem jeszcze na dworze Karola V w Madrycie, załoga zaś cesarska w Lombardji pozbawioną była naczelnego wodza. Sforza bronił się dzielnie na zamku medjolańskim, a ludność miasta, doprowadzona do rozpaczy okrucieństwem żołnierzy hiszpańskich, choć rozbrojona przez obawiających się wciąż rebelji najezdników, była zdolna do wszelkich poświęceń dla sprawy niepodległości, byle tylko skądkolwiek zaświtała jej nadzieja pomocy. Prócz tego cała obca załoga w Medjolanie, złożona z Hiszpanów i lancknechtów niemieckich, liczyła zaledwie 8.000 ludzi, a armja konfederatów składała się z 20.000 piechoty, 2.000 pancernych i 2.000 lekkiej jazdy; do wojska papieskiego przyłączył się bowiem ze słynnym swym najemnym oddziałem Giovanni de'Medici, ów ostatni kondotjer włoski w wielkim stylu, którego głośne w całych Włoszech *bande nere*, tak od żałoby przywdzianej po śmierci Leona X zwane »czarne chorągwie«, dopomagały zawsze, często rozstrzygały o zwycięstwach z lat ostatnich. Dla konfederatów był to nabytek tem cenniejszy, że chodziło w pierwszej linji o ubieżenie nieprzyjaciela, a Giovanni delle

Bande Nere, jak tego Medyceusza powszechnie Włosi nazywali, znany był przedewszystkiem z szybkości postanowień i błyskawicznego ich wykonania. Zresztą, choć młody jeszcze, był on już wypróbowanym, doświadczonym wodzem, a osobistą odwagą wlewał otuchę i ufność w otoczenie. Sam z dumą o sobie mawiał, że nigdy na swoich ludzi nie woła »naprzód«, tylko zawsze »za mną«.

Zdobycie fortecy Lodi przez Wenecjan było świetnem rozpoczęciem kampanji, dawało konfederatom silną podstawę do dalszych operacyj wojennych w Lombardji, umożliwiało wojskom papieskim natychmiastowe przekroczenie Padu i złączenie się z armją wenecką. Złączenie to nastąpiło istotnie i wojska Ligi były już tylko o dwadzieścia mil oddalone od Medjolanu. Jednym śmielszym zamachem można było zgnieść słabszą załogę hiszpańską. Do tego parł przedewszystkiem na radzie wojennej wielki historyk florencki, Francesco Guicciardini, który jako legat papieski towarzyszył wojsku. Bardziej jeszcze rwał się do czynu Giovanni delle Bande Nere który był, wedle słów tegoż Guicciardiniego, »nerwem i duszą« obozu konfederatów. Ale zaraz na wstępie rozpoczęły się fatalne wahania księcia Urbinu. Powoływał się na długoletnie doświadczenie i przestrzegał, że, choć liczebnie silniejsza, włoska piechota nie potrafi jednak stawić czoła wypróbowanej piechocie hiszpańskiej i zwycięskim dotąd zawsze lanecknechtom. Postanowił więc czekać na przybycie obiecanego zasiłku szwajcarskiego, sam zaś żółwim krokiem, robiąc co drugi dzień zaledwie trzy do czterech mil, ciągnął pod Medjolan. I rzeczywiście mały oddział Szwajcarów, straż ich przednia, połączyła się z armją Ligi w San Martino, ale zwłoka ta sprawiła, że wysłany tymczasem z Madrytu do Lombardji jako namiestnik cesarski Bourbon, w chwili kiedy konfederaci stali zaledwie o trzy mile od Medjolanu, zdołał ich ubiec i wejść do miasta.

Wszelako i po przybyciu Bourbona położenie armji cesarskiej było równie krytyczne. Bo Bourbon przyprowadzał tylko 800 żołnierza, liczebnie słaba załoga musiała natomiast oblegać nadal Sforzę na zamku medjolańskim, trzymać na wodzy buntujący się lud i teraz w dodatku stawiać czoło nadciągającemu nieprzyjacielowi. Zdawało się więc dowódcom Ligi, że za przybyciem ich

pod Medjolan wojsko cesarskie, podobnie jak w roku ubiegłym za pojawieniem się Franciszka I pod murami miasta, bez wystrzału je opuści. Przez chwilę i sam książę Urbinu dzielił tę ufność i 7 lipca podprowadził armję pod Medjolan. Ale zamiast uderzyć z całą siłą na słabe mury miasta, z trzech armat tylko, choć miał ich więcej, ostrzeliwanie rozpoczął. Wystarczyło i to, ażeby wzniecić popłoch wśród świadomej swej słabości załogi, i dowódcy cesarscy już się zabierali do odwrotu, kiedy przy przystawianiu drabin pod mury miasta kilku żołnierzy armji konfederackiej padło od strzałów hiszpańskich. Natychmiast wstrzymał Francesco Maria wszelkie dalsze ruchy, a zwoławszy wieczorem pułkowników Ligi na naradę, oświadczył im, że powierzonej sobie armji weneckiej daremnie narażać nie myśli, że Medjolan w danych warunkach zdobytym być nie może i że należy co prędzej w cieniu nocy dokonać odwrotu, zanim Hiszpanie zatoczą działa na wały. Próżno zaklinał Guicciardini, żeby nie wypuszczać z ręki tej jedynej okazji, która się już mogła nie powtórzyć; próżno sarkał gwałtowny Giovanni de'Medici, pytając hardo, przed kim mu właściwie każą uciekać; zagadkowo uporny Francesco Maria z lekceważeniem traktował pierwszego, jako człowieka pióra, drugiego, jako niedoświadczonego zapaleńca, i w nocy wojsko Ligi wobec osłupiałej ze zdziwienia załogi hiszpańskiej wykonało niewytłomaczony, sromotny odwrót ku Marignano. *Veni, vidi, fugi* — powtarzali konfederaci, złorzecząc szefowi Ligi, który tem dwuznacznem postępowaniem łamał jej siły w zarodku.

We Włoszech małoduszność ta księcia Urbinu, jak sądzili jedni, a zła jego wiara, jak podejrzywali drudzy, tem gorsze wywołały wrażenie, że odwrót wojsk konfederackich z pod Medjolanu zeszedł się właśnie z oficjalnem ogłoszeniem Świętej Ligi w Rzymie i w Wenecji. Klemens VII zerwał z dotychczasowem wahaniem i brał się energicznie do dzieła, a jeszcze w początku czerwca na zapytanie księcia di Sessa, posła hiszpańskiego, czy istotnie Liga jest zawartą i czy papież o wojnie myśli, odpowiedział śmiało, że jeżeli będzie wojnę chciał wypowiedzieć, »poznają to nieprzyjaciele po brzęku trąb wojsk papieskich«. Karol V nie tracił wszelako nadziei, że mu się choćby w ostatniej

chwili uda oderwać Rzym od przymierza zawartego przeciw Hiszpanji, a z głębokiem znawstwem charakterów i stosunków włoskich postanowił Włochów przeciwko Włochom wygrać. Zachęcała go do tego czujność popleczników sprawy cesarskiej, których mu pomiędzy Włochami nie brakło, a którzy nie zakładali rąk, lecz przeciwnie, narzucali się z gotowością do usług. Na czele ich stał znów, party burzliwym swym temperamentem i nienawiścią do Klemensa VII, Pompeo Colonna. Przez umyślnego wysłannika na dwór madrycki kazał on cesarzowi donieść, »że podejmuje się wygnać papieża z Rzymu, a podburzyć Florencję, Sienę i inne miasta przeciw Jego Świętobliwości«. Karol V przyjął skwapliwie tę cenną obietnicę do wiadomości i na tem tle jął snuć subtelny plan zemsty swej na Klemensie VII.

W celu wykonania tego planu pojawił się w ciągu lata 1526 r. Don Ugo di Moncada, jako nadzwyczajny poseł cesarski w Rzymie. W wyborze posła miał Karol V szczęśliwą rękę, bo Moncada wzrósł był w obcowaniu i służbie Cezara Borgii, a w tej szkole wyuczył się najlepiej owej sztuki podbijania sobie podstępem lub przemocą ludzi, którą Machiavelli podziwiał w prototypie swojego »Księcia«, w groźnym synu Aleksandra VI. Jako uczeń takiego mistrza, miał znowu Hiszpan zastawiać sidła na Włochów. Misja jego była podwójna, a część jej pierwsza ugodowa. Przez kilka dni trwały narady w Watykanie. Moncada obiecywał, że sprawy włoskie po myśli Klemensa VII ułożone zostaną, że nawet Sforza za drobnem zadośćuczynieniem wobec cesarza odzyska swoje księstwo, lecz warunkiem miało być bezzwłoczne wystąpienie papieża z Ligi zawartej w Cognac; w przeciwnym razie stawał się on jawnym wrogiem cesarza, zmuszał go, jak to Moncada z naciskiem zaznaczał, do użycia wszelkiej broni dla dobra i reformy Kościoła; niechby więc papież rozważył, na jakie się naraża niebezpieczeństwa wobec wzrastającego wpływu Lutra i Niemców, zbierających się właśnie na sejm w Spirze, a wołających o sobór.

Groźba była nie dwuznaczna, a wobec głowy Kościoła tragiczna tem pierwszem, nie dwuznacznem również, wygraniem sprawy reformacyjnej przeciw papieżowi. Klemens VII miał znów

chwilę wahania i znów z dwóch przeciwnych sobie biegunów politycznych, od Schomberga i Gibertiego, zasięgnął rady. Przeważyły namowy drugiego, a zresztą szlachetna myśl ratowania niepodległości włoskiej wryła się była tak głęboko w serce i umysł papieża, że rad był nie móc się już cofać. Toteż na ostatniem posłuchaniu oświadczył kategorycznie posłom cesarskim, że związany słowem, dochowa wierności Lidze. Z groźbą na ustach opuścili Hiszpanie Watykan, a żeby tem dobitniej zaznaczyć lekceważenie wobec papieża, zabrał książę di Sessa spotkanego przypadkiem u bram watykańskich, znanego w całym Rzymie ulicznego błazna i posadziwszy go na koniu za sobą, w takiem towarzystwie powrócił do domu.

Z tą chwilą rozpoczynała się druga część misji Moncady. Bo w udzielonej mu na drogę instrukcji polecał Karol V wyraźnie, aby w razie rozbicia się układów z papieżem, zniósł się natychmiast potajemnie z kardynałem Colonną i ażeby ten »jakoby od siebie« — *come de si mismo* — wywiązał się z danej co dopiero obietnicy. Moncada i Sessa udali się więc do Neapolu i do leżącego bliżej Marino, jednej z licznych rezydencyj Colonnów. Na czele rodu stali teraz Vespasiano, syn Prospera, i Ascanio, syn Fabrizia Colonny. Pierwszy był panem na Fondi i Traetto, dwóch głównych posiadłościach domu. Po ojcu odziedziczył on zamiłowanie do życia wojskowego, a choć mu zdolnościami nie dorównywał, zaliczano go przecież do lepszych wojowników owych czasów. Owdowiawszy po śmierci pierwszej małżonki, Beatricy Appiani, właśnie w tym roku 1526 zawarł był powtórne śluby z piękną i rozumną, a później, w czasach kontrreformacji, słynną z żywego udziału w wielkiem dziele odrodzenia kościelnego, Giulią Gonzagą. Szefem drugiej linji domu był Ascanio, małżonek znanej powszechnie z rafaelowskiego portretu pięknej Giovanny Arragońskiej, z którą zresztą, będąc sam najgorszych obyczajów, w wiecznej żył niezgodzie. Zabobonne nauki średniowieczne wychodziły już wprawdzie w wyższych warstwach włoskich z mody, mianowicie odkąd Leon X wychłostał je lekką medyceuszowską ironją, kiedy alchemikowi, składającemu u jego stóp w nadziei sutej nagrody traktat o alchemji, wręczyć kazał

pustą sakiewkę z poleceniem, aby ją rezultatem wielkich swych wynalazków napełnił. Astrologja i alchemja pokutowały przecież jeszcze tu i owdzie, a Ascania Colonnę, zawodowego alchemika, przyprawić miały zczasem o ruinę ogromnej fortuny. Obok Vespasiana i Ascania stali Marcello i Giulio, a dalej okrutny Marzio i wojowniczy biskup z Rieti, Scipione Colonna.

Ale duszą i sprężyną domu był zawsze wystrzelający ponad wszystkich Colonnów wygórowaną ambicją i gorączkową ruchliwością kardynał Pompeo. Innych jednać sobie mógł Moncada obietnicą większej lub mniejszej łaski cesarskiej. Kardynał Pompeo — *uomo di poca religione* — jak go jeden ze starszych historyków włoskich nazywa, grał o świetniejszą stawkę, bo o tiarę papieską. Zaczęło się od tajemniczych narad w Marino i odrazu wszyscy Colonnowie, mający włości swoje na południu państwa papieskiego, poczęli się zbroić. Niebawem Anagni, należące do papieża, wpadło w ich ręce i w całej Kampanji, a nawet w samym Rzymie, wszczęły się niepokoje. Ruch ten wzbudzał w Klemensie VII tem słuszniejsze obawy, że jeszcze w maju tego samego roku wytrawny polityk, Alberto Pio z Carpi, przestrzegał go był przed najazdem Colonnów. Papieża położenie było zaś ze wszech miar krytyczne, bo utrzymanie armji w Lombardji i floty Andrzeja Dorii nad wybrzeżem liguryjskiem pochłaniało szczupłe zasoby skarbu rzymskiego i na nowe zaciągi ledwie już starczyło środków, koncentrowanie wojsk w Rzymie ogałacało natomiast zagrożone powszechną wojną państwo papieskie.

Tem chętniej przyjął więc Klemens VII uczynione mu w połowie sierpnia propozycje pokoju. Do tej misji wyznaczyli Moncada i kardynał Pompeo Vespasiana Colonnę, któremu Klemens VII najwięcej ufał. Traktat zawarto 22 sierpnia: Colonnowie zwracali papieżowi Anagni i zobowiązywali się cofnąć wojska w Neapolitańskie; gdyby ich kiedykolwiek służba cesarska zmusić miała do chwycenia broni przeciw papieżowi, obiecywali zrzec się przedtem wszelkich lennictw domu swego, leżących w państwie papieskiem. Papież ze swej strony cofnął wydane na kilka tygodni przedtem przeciw kardynałowi Colonnie *monitorium* i, ufny w moc zawartych układów, wstrzymał natychmiast nowe zaciągi, część

wojska, ściągniętego do Rzymu, posłał pod Genuę dla wzmocnienia i ułatwienia ruchów wojennych Andrzeja Dorii, sam zaś dla osobistej obrony zatrzymał w Rzymie zaledwie trzystu ludzi. Na to tylko czekali Moncada i Pompeo Colonna. Zapewniając siebie i drugich, że obowiązki w służbie cesarskiej łamią wszelkie inne dane obietnice, z gorączkowym pośpiechem wzięli się do dzieła. Za ich namową, a w największej tajemnicy, jęli się natychmiast wszyscy Colonnowie zbroić i w połowie września stali już na czele ośmiuset jeźdźców i trzech tysięcy piechoty, a wszystkie wąwozy, otwierające się na Kampanję, były w ich ręku. W ogołoconym z wszelkiej obrony Rzymie nie przewidywano tymczasem zdrady i uspokojony od tej przynajmniej strony, zwracał papież całą uwagę na toczącą się na północy wojnę.

Nagle w nocy z 19 na 20 września, po błyskawicznym marszu, stanęli Colonnowie pod murami Rzymu i przez bramę Lateraneńską, którą zastali otwartą, wkroczyli do miasta. Punkt zborny był na placu ŚŚ. Apostołów, przed pałacem Colonna, gdzie stanął kardynał Pompeo i inni przywódcy ruchu. »Lud rzymski — mówi Paolo Giovio — patrzał spokojnie na konnicę i piechotę, przeciągającą w ordynku, a rzemieślnicy bez obawy, nie zamykając nawet sklepów, rozsiani ponad Tybrem, przyglądali się maszerującemu przez Janikul wojsku; kardynał Pompeo rozesłał był bowiem na ulice trębaczy, którzy napominali lud, aby się nie bał, bo Colonnowie nato tylko chwycili za broń, aby wyzwolić Rzymian z pod jarzma skąpego papieża«. Przez Ponte Sisto dostali się natychmiast najeźdźcy na drugą stronę Tybru i uderzyli na bramę San Spirito, prowadzącą do Watykanu. Stefano Colonna z Palestriny, jedyny członek z rodu Colonnów stojący po stronie papieskiej, z garstką żołnierzy zdołał wytrzymać pierwszy impet i nie oddał bramy, ale szturmujący rzucili się ku lewej stronie i przesadziwszy słabe mury, okalające dzielnicę Leonińską, w mgnieniu oka zalali Borgo.

Nad ranem doniesiono papieżowi, co zaszło w mieście. Był on bez wojska, niemal bez straży, zdany na łaskę i niełaskę wroga. W takiem samem położeniu, o dwa wieki wstecz, znalazł się był wielki jego poprzednik, Bonifacy VIII w Anagni: opuszczony od

wszystkich, rzekł, że wzięty jak Zbawiciel zdradą, przynajmniej jako papież umierać pragnie, i zasiadł na tronie, przybrany w pontyfikalne szaty, z tiarą na głowie, a z krzyżem i kluczami Piotrowemi w rękach; tak zastali go, wtargnąwszy do zamku, Nogaret i Sciarra Colonna, ci dwaj »nowi łotrowie« — *nuovi ladroni* — jak ich Dante nazywa. Podobnie Klemens VII chciał zrazu oczekiwać najeźdźców w ogołoconym z wszelkiej straży Watykanie. Z przywołanych naprędce kardynałów, Campeggi i Cesarini podążyli na Kapitol, żeby wezwać lud rzymski na pomoc papieżowi. Wezwanie nie odniosło skutku: potajemnie zawsze wszelkim niesfornym żywiołom, a przedewszystkiem Colonnom sprzyjający, Klemensa VII natomiast za twardą politykę fiskalną nie lubiący lud, nie dał się poruszyć. Z innej strony kardynałowie Cibo i della Valle pospieszyli jako parlamentarze naprzeciw najeźdźców. Ale rozzuchwaleni Colonnowie nie dali im nawet przyjść do słowa. Ulegając prośbom otoczenia, a zebrawszy naprędce najcenniejsze kosztowności, z garstką kardynałów i prałatów schronił się wtedy Klemens VII przez kryty krużganek do Zamku św. Anioła.

Była to już zaś ostatnia chwila ratunku, bo właśnie rozpoczynało się plądrowanie Borga. Dzikie zastępy żołnierstwa rozproszyły się za łupem, wtargnęły do bazyliki św. Piotra, gdzie zrabowano naprzód obie zakrystje, wynosząc krzyże, kielichy, pastorały, relikwjarze i paramenta kościelne, słowem wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i znęcić mogło łupiezców. Stamtąd ruszono na Watykan: w mgnieniu oka opustoszały pałac papieski zaroił się od rozbójniczej tłuszczy; wyłamywano drzwi, tłuczono okna, rozbijano kasy datarji, sekretarjatu, piomba; co się dało wynieść, zabierano; resztę niszczono. Cudem ocalała bibljoteka, za grubym zresztą okupem. Zato mieszkania prywatne kardynałów, prałatów i dworzan złupiono doszczętnie. Wtargnięto nawet do sypialni i do szatni papieskiej. A tymczasem reszta najeźdźców, ci, którzy nie zdążyli wejść do pałacu, rozbiegła się w ulicach okolicznych. Całe Borgo Vecchio padło ofiarą. Złupiono wszystkie domy, a mieszkańców brano w nadziei okupu w niewolę. Ocalało Borgo Nuovo, bo zapuszczające się i tam hordy rozbójnicze raził ogień armatni ze szczytów Zamku św. Anioła. »Wresz-

cie — mówi świadek naoczny, Girolamo Negri, — ze zmęczenia, czy z przesytu, a może z obawy, że Rzymianie przecież na odsiecz papieża ruszą, o dwudziestej czwartej godzinie cofnęli się nieprzyjaciele, a cofali w takim nieładzie, że drobną garstką żołnierzy można ich było zgnieść i wydrzeć im łupy. Kilku śmielszych ścigało ich aż do Ponte Sisto, zaczem powrócili do dzielnicy Colonnów«.

Do papieża zgłosił się nad ranem następnego dnia przywódca hiszpański Aguilar z żądaniem poddania Zamku. Może zawrzała w Klemensie VII dawna krew żołnierza z pod Rawenny, wodza z wojen medjolańskich i urbinackich. Ale na twarde żądanie odpowiedział śmiało, że »będąc papieżem, jako papież umierać pragnie, a że się zresztą jeszcze na siłach czuje, aby z lancą w ręku stanąć na wałach i bronić się tak, jak każdy inny żołnierz«. Narażać się na długie oblężenie przecież nie mógł, bo wskutek niedbałości, czy oszczędności kardynała-kamerlenga, Armelliniego, Zamek skąpo był zaopatrzony w żywność, której na kilka dni zaledwie starczyło. Kardynał Pompeo nastawał, żeby oblegać do skutku: chciał Medyceusza żywcem dostać w ręce, a w dalszej perspektywie widział już złożenie z urzędu tego nieprzyjaciela Karola V i za wszechmocnym wpływem cesarskim wywyższenie własne. Nie tak daleko sięgały instrukcje Moncady, któremu chodziło narazie jedynie o rozbicie Ligi. Toteż na pierwsze wezwanie z Zamku św. Anioła stanął przed papieżem. Jak wszystko w tych zawiłych czasach, tak i ta scena ma swój szczególny, osobliwy charakter: w sali zamkowej oblężony, a lada chwila jeńcem stać się mogący Klemens VII przyjmuje posła; Don Ugo di Moncada, sprawca i wykonawca najazdu, trzymający w ręku losy Rzymu, klęka przed papieżem i oddaje mu naprzód zrabowaną przez żołdactwo tiarę i pastorał papieski, prosząc o przebaczenie za to, »co się stało z konieczności«, i ganiąc spełnione przytem nadużycia; ale »niechby papież przestał oponować cesarzowi, którego serce przepełnione jest sprawiedliwością i pobożnością i który w umiarkowaniu swem pragnie tylko pokoju Włoch, a nigdy nie marzył o ich podboju, choć myśl taką żywić mógł, jako spadkobierca dawnych, rządzących Italją imperatorów«.

Na tę oracyę — mówi Paolo Giovio — papież w krótkich odpowiedział słowach. Pompea Colonnę wspominał z szyderstwem, Vespasiana, który go zwiódł i zdradził, z żalem. Przywodził na pamięć wszystkie łaski, świadczone przez Stolicę Apostolską cesarzowi, których zdrój trysnąłby na nowo, byle cesarz odmówił posłuchu złym doradcom, wrócił do wrodzonej mu rozwagi, strzegł nieprzedawnionych jeszcze przymierzy, a przedewszystkiem oddał niesłusznie pokrzywdzonemu Sforzy księstwo medjolańskie, o co go całe Włochy proszą. Po tej wymianie słów przyszło oczywiście do stypulacji nowego traktatu: papież przyrzekł cofnąć swoje wojsko z Lombardji na prawy brzeg Padu i okręty z pod Genuy, a darować winę Colonnom, którzy wzamian armję swą odprowadzić mieli w Neapolitańskie. Wbrew woli kardynała Pompea, niedowierzającego, aby mu Klemens VII szczerze mógł przebaczyć, a zawiedzionego we własnych, o tyle dalej sięgających ambicjach, stanął ów na pół roku obowiązujący układ pomiędzy papieżem i Moncadą. Don Ugo triumfował, bo papież cofnął natychmiast wojska swe z Lombardji, a okręty z pod Genuy, i Święta Liga, tak jak się tego Karol V domagał, była istotnie zerwana.

List z 24 września, w którym Moncada o szczęśliwem spełnieniu danego mu posłannictwa do Madrytu donosił, rzuca jasne światło na rolę, którą Karol V w sprawie najazdu Colonnów odegrał. »Zdaje mi się — pisał Moncada — że powinieneś Najjaśniejszy Panie okazać jak największe niezadowolenie z tego, co się w tej imprezie przytrafiło Jego Świętobliwości i za splądrowanie papieskiego pałacu. Należałoby pod tym względem nuncjuszowi, a i samemu papieżowi dać zadośćuczynienie w liście, tak, ażeby i papież i kardynałowie mieli w swej niedoli jakąś przynajmniej satysfakcję. Dobrzeby też było zapewnić dwory chrześcijańskie, że to, co się tu stało, stało się, wbrew i przeciw Twojej woli cesarskiej«. Na tak łatwe zadośćuczynienie wobec świata Karol V chętnie się zgodził i zaręczał posłowi papieskiemu, Baltazarowi Castiglione, że nie zlecenia jego, tylko czysty przypadek taką klęskę na Rzym i papieża sprowadził, że to, co zaszło, »srodze mu na sercu cięży«, lecz że »otoczony zewsząd przez nieprzyjaciół, nie mógł nie użyć usług tych, którzy mu je sami ofiaro-

wali«. Tym końcowym zwrotem zwalał gładko całą winę na Colonnów.

Ale zanim to płonne wytłomaczenie się do Rzymu nadeszło, odebrał papież inne, szczersze a groźne pismo cesarskie. Była to datowana z 18 września z Granady odpowiedź Karola V na ogłoszone mu lipcowem *breve* papieskiem zawarcie Świętej Ligi. I to orędzie rozpoczynało się jeszcze od proponowania pokoju, aby zwalczać wspólnie Turków i zgnieść nowe powstające sekty. Po tym wstępie szły atoli w wyniosłym tonie gorzkie wyrzuty: *Non enim ignorare potes intercessione mea auxilioque te factum esse pontificem* — »bo przecież wiesz — pisał cesarz — że tylko za mojem wstawiennictwem i za moją pomocą zostałeś papieżem«. Następował cały regestr zażaleń: ten zawdzięczający wszystko majestatowi cesarskiemu papież zwolnił Franciszka I od złożonej przy zawarciu pokoju madryckiego przysięgi; złączył się z Francją, aby wydrzeć Hiszpanji Neapol i Sycylję; namawiał jenerała cesarskiego Pescarę do zdrady, nęcąc go koroną neapolitańską; popierał słowem i czynem intrygi zbuntowanego lennika cesarskiego, Sforzy; wreszcie przed formalnem wypowiedzeniem wojny, pchnął własne wojska na wojska cesarskie. Drugie orędzie, wystosowane do kolegjum kardynalskiego, brzmiało jeszcze surowiej, wytaczało niejako przed to kolegjum wszystkie w liście do Klemensa VII podniesione przeciw niemu skargi, a kończyło się dawną, przez średniowiecznych cesarzy przeciw papieżom używaną i nadużywaną groźbą zwołania powszechnego soboru.

W takich warunkach kończył się dla Klemensa VII rok 1526. Szumnie zapowiadana, tyle w zarodku obiecująca Święta Liga, nie wydała owoców. Jeszcze w końcu lipca poddał Sforza zamek medjolański Hiszpanom i schronił się w szeregi konfederatów. Ale konfederaci pod powolnem, paraliżującem wszystko dowództwem księcia Urbinu, byli bezczynni. Nie wskórawszy nic pod Medjolanem, zamiast spieszyć na pomoc blokującemu Genuę Andrzejowi Dorii, ugrzęźli pod Cremoną, której oblężenie trwało bez końca, a późne zdobycie nie przynosiło nikomu korzyści. Teraz, po zawarciu traktatu wrześniowego z Moncadą, sam twórca Ligi, Klemens VII, najdotkliwiej ją osłabiał, cofając swoje wojska na

prawy brzeg Padu. Wprawdzie, jak wszystko w tych czasach, był i ten krok połowicznym tylko, bo przy konfederatach pozostawał Giovanni delle Bande Nere, za oświadczeniem papieża, że nie na papieskim, lecz na francuskim stoi żołdzie. Liga atoli, przez papieża faktycznie zerwana, była już tylko iluzoryczną. Brakowało jej zaś przedewszystkiem silnego poparcia Francji, na którą z natury rzeczy przy zawarciu traktatu w Cognac najbardziej liczono. Franciszek I przysłał wprawdzie do Lombardji kilkaset lanc i nieco piechoty, pod dowództwem margrabiego di Saluzzo, ale choć pokoju madryckiego i nadal ratyfikować nie chciał, to przecież od bitwy pod Pawją i przebytej niewoli nie śmiał już współzawodniczyć z Karolem V i stojąc w zasadzie przeciw niemu, unikał z nim starcia.

Z jednej strony patrzał więc Klemens VII na bankructwo swej polityki francuskiej, z drugiej na coraz groźniejszą postawę cesarza, którego nowa armja pod wodzą Karola de Lannoy lądowała właśnie w Neapolitańskiem. A i w granicach państwa papieskiego nie było spokoju: zdradliwy napad Colonnów, sromotne pohańbienie władzy papieża w samym Rzymie, było dla niego, jak mówi Guicciardini, »cieniem i wróżbą większej klęski« — *ombra e presagio della maggiore ruina sua.* Zresztą sami Colonnowie zaprotestowali przeciw zawartemu przez Moncadę traktatowi, nie wierząc, aby papież odpuścił im winę, którą i Karol V na nich zrzucał. Zbierający się już oddawna, ale ze względów politycznych przez kilka lat tłumiony gniew Medyceusza, z całą teraz wybuchnął siłą. Mała armja papieska, ściągnięta z północnych Włoch, ruszyła pod wodzą Vitella Vitelli na grody Colonnów w Kampanji. Marino i Montefortino poszły z dymem, Gallicano i Zagarolo zrównano z ziemią; kilkanaście innych włości Colonnów padło ofiarą surowego odwetu. Równocześnie wznowił papież *monitorium* przeciw kardynałowi Pompeo, a gdy ten odpowiedział zuchwale, oskarżając Klemensa VII o symonję i odwołując się do powszechnego soboru, odebrał mu papież godność kardynalską i jeszcze gwałtowniej zawrzała walka w Kampanji.

Z ciężką troską spoglądał więc Klemens VII w przyszłość. Na najbliższych polegać nie mógł; dowiodła mu tego aż nadto

bierność Rzymian w chwili najazdu Colonnów. W Kampanji ogniem i mieczem tłumić musiał bunt zuchwałych baronów rzymskich, tej plagi średniowiecznego papiestwa. Nadzieje pokładane w Lidze zawiodły, a Franciszek I nie myślał o odwecie za Pawję. Oko w oko, ale już sam na sam stał papież naprzeciw cesarza, groźnego potęgą, a umiejącego się mścić. Hasła soboru padały zewsząd, z Włoch, z Hiszpanji i z Niemiec, ale rozróżnić było trudno, gdzie chodziło o sobór z papieżem, gdzie o zwołanie go przeciw papieżowi. Zresztą czy była to chwila dla soboru odpowiednia, nawet możliwa? Hiszpanja, Francja i nieszczęśliwe, do rozpaczy ciągłemi najazdami obcych doprowadzone Włochy w nieustannej były walce, równocześnie zaś, korzystając z tej niezgody wśród państw chrześcijańskich, ruszyli Turcy na Węgry i młody król Ludwik Jagiellończyk padł był właśnie na polach Mohaczu, a na murach królewskiej Budy zajaśniał półksiężyc. W Niemczech nowatorskie nauki nurtowały w społeczeństwie, roznamiętniały umysły, skłócały na razie wszystkich. Edykt wormacki z r. 1521 zakazał był jasno i treściwie wszelkiego nowatorstwa. Sejm z r. 1526 wynalazł nową formułę, opiewającą, że w rzeczach tego edyktu ma się każdy aż do zwołania przyszłego soboru zachować tak jak to przed Bogiem i Jego Cesarską Mością odpowiedzieć zdoła. Czy było to, jak twierdzą autorowie protestanccy, umyślnem już ustępstwem na korzyść Lutra, podyktowanem cesarzowi antipapieską polityką chwili, to pytanie. Ale z pewnością był to punkt wyjścia dla tworzenia się nowych kościołów państwowych i jeżeli nie rozmyślne, to w każdym razie rzeczywiste popuszczenie cugli Reformacji.

Zwolennicy i uczniowie nauki Lutra jęli teraz odrazu identyfikować antipapieską politykę cesarza ze sprawą reformy. W tym duchu przeprowadzano zaciąg nowej armji cesarskiej w Niemczech. Karol V pisał do arcyksięcia Ferdynanda, że już ostatniego dukata wydał na potrzebę włoską, żądał pomocy brata. Na wezwanie arcyksięcia jął werbować milicję w Szwabji i w Tyrolu Jerzy von Frundsberg z Mindelheim. Był to wódz wypróbowany i doświadczony. Niegdyś pod Ratysboną pasowany na rycerza przez cesarza Maksymiljana I, stawał on dotąd w dwudzie-

stu bitwach w Niemczech, w Szwajcarji i we Włoszech, gdzie walczył pod Bicoccą i pod Pawją. Wyćwiczone pod nim lancknechty niemieckie były bodaj najlepszą ówczesną piechotą świata. Tylko dotąd służba cesarska była głównym ich celem. Teraz, sfanatyzowani nową nauką Lutra, skupiali się pod nowem hasłem, hasłem walki z papieżem. Nie brakło takich, którzy dla tego celu zrzekali się nawet żołdu. Z tą myślą przewodnią ruszyło w listopadzie 1526 r. dwanaście tysięcy lancknechtów przez Alpy. Był to zbrojny pochód Reformacji na Rzym. Frundsberg zawiesił złoty sznur na piersiach, a inny, czerwony, u strzemion: pierwszym, jak mówił, zdławić chciał papieża, drugim kardynałów. A kiedy go wśród marszu na Włochy biskup trydencki upominał, odrzekł mu z upornem zacięciem fanatyka, że papież jest największym wrogiem cesarza, sprawcą i przyczyną wojny: dlatego na chwałę Bożą musi go powiesić, choćby mu stryczek własną miał założyć ręką.

X.

W przededniu burzy.

Tak rozpoczynał się rok 1527, rok klęski. Zimna wytrwałość cesarza, coraz większa chwiejność papieża, zwodnicza lekkomyślność Franciszka I, zła wiara księcia Urbinu, niezaspokojona dotąd ambicja Bourbona i mściwy fanatyzm Frundsberga, nadają sygnaturę onej chwili, rozstrzygają o losach Rzymu. Karolowi V wygrana pod Pawją oddała Włochy w ręce; kto mu w nich jeszcze śmiał stawiać opór, tego postanowił zetrzeć. Trudność niemałą stwarzało mu przecież to, że opór wychodził właśnie od papieża. Dla dziedzica tak rdzennie naówczas katolickiej, świeżo pod godłem krzyża wydartej Maurom Hiszpanji, dla obranego niedawno cesarza Świętego Imperjum, w którem nowe nauki wstrząsały samemi podwalinami tronu, zatarg z widomą głową Kościoła był grą niebezpieczną. W Hiszpanji budził niechęć, w Niemczech zdwajał ferment. Wbrew woli papieża nie mógł się zaś Karol V czuć rzeczywistym panem Neapolu i Medjolanu. Ambicja pchała go więc naprzód, aby opór przełamać, z jakiejkolwiek on wychodził strony, a obrażona duma potężnego władcy parła do odwetu za doznane zawody i do ukarania opornych. Tylko właśnie z interesu politycznego chciał łamać, nie wywołując rozgłosu, karać, zagłuszając skargę. Stąd te przez cały przeciąg zatargu i aż do ostatniej chwili powtarzające się wciąż poselstwa, namowy i prośby, względy pokrywające na zewnątrz bezwzględność żądań.

Klemens VII zaś pod obuchem tej bezwzględności coraz bardziej tracił równowagę. Przygniatało go brzemię dwojakiej odpowiedzialności, bo jako papież odpowiadał za Rzym, jako Medyceusz za Florencję, gdzie sprawował z jego ramienia rządy kardynał Cortony, Silvio Passerini, w zastępstwie i w imieniu nieprawych i nieletnich, ale ostatnich męskich potomków starszej linji Medyceuszów, Aleksandra i Hipolita. Zresztą zdawał sobie Klemens VII jasno sprawę, że w tej walce nie rozchodziło się już o sam Neapol lub Medjolan, o Rzym lub Florencję, ale o rzucenie podwalin pod stałą supremację Hiszpanów w całych Włoszech. Pod grozą takiej przyszłości tracił spokój i miarę w działaniu, stawał się chwiejnym i zmiennym. Najmniejsze powodzenie dodawało mu odrazu zbyt wiele otuchy, najdrobniejsza porażka wtrącała w zupełne zwątpienie. I tak kiedy z początkiem wybuchłej znów za wylądowaniem wojsk francuskich na południu wojny udało się wojskom papieskim pod wodzą Vitella Vitelli i kardynała Trivulzio zmusić Karola de Lannoy do poniechania rozpoczętego oblężenia Frusulone, papież zerwał odrazu zawarty właśnie w Rzymie z wielkim koniuszym cesarskim, Cezarem Fieramosca, bardzo coprawda twardy układ i natychmiast odporną walkę postanowił zmienić w zaczepną. Celem, w dwa lata po bitwie pod Pawją niewczesnym, było ni mniej ni więcej tylko zdobycie królestwa neapolitańskiego. Zrazu myślał papież o nadaniu tego królestwa jednemu z synów Franciszka I, potem zgodził się na innego pretendenta, który się osobiście we Włoszech pojawił. Był nim brat księcia Lotaryngskiego, hrabia de Vaudemont, nawiązujący swoje roszczenia do dawnych praw domu andegaweńskiego, którego był po kądzieli potomkiem. Klemens VII zamyślał związać go z własnym rodem i dać mu młodziutką swą krewniaczkę, Katarzynę, za żonę.

Ileż do razy ta mała *duchessina* wchodziła w kombinacje polityczne zbyt do nich pochopnego stryja! Już po śmierci Leona X, w czasie *conclave*, marzył ówczesny kardynał Giulio de' Medici, popierając przez chwilę kandydaturę kardynała Farnese, który przecież dopiero po dwóch innych pontyfikatach miał na Stolicę Apostolską jako Paweł III wstąpić, o skojarzeniu Medy-

ceuszów z Farnesami i zaręczeniu trzechletniej naówczas Katarzyny z Pierluigim Farnese, osławionym synem późniejszego Pawła III. Potem, już jako papież, posługiwał się Klemens VII ręką dostojnej córki swego domu jako przynętą dla przebiegłego Alfonsa, księcia Ferrary, który dla syna swego, Herkulesa d'Este, możnej koligacji szukał. Ale równocześnie ubiegał się Karol V o aljans z Ferrarą i obiecywał, że odda córkę swą naturalną, Małgorzatę, Herkulesowi za żonę. Przeważyły obietnice cesarza i właśnie w tym pamiętnym roku 1527 książę Ferrary po jego stronie stanął. Związek Herkulesa z Małgorzatą nie przyszedł jednak do skutku; dopiero w kilka lat później miała ona wyjść z kolei za dwóch nowych, z łaski cesarskiej panujących książąt włoskich, za pierwszego toskańskiego księcia, Aleksandra Medyceusza, a po tegoż zamordowaniu, za Oktawjana Farnese, drugiego księcia Parmy. Katarzyna Medycejska pozostała natomiast i nadal przedmiotem kombinacyj dyplomatycznych stryja. Na dotyczących jej osoby projektach małżeńskich osnućby można całe dzieje burzliwej i zmiennej polityki Klemensa VII. I tak w przeddzień strasznej katastrofy zdobycia Rzymu przez wojska cesarskie, ofiaruje ją podobno papież ponuremu przywódcy lanc-knechtów niemieckich, Jerzemu Frundsbergowi, na małżonkę dla syna jego Kaspra, a po *sacco di Roma* toczyć się będą układy o wydanie jej za syna tego Francesca Marii della Rovere, którego złośliwej bierności papież swą klęskę zawdzięczał, później zaś jeszcze za Filiberta, księcia Oranji, jednego z przywódców najezdniczych wojsk przy wzięciu Rzymu. Świetniejsze atoli losy czekały tę medyceuszowską latorośl. Miała ona być z liczby tych niewiast *cinquecenta*, które niosły na północ, na tron Walezjuszów i na tron Jagiellonów, jako płodne rozsadniczki, cały wielki dobytek kulturalny włoskiego Odrodzenia, ale z nim jakoby i jego przekleństwo, zawsze ducha intrygi, czasem zbrodni, — niewiast, których potężne indywidualności nie odezwały się w potomstwie, tylko wydały tu i tam, we Francji jak w Polsce, synów, niepodobnych zapewne do siebie wartością i miarą, lecz podobnych smutnem piętnem wyrytem na ich czole, piętnem epigonów, z rodu ostatnich.

Tymczasem rola przeznaczonego Katarzynie Medycejskiej z początkiem r. 1527 na małżonka pretendenta neapolitańskiego, hrabiego de Vaudemont, była krótkotrwała i niewdzięczna. Na wstępie wyprawy kilka znaczniejszych powodzeń dodało coprawda wojskom papieskim ducha. Renzo da Ceri, posłany w Abruzze, zdobył kolejno Aquilę, Sicigliano i Tagliacozzo; flota papieska, cofnięta z pod Genuy, a na której płynął sam pretendent, krążąc w zatoce neapolitańskiej, zajęła z jednej strony Pozzuoli, z drugiej Torre del Greco, Castellamare i Sorrento, dotarła nawet dalej i wzięła Salerno; główna wreszcie armja, pod dowództwem Vitella Vitelli i kardynała Trivulzio, za cofnięciem się wice-króla ku Gaecie zdążała do samego Neapolu. Były to przecież powodzenia przelotne. Renzo da Ceri, nie mając pieniędzy na utrzymanie i wyżywienie wojska, nie zdołał wkroczyć do Apulji; flota, osłabiona załogami rozkładanemi w zdobytych miastach naokoło Neapolu, nie miała już żołnierza do zajęcia samej stolicy; wojsko Vitella Vitelli i Trivulzia wreszcie z braku dostatecznej żywności buntowało się przeciw swoim wodzom i topniało z dnia na dzień w dezercji. Trivulzio donosił do Rzymu, że nie mając chleba, nie może utrzymać żołnierzy, którzy setkami uciekają.

Wina zwichnięcia tej szczęśliwie rozpoczętej wyprawy neapolitańskiej leżała znów w niedotrzymaniu danych przez Franciszka I obietnic. Z naciskiem żądał on od papieża wytrwania w pozycji zaczepnej; przyrzekał mu zasiłek pieniężny na utrzymanie floty i wojska, zaręczał o własnem porozumieniu z Anglją, która miała zająć Flandrję, kiedy on sam wkroczyć chciał do Hiszpanji. Obietnice takie tem więcej zaś Klemensa VII do działania pobudzać mogły, że w gruncie były szczere i dane w dobrej wierze. Tylko że ten król, nietylko rycerski, ale i naprawdę rozumny, gubił wszystko przez nieuleczalną lekkomyślność, szczególnie gdy od powrotu z niewoli w wirze ciągłych uciech i zabaw zdawał się szukać odwetu za czas stracony i zapomnienia doznanej krzywdy. »Przyjemności — pisał z Paryża nuncjusz Acciajuoli do datarjusza Gibertiego — zacierają w jego umyśle wszelką myśl poważniejszą, tak, że najczęściej słowa zostają się

przy nas, a skutek przy uciesze«. Na radzie stanowczy i przedsiębiorczy oświadczał, że papieża pieniężnie wspierać będzie i wkroczy sam do Hiszpanji. Wyszedłszy z rady, pieniądze sypał na ulubione budowle i przygodne uroczystości, a zamiast na wojnę, ruszał na łowy. Z przeznaczonych na wyprawę neapolitańską dwudziestu tysięcy dukatów miesięcznie, ani jedna spłata nie doszła do Rzymu, papież zaś prowadzący od trzech miesięcy wojnę, zalegał jeszcze z żołdem z pierwszego miesiąca. Dwanaście mniejszych okrętów francuskich połączyło się wprawdzie z flotą papieską, ale były one niedostatecznie zaopatrzone w żywność i nie miały załogi lądowniczej; z większych okrętów kilka pozostało na wybrzeżu Prowancji, kilka innych dopłynęło zaledwie do Savony.

Położenie papieża było więc nad wyraz krytyczne; miał skarb pusty, wojsko zdemoralizowane, a z Florencji nadchodziły prośby o prędką pomoc przeciw niebezpieczeństwu, które jej zagrażało z północy od chwili, kiedy Bourbon i Frundsberg ruszyli ku środkowym Włochom. Wprawdzie łudził się Klemens VII — i łudzić miał niestety do końca — że go niebezpieczeństwo od tej strony ominie i że się lancknechty i wojska hiszpańskie z Lombardji ku brzegom Adrjatyku przesuną, aby bez zaczepki, lecz i bez szwanku niebronionym szlakiem ku Neapolowi zdążać. Zdawał sobie w każdym razie sprawę, że zwichniętą kampanję neapolitańską wypadało zakończyć, że nie można było dłużej drażnić bezkarnie cesarza, którego miłość własną srodze znów dotknął wysunięciem cesarskiego wasala, hrabiego de Vaudemont, na pretendenta; zdawało mu się wreszcie, że wice-król neapolitański także i ze swej strony w tej chwili prędkiego, a co więcej gładkiego pokoju pragnie, że więc z tak pomyślnej okoliczności doraźnie należało korzystać. I rzeczywiście nie mylił się papież co do usposobienia Karola de Lannoy. Wice-królowi chodziło bowiem przedewszystkiem o zabezpieczenie królestwa neapolitańskiego i swego tamże naczelnego stanowiska; marsz Bourbona na południe był więc i dla niego groźnym. Mniemał on słusznie, że zwycięski Bourbon, wkraczający w Neapolitańskie, oznaczałby ostateczne wyniszczenie tego królestwa, które, jak

przedtem Medjolan, padłoby ofiarą wyćwiczonej po mistrzowsku w wyzyskach i łupiestwie, osławionej już w całych Włoszech załogi hiszpańskiej z Lombardji. W razie zaś przegranej Bourbona i Frundsberga, Neapol siłą rzeczy zdanymby był na łaskę i niełaskę papieża i sprzysiężonych przeciw cesarzowi książąt włoskich. Względy te zniewoliły wice-króla do przyspieszenia pokoju z papieżem za jakąkolwiek bądź cenę i w tym duchu nalegał na prowadzącego znów w Rzymie układy Cezara Fieramoscę.

Natomiast stronnicy Ligi nie szczędzili zabiegów, ażeby odwieść papieża od układów. Świeżo do Rzymu przybyły, nader uroczyście w Watykanie przyjmowany poseł angielski, przezorny Sir John Russell ostrzegał, żeby się nie spieszyć i połowicznym układem, sklejonym naprędce, nie narażać dotychczasowym sprzymierzeńcom, ale wyczekiwać odpowiedniej chwili korzystniejszego pokoju. Namowy nie skutkowały: papież, dotąd chwiejny, trwał teraz twardo w zamiarze porozumienia się z wice-królem; wskazywał na pustki w skarbie, na niebezpieczeństwo grożące Florencji, potem samemu Rzymowi; skarżył się na powolność Wenecji, bardziej jeszcze na nienawiść, żywioną ku jego osobie przez księcia Urbinu; zaręczał, że tenże nigdy nie przekroczy Padu, nie pospieszy mu na pomoc, ale owszem radować się będzie z jego nieszczęść. Przedewszystkiem zaś oddawał się papież nowemu, najzgubniejszemu i rozstrzygającemu o jego losach złudzeniu: wiedząc, że Karol de Lannoy, pierwszy dygnitarz cesarski na półwyspie appenińskim, posiada najdalej sięgające pełnomocnictwa Karola V, ufał, że każde jego słowo będzie dla Bourbona i Frundsberga rozkazem.

W tem złudzeniu przystąpił do zawarcia traktatu z 15 marca 1527 r. W warunkach warowano ośmiomiesięczne zawieszenie broni, spłacenie sześćdziesięciu tysięcy dukatów przez papieża armji cesarskiej, które miały być natychmiast doręczone Bourbonowi, cofnięcie wzajemne wojsk, wreszcie, na co się podobno Klemensowi VII najtrudniej zgodzić przyszło, ponowne darowanie winy Colonnom, którzy przez cały ciąg wyprawy neapolitańskiej z warownej Rocca di Papa straszyli Rzym i niepokoili Kampanję.

Wreszcie zastrzeżonem było zwrócenie kapelusza kardynalskiego kardynałowi Pompeo. Francja i Wenecja mogły każdej chwili do traktatu przystąpić; w takim razie zobowiązywał się wicekról skłonić Frundsberga do opuszczenia Włoch; inaczej rękojmia układu ograniczała się tylko do państwa papieskiego, którego granic armji cesarskiej po spłacie owych sześćdziesięciu tysięcy dukatów nie wolno było przekroczyć. Lannoy przybył osobiście do Rzymu dla ratyfikacji traktatu. Marcello Alberini w pamiętnikach swoich opisuje wjazd wice-króla i mówi, że był on »wróżbą przyszłych nieszczęść Rzymu«, bo kiedy orszak wkraczał do miasta, nagle, wśród pogody, zerwała się burza i »lunął deszcz taki, że na Via Lata (Corso) konie brodziły po pierś w wodzie«. W trzy dni potem nastąpiła uroczysta ratyfikacja. Klemens VII, zawiedziony tyle razy przez księcia Urbinu, przez Wenecję i Francję, miał zapewne prawo ratować się na swoją rękę. Nauczony świeżem doświadczeniem przy najeździe Colonnów, jak niebezpiecznem było ogałacać Rzym z wszelkiej obrony, powinien był przecież pod tym przynajmniej względem większą zachować ostrożność. Ale czy rzeczywiście z braku wszelkich dalszych środków dla utrzymania stałej armji, czy też z powodu wrodzonej a przesadnej oszczędności, czy wreszcie przez zbytnią ufność w wice-króla, którego wpływ na innych dowódców wojsk cesarskich przeceniał, dość, że zaraz po zawarciu traktatu sam się całkiem niemal rozbroił. W chwili, kiedy armja Renza da Ceri z powodu niedostatku sama się w dolinach Abruzzów rozpierzchła, kazał papież, podobno za poradą skąpego kardynała Armellini, zawiesić rozpoczęte co dopiero w Rzymie nowe zaciągi, a kardynałowi Trivulzio rozpuścić większą część głównej armji. Z licznego do niedawna wojska zostawiał sobie tylko stu jeźdźców, dwa tysiące Szwajcarów i drugie tyle piechoty z pod dawnych medyceuszowskich »Czarnych Znaków«. »Kto bezstronnie na rzeczy patrzy, ten pojmie przyczyny, które zniewoliły papieża do zawarcia układu. Tem łatwiej to zrozumiesz ty, bo znasz dokładnie niedostatek i niedolę Jego Świętobliwości. Dałby Bóg, żeby z tego złego większe zło dla nas nie wynikło«. W słowach tych, pisanych do kardynała Trivulzio, dawał szlachetny

Giberti wyraz czarnym przeczuciom i mieścił w nich zarazem wyznanie bankructwa własnej polityki, polityki francuskiej, której był głównym poplecznikiem w Watykanie. Bystry i przenikliwy, słyszał on już może odgłos tych grzmotów, których Klemens VII wśród chrzęstu składanej nieopatrznie broni dosłyszeć nie zdołał, a które zwiastowały burzę, zbliżającą się od północy.

Tam, na północy, był teraz bowiem punkt ciężkości położenia. Jeszcze z początkiem listopada 1526 roku ruszył Frundsberg z lancknechtami przez Alpy. Wąwozy, otwierające się ku Wenecji, strzeżone były przez wojska czujnej Rzeczypospolitej, więc musiano próbować innej, uciążliwszej drogi. Nie mając dział, ani koni, puścili się lancknechci wąskiemi ścieżynami górskiemi pomiędzy Lago di Garda a Lago d'Idro. Drogę wskazywał im osiadły w tej okolicy szwagier Frundsberga, hrabia Lodron. Sam Frundsberg, otyły i ciężki, pchać się kazał i ciągnąć przez kilku silnych żołnierzy pod górę; w najbardziej stromych przejściach tworzono mu żywą barjerę z lanc, żeby się nie zsunął do przepaści. Tak z niemałym trudem, wśród śniegów i lodów, zeszedł do Val di Sabbio i ruszył w Mantuańskie. Głównym celem było połączenie się jak najspieszniejsze z Bourbonem i jego załogą medjolańską, jak głównem zadaniem Ligi i jej wodza powinno było być niedopuszczenie do tego złączenia. Tylko książę Urbinu znów połowicznych chwycił się środków: zamiast z zasobem wszystkich sił, któremi rozporządzał, uderzyć na jedną lub drugą stronę, cofnął się nagle z pod Medjolanu, rozwiązując przez to samo Bourbonowi ręce, i podzieliwszy własną armję, część jej pozostawił pod wodzą margrabiego di Saluzzo nad brzegiem Addy dla obserwacji dalszych ruchów Bourbona, z drugą zaś częścią podążył sam w Mantuańskie. Skutkiem tego było osłabienie własnych pozycyj na obu frontach.

Pierwsze spotkanie z lancknechtami nastąpiło w okolicy Borgoforte. Miało się ono odrazu najcięższą dla Ligi zaznaczyć stratą. Dzielny Giovanni delle Bande Nere uderzył bowiem pierwszy z właściwym sobie impetem na nieprzyjaciela. Lecz nacierał za blisko, ufny w brak artylerji w armji Frundsberga. Nie

wiedział, że nowy sojusznik cesarski, a rozporządzający doborową i największą w owych czasach artylerją, Alfons książę Ferrary, zaopatrzył był potajemnie Frundsberga w kilka dział mniejszego kalibru, w chwili, kiedy tenże zstąpił na równiny włoskie. Z poza starej przędzalni, gdzie ukryto działa, padły znienacka strzały. Jeden z nich ugodził Medyceusza w nogę powyżej kolana. Ciężko rannego odniesiono zrazu do San Niccolo, potem po uciążliwej drodze do Mantui. Tam przyboczny chirurg Gonzagów, Żyd Abraham, uznał konieczność amputacji. Kazał zawołać dziesięciu ludzi, aby trzymali pacjenta w chwili, kiedy piłą dotknie zdruzgotanych kości. Ale Giovanni delle Bande Nere rzekł śmiejąc się, że i dwudziestu by go utrzymać nie zdołało, i chwyciwszy za świecznik, kazał Żydowi krajać, świecąc mu sam przy operacji. Nieodstępujący go przyjaciel, Aretino, zatknąwszy uszy, zemknął do dalszych komnat, gdzie go doleciał po dwakroć przeciągły okrzyk bólu. Odjęcie nogi nie przydało się na nic. Zaogniona rana jątrzyła się coraz bardziej i nazajutrz chory wyzionął ducha. Liczył dopiero lat dwadzieścia ośm a z nim traciły Włochy ostatniego wodza dawnego pokroju kondotjerów średniowiecznych, Liga zaś jedynego przywódcę, który chciał i umiał się bić. Była to więc także dotkliwa strata dla Klemensa VII, choć bardziej z publicznych, niż z osobistych względów. Bo obu papieży Medyceuszów nie łączyły nigdy zbyt bliskie stosunki z tym przedstawicielem młodszej gałęzi ich rodu, choć prócz wspólności krwi wiązało go z nimi i bliskie powinowactwo przez żonę, Marję z Salviatich, siostrzenicę Leona X. Ona też właśnie najcharakterystyczniej określała tę oziębłość stosunków rodzinnych, narzekając w jednym ze swych listów, »że za papieża Leona wszyscy nicponie coś zarobili«, a tylko jej i jej mężowi »nic się nie dostało«. Leon X, bardziej jeszcze Klemens VII, bał się wyraźnie porywczej natury młodego kondotjera, który zresztą wybitną swą indywidualnością i ambicją odziedziczoną po matce, dzielnej Katarzynie Sforza, mógł się stać niebezpiecznym współzawodnikiem dla faworytów papieskich, Aleksandra i Hipolita Medyceuszów. Los zrządził, że ci ostatni zgaśli prędko i bezpotomnie, a właśnie po Giovannim delle Bande Nere

JERZY FRUNDSBERG.

Portret w rodzaju Krzysztofa Ambergera z r. 1528, w Muzeum w Berlinie.

został się syn, który wkrótce jako pierwszy *granduca* toskański miał odrodzić i na dwa przeszło wieki ustalić świetność Medyceuszowskiego rodu.

Śmierć przywódcy »Czarnych Znaków« stała się dla księcia Urbinu nowym pretekstem zwolnienia ruchów. Zatrzymał się w Mantui, oczekując pozornie dalszych rozkazów z Wenecji, a tymczasem 28 listopada Frundsberg przekroczył pod Ostiglią Pad, którego przejścia nikt nie bronił, i powiódł swych lanckknechtów po prawym brzegu rzeki w stronę Piacenzy. W połowie grudnia dotarł do Firenzuoli i czekając na Bourbona, rozłożył się tam obozem. Bourbonowi zaś pilno było wydostać się z Medjolanu. Składały się na to przeróżne względy. Pierwszym był dla niego z pewnością wzgląd osobisty. Ciężyła mu bezczynność, a gniewały doznane zawody. Z pierwotnych jego zbrodniczych zamiarów nie spełnił się ani jeden. Francja stała jak przedtem nieuszczuplona i nierozdarta, owszem, powiększona przez własne jego dawne księstwo, w którem chciał zostać panem udzielnym, a z którego uchodził banitą; korona francuska zdobiła i nadal, mimo Pawji i niewoli madryckiej, dumne czoło Franciszka I, a on sam, Bourbon, tułał się tymczasem na obczyźnie, w trudzie i znoju obcej służby. Od Henryka VIII, któremu się nie wahał jako królowi Francji ślubować wierność, nie mógł się już także spodziewać pomocy w spełnieniu swych czarnych zemst, odkąd wzrastająca potęga hiszpańska i grożące stąd równowadze powszechnej niebezpieczeństwo, zbliżyło i pogodziło Tudora z Walezjuszem. Zawiodły go i późniejsze nadzieje, bo sprawa księstwa medjolańskiego była zawsze jeszcze nierozstrzygnięta: cesarz obsypywał go wprawdzie w Madrycie oznakami czci i przyjaźni, ale odesłał go do Lombardji namiestnikiem, a nie księciem Medjolanu. We Włoszech pierwszym dygnitarzem i mężem zaufania cesarskim był i nadal wice-król neapolitański, z którym od czasu uprowadzenia królewskiego jeńca z pod Pawji trwał Bourbon w nieprzyjaźni; niedawno zaś cesarz ponownie zadrasnął jego miłość własną, nadając księciu Ferrary dla zjednania go sobie honorowy wprawdzie tylko, ale zaszczytny tytuł jeneralnego kapitana cesarskiego w całych Włoszech. Za-

wiedzione nadzieje, zazdrość, upokorzenie, niespełniona zemsta, a może i wyrzuty sumienia w tajnikach duszy zdrajcy, pchały więc Bourbona w wir nowych czynów i przedsięwzięć. Na innych szlakach chciał szukać zaspokojenia tej rozpierającej go ambicji, którego dotąd szukał daremnie, gonić za zwodniczem widmem tej korony, za którem od lat tylu z narażeniem życia, poświęceniem mienia i nawet czci własnej gonił napróżno. Wielka, nierozegrana partja w środkowych Włoszech, gdzie się teraz ważyły losy całego półwyspu, nęciła więc namiętnego gracza, a wiecznie burzliwy ród Colonnów wzywał go potajemnie w tamtą stronę, obiecując mu łatwą wygraną. Okazja po temu była jedyna, bo połączona jego armja z armją Frundsberga stanowiła siłę istotną.

Prócz tego i względy materjalne przemawiały za szybką decyzją. Nieszczęśliwa Lombardja, od tylu lat deptana przez nieprzyjaciół, wyzyskiwana przez zmieniających się, ale zawsze równie twardych i równie bezwzględnych najeźdźców, już nie była ich w stanie wyżywić. Sam Bourbon Karolowi V donosił, że z Medjolanu ostatnie zasoby »wyssał aż do krwi«. Załoga hiszpańska po doszczętnem wyzyskaniu kraju uchodzić musiała z pośród ruin i gruzów, na których już zboże nie rosło, tak jak szarańcza, która zniszczywszy pola, odlecieć musi za żerem na inne łany. Była to już kwestja głodu, kwestja życia, i Bourbon musiał się z nią liczyć. Ale nie odrazu mógł ruszyć na wezwanie Frundsberga, bo wojsko gotowe było wprawdzie do wymarszu na nowe, obiecywane mu łupy, ale, zawiedzione tylokrotnie, żądało wprzód wypłaty zaległego żołdu. Dyscypliny w żołnierstwie nie było już żadnej. Rozsprzęgła się w swawoli i łupiestwie, na które wodzowie pozwalać musieli, nie mając czem płacić, często nawet czem żywić żołnierza. I w tej chwili także wszczęły się rozruchy: jak żeby dla wyćwiczenia się na wyprawę rzymską poczęło żołdactwo łupić świątynie medjolańskie. Przytem stawiano wodzom najpotworniejsze warunki, żądano, aby wszystkich obywateli medjolańskich, ogładzających rzekomo załogę, wypędzić z miasta, w którem zostać miały tylko kobiety i czeladź dla wygody i służby żołnierstwa. Taki duch

panował w armji. Uspokajać ją było trudno, bo kasy były puste, a uspokoić należało prędko, bo Frundsberg wołał. Naprędce sam Bourbon, a z nim Antonio de Leyva i margrabia del Vasto pozastawiali własne klejnoty i srebra. Prócz tego zmuszono byłego kanclerza Sforzy, Girolama Morone, uwięzionego przez Pescarę, do złożenia pod groźbą śmierci okupu w kwocie 20.000 dukatów; Morone zapłacił i ze spiskowca na rzecz niepodległości włoskiej przedzierzgnął się odrazu w sługę i narzędzie najniebezpieczniejszego jej wroga. A gdy i wtedy pieniędzy brakło, zakręcił Bourbon raz jeszcze, jakby dla zostawienia ostatniej po sobie pamiątki w Medjolanie, bezlitośną śrubę kontrybucyjną i zgłuszywszy odczepną spłatą krzyki buntującego się żołnierstwa, w pierwszych dniach stycznia 1527 r. wyruszył w pole.

Nad brzegami Trebbji nastąpiło połączenie obu armij w jedną, która, zasilana w ciągu drogi przez dobrowolnych lub przymusowych zbiegów z Wenecji, Florencji, a nawet z Neapolu, przez żywioły, których w tej chwili politycznego przełomu we Włoszech nie brakło, wzrosła wkrótce do pokaźnej liczby dwudziestu tysięcy ludzi. Bourbon główne dowództwo ofiarował księciu Ferrary, jako generalnemu kapitanowi cesarskiemu. Ale chytry Alfonso odmówił. Z wyrachowania i ostrożności stanął on był po stronie cesarza, ale z wyuzdanem żołnierstwem cesarkiem chciał mieć jak najmniej do czynienia i chodziło mu przedewszystkiem o szybkie oddalenie go od swych granic i kasy. Dlatego nalegał na Bourbona, aby spieszył naprzód i uderzył na Florencję i Rzym, czyli w sam środek nieprzyjacielskiej potęgi. Podżegając zaś konetabla na papieża, ubezpieczał sobie sam spokojne posiadanie Rubiery i Reggia, należących z prawa do państwa papieskiego, a które był ponownie zajął. Ale dalszy marsz Bourbona nie był łatwy. Bez pieniędzy, a stąd w ciągłej trosce o wyżywienie żołnierzy, musiał ich szeroką ławą po przebywanych okolicach rozpuścić, aby się po drodze sami przygodnym łupem żywić mogli. W takich warunkach atak ze strony nieprzyjacielskiej mógł być dla wojska cesarskiego zgubny. Bourbon przecież liczył na powolność księcia Urbinu i nie mylił się w rachubie. Straż przednia Ligi pod dowództwem margrabiego di Saluzzo wyprzedzała

o kilkanaście mil wojsko konetabla, a książę Urbinu w równej odległości następował z tyłu. Były to jakżeby korpusy obserwacyjne, unikające spotkania. Nie brakło takich, którzy utrzymywali, że Francesco Maria tą taktyką odganiał Bourbona od granic weneckich i pędził umyślnie na Rzym. Kiedy w pierwszych dniach marca wojska cesarskie zatrzymały się w San Giovanni pomiędzy Ferrarą a Bolonją, natychmiast wstrzymał i książę Urbinu swój pochód i niby dla wyleczenia się z febry odjechał sam do Casal Maggiore.

W ten sposób miała znów minąć bezpowrotnie jedyna sposobność zgniecenia armji cesarskiej w jej pochodzie na Rzym. Bo w obozie Bourbona pod San Giovanni wrzało jak w kotle. Nieustające ulewy i zimna doprowadziły źle przyodziane, po części bose, a przedewszystkiem głodne żołdactwo do wściekłości. Z wielkim trudem wydobytą tytułem pożyczki od księcia Ferrary kwotę piętnastu tysięcy dukatów na spłacenie przynajmniej części zaległego żołdu, rozdzielono niebacznie tylko pomiędzy lancknechtów. Oburzeni tem Hiszpanie rzucili się na kwaterę Bourbona, wygrażając mu i wołając o pieniądze. Wtargnęli nawet do wnętrza namiotów konetabla i dowodzącego przednią strażą księcia Oranji. Sam Bourbon ledwie z życiem uszedł i skrył się w namiocie Frundsberga. Nowym obietnicom i namowom margrabiego del Vasto, przywódcy piechoty hiszpańskiej, udało się na chwilę zażegnać burzę i przywrócić względny porządek. Ale rebelja, stłumiona po jednej stronie obozu, wybuchła wnet po drugiej: w kilka dni potem, 16 marca, ruszyli się lancknechci; nie wystarczała im zapłacona co dopiero kwota; żądali natychmiast należącej się im reszty. Ufny w powagę, jakiej zażywał u swych żołnierzy, pomiędzy którymi liczył wielu towarzyszów broni z dawnych bojów i którzy go ojcem zwali, wyszedł stary Frundsberg z namiotu i stanął pośród zbuntowanych pułków. Począł mówić, ale krzyk buntowników zgłuszył jego słowa; jął grozić, kiedy nagle, jak gdyby na komendę, z wszystkich stron podniosły się przeciw niemu lance. Przebrało to miarę: oczy starego wodza krwią zbiegły, zachwiał się i runął na ziemię. Bezwładnego i pozbawionego mowy odwieziono zrazu do

Ferrary, potem do rodzinnego Mindelheim, gdzie po kilku miesiącach umarł, nie spełniwszy ślubowanej na Klemensie VII zemsty.

Na chwilę przecież zrobiło się w obozie cicho. Niemców stropiło zajście, a przeraziła ich strata wodza, któremu bądź co bądź najwięcej jeszcze ufali. Dowództwo nad lancknechtami objęli teraz starsi pułkownicy Frundsberga, Konrad von Bemelberg i Sebastjan Schärtlin von Burtenbach. Zresztą i Niemców uspokojono, rozdając znów po dukacie na głowę z uzyskanej ponownie, lecz z niemałym trudem od Alfonsa d'Este pożyczki. Więcej atoli działali wodzowie słowem, obiecując zziębniętemu i zgłodniałemu żołdactwu jako bliskie zbawienie wszystkie bogactwa Florencji, skarby Rzymu. Zaostrzywszy w ten sposób chciwość żołnierza, postanowił Bourbon wieść go dalej na południe. Wojsko było teraz chętne, zrywało się do marszu, przeklinało nieustanną i zmuszającą do bezczynności słotę, a w klątwach obozowych zaklinano się już tylko »na łupy Florencji« i na »łupy Rzymu«.

Wtem, wśród takiego stanu umysłów, w niestosownej więc całkiem do układów chwili, zjawił się w obozie wielki koniuszy cesarski, Cesare Fieramosca. Przybywał on z Rzymu, aby z tytułu udzielonych Karolowi de Lannoy przez Karola V pełnomocnictw, a w myśl zawartego w dniu 15 marca pomiędzy wice-królem i papieżem traktatu, żądać od Bourbona cofnięcia wojsk na lewy brzeg Padu. Fieramosca przywoził z sobą kwotę owych 60.000 dukatów, które papież spłacić na rzecz armji konetabla się zobowiązał. Ze zdziwieniem i gniewem przyjął Bourbon te w tej chwili istotnie niewczesne propozycje. Prócz innych względów upokarzała go pewnie i myśl, że się ma poddać narzuconej woli wice-króla, którego niecierpiał. Według Guicciardiniego odrzekł przecież spokojnie, że dołoży wszelkich starań, aby pułkowników do przyjęcia tych warunków i do posłuszeństwa nakłonić; potajemnie atoli jął natychmiast i na pułkowników i na wojsko wpływać, aby pod żadnym warunkiem nie uznali narzuconego im układu i nie dali sobie w ostatniej chwili wydrzeć należącej się im rzetelnie nagrody, zajęcia Florencji

i Rzymu. Zwołano starszyznę na naradę. Sam Fieramosca przemówił: w zręcznych słowach podnosił korzyści zawartego traktatu, ostrzegał przed ryzykiem dalszej wyprawy bez pieniędzy i żywności w obcym kraju i w zimie przeciwko obronnym i dobrze strzeżonym miastom, wzywał do posłuszeństwa wobec woli i rozkazów cesarskich. Tylko jeden Alfonso d'Avalos, margrabia del Vasto, stanął po stronie posła. Inni pułkownicy milczeli, ale jak im to Fieramosca przykazał, poszli zapytać o odpowiedź żołnierzy. Odpowiedź, na jaką Bourbon czekał, nie zawiodła: z wściekłością rzuciło się żołdactwo na kwaterę wodzów, żądając wydania posła. Ledwie z życiem zdołał ujść Fieramosca na koniu, dostawionym mu naprędce przez dowódcę pułków włoskich, młodego Ferdynanda Gonzagę. Przed Bourbonem stanęła deputacja żołnierzy z zapytaniem, co czynić zamyśla, gdyż oni w każdym wypadku pójdą naprzód. »W takim razie — odrzekł Bourbon — pójdę i ja z wami«. i natychmiast doniósł ukrywającemu się w okolicy Fieramosce, że aczkolwiek sam chętnieby z posłuszeństwa wobec cesarza warunki traktatu z 15 marca przyjął, przez wojsko przynaglony, musi iść naprzód.

Z tem samem oświadczeniem wysłał gońca do papieża. W Rzymie nie odrazu zrozumiano doniosłość tych wykrętów. Karol de Lannoy obiecywał, że i teraz jeszcze zdoła wstrzymać pochód armji cesarskiej, albo przynajmniej oderwać od niej Hiszpanów. W tym celu jak najspieszniej podążył do Florencji, gdzie z wezwanymi tamże wysłannikami Bourbona nowych chciał spróbować układów. La Motte des Noyers, Montbardon i jałmużnik konetabla Jan de Languedoc, stawili się przed wice-królem. Lecz warunki ich były teraz twardsze. Zamiast 60.000, ofiarowanych przedtem, żądali 150.000 dukatów za odwrót wojsk cesarskich. Papież nie miał pieniędzy, więc Florencja, wystawiona i tak na pierwsze niebezpieczeństwo, wzięła na siebie spłatę. W braku gotówki przetopiono kielichy i paramenta kościelne z świątyń florenckich, byle jak najprędzej potrzebną zebrać sumę. Spłaty miały nastąpić w dwóch bliskich terminach. Z pierwszą ratą sam wice-król ruszył naprzeciwko Bourbona. Papież, skłonny do złudzeń, a tracący coraz bardziej zmysł orjentacji, uwierzył

że tym razem niebezpieczeństwo było zażegnane na dobre. Jak niedawno przed najazdem Colonnów, tak teraz ponownie rozpuścił resztę wojska stojącego w Rzymie, pozostałe dotąd przy nim jakby w rodzinnej spuściźnie »Bande Nere«, i znów w wigilję nowego, groźniejszego napadu, stał całkiem bezbronny.

Na to tylko czekał Bourbon. Chodziło mu przedewszystkiem o zmylenie czujności nieprzyjaciół, aby móc przebyć tymczasem najtrudniejszą część drogi, przekroczyć Appeniny. Wąwozy toskańskie były strzeżone. Musiał więc obrać uciążliwą drogę przez Val di Bagno. Wiosna się opóźniała, a w górach leżał gęsty śnieg i mrozy dokuczały głodnej armji, do której się teraz na ochotnika przyłączył oddział studentów niemieckich z Bolonji. Ale Bourbon podtrzymywał ducha żołnierzy zapewnieniem, że im ze szczytów Appeninów pokaże ziemię obiecaną, którą im wyda na pastwę. Nędza i niedostatek rosły z dniem każdym. Z niemi szły w parze zniechęcenie i pokusa odwrotu. Wreszcie i chleba zabrakło i znów groźne widmo rebelji zawisło ponad wlokącym się mozolnie taborem, kiedy nagle ze szczytu gór ujrzeli żołnierze bogatą dolinę Arna i otwarty gościniec na Rzym i Florencję. »Przybyłem z wojskiem do Val di Bagno — pisał 19 kwietnia Bourbon do Antoniego de Leyva — i nie chcę zwlekać, bo mi się zdaje, że sposobność jest pomyślna. Wskutek układu z naszym dobrym wice-królem nieprzyjaciel jest bowiem bezbronny i już się chyba uzbroić nie zdąży. Nędza w moim obozie opisać się nie da. Ale żołnierze znoszą wszystko chętnie i tysiącem lat zdaje im się każda godzina, która ich dzieli od tego przeklętego złupienia Florencji. Toteż wprost na nią ruszymy«,

Pod tym względem atoli mylił się Bourbon, bo nie bliższa Florencja, tylko właśnie dalszy Rzym miał pierwszy paść jego ofiarą. Pomiędzy Arezzo a Montevarchi nastąpiło spotkanie z wicekrólem, który przywoził pierwszą ratę umówionej we Florencji z wysłannikami konetabla spłaty. Z trudem zdołał ją ustrzec przed napadami grasujących po drogach wśród zgiełku wojennego chłopów toskańskich. Ale wojsku cesarskiemu i jego wodzom teraz, po przebyciu Appeninów, ani w głowie się już było cofać. Toteż Bourbon oświadczył bez ogródki, że i ta suma jest

za mała i zamiast 150.000 zażądał 240.000 dukatów. Wiedział zgóry, że ani papież, ani Florencja nie zdołają się z tego uiścić. Wice-król o tem nowem żądaniu natychmiast doniósł do Rzymu, sam się zaś zrazu w obozie zatrzymał. Lecz w przekonaniu, że z Rzymu odpowiedź pomyślna nie przyjdzie, zniechęcony bezskutecznością swych zabiegów odesłał przywiezione, ale zdaniem Bourbona niewystarczające pieniądze do Florencji i po kilku dniach, jakżeby umywając sobie od wszystkiego ręce, odjechał do Sieny. Zwłoka, spowodowana tym nowym kilkudniowym targiem, wyszła przecież Florencji na dobre. Bo naleganiom Guicciardiniego, popartego przez posłów weneckich, udało się skłonić dowódców Ligi do szybszego, przynajmniej raz w ciągu całej kampanji kroku. Kiedy Bourbon z takim trudem przekraczał Appeniny, książę Urbinu i margrabia di Saluzzo przez łatwiejsze do przebycia a dla nich otwarte wąwozy dostali się do Toskanji. Francesco Maria, pilny zawsze w strzeżeniu własnego interesu, zjednany był przez Florencję odstąpieniem mu dawno pożądanego zamku San Leo di Montefeltro. Kto wie zresztą, czy nie grał u niego roli i ten inny wzgląd, że obronna Florencja rozstrzygała o losach bezbronnego Rzymu. W każdym razie zbliżenie się wojska Ligi tuż pod samą Florencję zmieniło plany Bourbona i nagle 26 kwietnia, będąc już zaledwie o kilkanaście mil od celu odległy, zwrócił się w bok, aby przez dolinę Arbji, zamiast na północ, ruszyć na południe, i zamiast na Florencję, na Rzym.

Równocześnie prawie doniesiono Klemensowi VII o ostatnich przez Bourbona stawianych warunkach i żądaniu spłaty 240.000 dukatów. Papież, który przez cały ciąg wojny 120.000 miesięcznie na jej potrzeby wydawał, nie mógł już myśleć o spłaceniu nowej a tak znacznej w dodatku sumy. Zresztą jasnem teraz było, że Bourbon sam tych warunków na serjo nie brał, ani się ich przyjęcia spodziewał. W tym stanie rzeczy zwołał Klemens VII dnia 25 kwietnia posłów zagranicznych i oświadczył, że nie myśli płacić nadal długów cesarza i że wobec niedotrzymania układów z 15 marca przez stronę przeciwną, on je także ze swej strony za niebyłe i nieobowiązujące uważać musi. Zarazem przy-

stąpił ponownie do Ligi, którą był już tylokrotnie porzucał, aby do niej zawsze niebawem powrócić. Wobec szybkiego zbliżania się Bourbona, nie było chwili do stracenia. Łudziło się jeszcze wielu, może i sam papież, że armja cesarska Rzym bez zaczepki ominie i ku Neapolowi podąży; takie zwodnicze zapewnienia do końca przychodziły od konetabla, z dodatkiem, że dowództwo zachowuje tylko dla utrzymania dyscypliny wojska! Zależało mu na tem, żeby nieprzygotowanych zaskoczyć znienacka, a ułatwiali mu to zadanie Colonnowie, mianowicie Pompeo, z którym przez cały ciąg marszu w nieustannej pozostawał styczności i przez którego wiedział dokładnie, co się w Rzymie i w okolicach Rzymu dzieje. Mściwy kardynał, w celach zemsty za odebraną mu przez papieża purpurę, gotował ze swej strony razem z dawnym wspólnikiem, Moncadą, nowy napad na Rzym. Nawet już termin był naznaczony: dzień 10 maja. Ubiec go miał Bourbon. Bo na szybkość ruchów konetabla wpłynęła z pewnością wieść, że się papież teraz, w ostatniej chwili, znów zbroić zaczyna. Zadanie obrony miasta i nowego w tym celu werbunku otrzymali od Klemensa VII Renzo da Ceri i wypuszczony od niedawna z Zamku św. Anioła, Orazio Baglioni. Misję mieli do spełnienia trudną, bo niepopularność papieża jeszcze była wzrosła, odkąd koszta długiej wojny odbijały się coraz cięższemi podatkami na ludzie, który to niesłusznie kładł na karb rzekomej chciwości i skąpstwa Klemensa VII. Prócz tego stronnicy Colonnów, stanowiący wśród ludności rzymskiej większość, nie chcieli się przeciw cesarzowi zbroić; inni bali się tej większości narażać, inni jeszcze, jak opowiada świadek naoczny, protonotarjusz Gumppenberg, oczekiwali bez obawy najazdu, tusząc, »że się tylko wszystko na księżach skrupi« — *dass nur der Pfaff castigirt wird.* — Wogóle, jak tylokrotnie w ciągu wieków średnich, tak znów w tej rozstrzygającej chwili miało się pokazać, jak mało papieże na bałamutnej, frakcjami rozdartej ludności rzymskiej polegać mogli. W sporach wewnętrznych zamarło było poczucie obowiązków, a w bójkach ulicznych stępił się prawdziwy duch żołnierski. Rzymianin Alberini w charakterystycznym zwrocie

określa Rzymian z owej chwili, mówiąc, że byli *più presto atti alle guerre di Amore che di Marte.*

Toteż werbunek Renza da Ceri i Baglioniego mierny wydał rezultat: z trzydziestu tysięcy zdolnych do noszenia broni ludzi, pod broń stawiło się tylko pięć czy sześć tysięcy. Była to zresztą, wedle słów Guicciardiniego, »hołota bez dzielności i doświadczenia« — *turba imbelle et imperita* — wybrana naprędce z pośród czeladzi kardynalskiej, ściągnięta z warsztatów rzemieślniczych i z karczem. Renzo da Ceri był niemniej pełen otuchy; ufny w dawne powodzenia, miał jej nawet za nadto, kiedy ofiarowanego mu przez konfederatów z Florencji sukursu pod dowództwem Guida Rangone nie przyjął, mówiąc, że lepiej wojska Ligi nie rozdrabniać. Dowodzi to tylko, z jaką pewnością liczono w Rzymie na niechybną w danej chwili pomoc całej armji konfederackiej. Tymczasem ćwiczono nowych rekrutów i naprawiano w pośpiechu silnie miejscami nadwerężone mury i wały miejskie. Papież z wzrastającą troską w sercu sam doglądał robót, objeżdżając konno miasto, zachęcał słowem do obrony, obiecywał nagrody. Ale te przygotowania, zdradzające bliskie niebezpieczeństwo, budziły niepokój. Bogatsi, spakowawszy naprędce dobytek, poczęli uciekać z miasta, mimo ryzyka dostania się w ręce Colonnów, których uzbrojone chłopstwo grasowało w Kampanji. Aby zapobiec zbytniemu wyludnieniu się Rzymu, rozkazał papież zamknąć bramy i nie puszczać uchodzących. Wkrótce jęły się mnożyć złowrogie wieści: z okolic, przez które ciągnęła armja cesarska, poczęli chronić się do Rzymu zbiegi z doniesieniem, że Bourbon idzie, znacząc swój pochód zniszczeniem i pożogą. Ludowi rzymskiemu przypomniało się teraz, jak na kilka miesięcy wstecz pojawił się nagle w Rzymie jakiś pustelnik z okolic Sieny, zwany Brandano; nawpół nagi, okryty tylko zgrzebłem, przebiegał ulice i place rzymskie, nawołując do pokuty i zwiastując bliski dzień sądu; szydzono naówczas z niego, przezywano go »szaleńcem Bożym« — *pazzo di Cristo* — wreszcie wtrącono do więzienia. Teraz przypomniano go sobie i jeden drugiego z trwogą pytał, czy ten wyśmiany, pogardzony wróżbita, nie był prawdziwym, z góry natchnionym prorokiem.

Bo dzień sądu zbliżał się naprawdę. Bourbon kilka armat, które miał, zostawił w Sienie, aby niczem nie obciążać pochodu, niczem nie hamować obrotów wojska. Błyskawicznym ruchem rzucił się teraz na południe. Ludzie jego nieśli drabiny, które miano przystawiać do murów Rzymu. Wzdłuż drogi zabierano włóczące się po kraju żołdactwo, najemników z rozpuszczonego co dopiero papieskiego wojska, którzy bez zajęcia, przystawali chętnie do rozbójniczej zgrai. Wojsko robiło ośmnaście do dwudziestu mil na dzień, jawiło się jednego dnia pod Montepulciano, drugiego pod Radicofani, siejąc wszędzie zniszczenie i postrach. Potem przyszło mu jeszcze przebyć wezbraną wiosennemi wodami Paglię. Ażeby wstrzymać bystry nurt rzeki, kazał się Bourbon konnicy wszerz jej koryta ustawić, a niżej, poza tą żywą tamą, puścił brodem piechotę; rzędami po pięćdziesięciu, trzymając się pod ręce, aby większy prądowi stawiać opór, szli żołnierze, którym woda miejscami dochodziła po szyję. Kilkudziesięciu ludzi, uniesionych wodą, zginęło, ale wojsko przebyło rzekę i pędem puściło się dalej. W lot wzięto i splądrowano Montefiascone, a 2 maja otworzył przed konetablem Wielki Mistrz Zakonu św. Jana, Villiers de l'Isle d'Adam, bramy Viterba. Nazajutrz, już tylko o kilka mil od Rzymu, w Isola Farnese, odbyła się rada wojenna. Dziwiono się ogólnie, że z bezbronnego Rzymu nie jawią się posłowie z propozycjami układów, że papież nawet na ostatnie, wysłane do niego z pod Florencji, zgoła nie odpowiadał. Położenie w obozie było krytyczne; gdyby się Rzymu nie udało zdobyć, byłby to ostatni śmiertelny cios dla armji cesarskiej; lecz i zdobycie Rzymu miało swoją niebezpieczną stronę, bo żołnierz, wzbogacony łupem, zrywałby się do domu. Dlatego przezorny Gattinara w znamiennym dla zamiarów armji cesarskiej zwrocie nalegał, aby sobie i w razie zdobycia »bez całkowitego zniszczenia Rzymu« — *senza l'intera distruzione di Roma* — furtkę otwartą do układów zostawić. Postanowień przecież nie powzięto naprawdę żadnych: Bourbon czuł tylko jedno, że wygrywa ostatnią kartę i Rzym zdobyć musi, bo inaczej i on i jego ludzie byli straceni. Reszta była obojętna. Nie wiedział już sam, czy to on wojsko, czy wojsko jego prowadzi. Zosta-

wała mu jedynie, wedle przyjętej dewizy — *omnis spes in ferro* — cała nadzieja w żelazie i jedyne hasło: naprzód! Z tem hasłem puściła się armja na bliski Rzym, podobna do zgłodniałej sfory, której szczwacze już nie chcieli, ani nie mogli utrzymać na smyczy.

Dzisiaj, po tylu wiekach, groza przejmuje jeszcze na uprzytomnienie sobie tej chwili. Bo od zamierzchłych wieków średnich nie widział Rzym takiej burzy, jak ta, która teraz na niego leciała, a której gromy miały paść na inny Rzym, nowy, wielki Rzym Odrodzenia; na Rzym Marcina V, pierwszego po sromotnem rozdarciu schizmy zachodniej odnowiciela miasta; Rzym Mikołaja V, który w nim rozpalił znów ognisko nauki; Rzym Sykstusa IV, który tam ześrodkował zakwitającą wszędzie sztukę włoską; Rzym Juljusza II, który potęgą swego ducha zrobił go siłą i pochodnią świata; Rzym Leona X, który nauczył i przyzwyczaił ludzi do słodyczy używania nagromadzonych w nim skarbów; na Rzym, w którym z długowiecznego letargu wśród gruzów i rumowisk przebudzili się właśnie bogowie starego Olimpu, świadcząc w swej nieskalanej marmurowej bieli o śmiertelności swych prawd, ale nieśmiertelności piękna; na Rzym, gdzie to wskrzeszone piękno tchnęło w nową sztukę dawny urok i siłę; Rzym ruchliwych humanistów, a od wieku prawie, od przybycia szlachetnego Bessariona, przytułek wygnańców greckich; Rzym, który przez dwa ostatnie żyzne stulecia przyciągał i ugaszczał wszystkich z kolei wielkich mistrzów pióra, pendzla, dłuta, znaczących w nim swój pobyt jasnym śladem, od Dantego do Ariosta, od Giotta do Lionarda, od Mina da Fiesole do tego, który w kilka lat po burzy 1527 r. miał znów do Wiecznego Miasta powrócić, aby tam, kto wie czy nie na pamiątkę tych sądnych dni, bo na myśl daną przez Klemensa VII, roztoczyć na ścianie Sykstyny straszliwą wizję Dnia Sądu; na Rzym, w którym niedawno zamknął był oczy Bramante, ale którego natchnienie żyło nadal w zasklepiających się za jego myślą stropach Bazyliki Piotrowej; Rzym gdzie na ścianach dalszych sal Watykanu uczniowie utwierdzali jeszcze zagrobowe błyski promiennego genjuszu Rafaela; na Rzym, bę-

dący już wtedy ochłodą, rozkoszą, miłością wszystkich wybranych dusz, gdzie w zaraniu Odrodzenia Petrarca i Giovanni Colonna wychodzili na szczyt sklepienia Dioklecjańskich termów, aby stamtąd w ciszy i skupieniu przyglądać się miastu o siedmiu pagórkach, napawać jego czarem, dumać nad jego zadaniem i losem; na ten Rzym wreszcie, o którym pisał świeżo Erazm Rotterdamski, że letejskiej chybaby szukać musiał wody, ażeby go mógł zapomnieć — *quaerendus fluvius aliquis Lethaeus, ut Urbis liceat oblivisci.*

Na taki to Rzym pędziła teraz pod wodzą zdrajcy i banity zgraja wyuzdanych a w rozbojach ćwiczonych siepaczy z sąsiedniego półwyspu i ponurych, zbuntowanych przeciw Kościołowi barbarzyńców z północy. W chwili, kiedy wojska Bourbona stanęły na Monte Mario, słońce chyliło się za jego szczyt, opromieniając gasnącym blaskiem leżące przed najezdnikami miasto. Ku niemu zwróciły się chciwie zgłodniałe twarze, wyciągnęły wychudłe ręce. Byli wreszcie u celu i u stóp leżały przyszłe ich łupy. Słońce zaszło po raz ostatni nad dawnym Rzymem. Dzień następny, 6 maja 1527 r., miał się zapisać w dziejach jako *dies irae* Odrodzenia.

XI.

Sacra ruina.

Wojsko, które w ciągu marszu wzrosło do poważnej liczby trzydziestu kilku tysięcy ludzi, rozłożył Bourbon półkolem wzdłuż Janikulu od Porta San Pancrazio aż po Watykan. Na kwaterę dla siebie obrał klasztor Sant Onofrio. Podobno jeszcze tego samego dnia po przybyciu wysłał trębacza do miasta z żądaniem żywności i pozwolenia na wolne przejście przez Rzym. Odpowiedzi nie dano, a właściwie było nią monitorjum papieskie *contra Carolum de Borbonio Romam invadentem*. Położenie konetabla było zaś rozpaczliwe, bo chleba dla wojska nie miał jak na dwa dni, armja konfederatów lada chwila na nie z tyłu uderzyć mogła, z przodu natomiast zawarte bramy i sterczące dokoła mury rzymskie broniły przystępu do miasta. Potrzeba mu było koniecznie i bez zwłoki je posiąść, żeby się uchronić od pewnej zguby, a zdobywać je musiał, nie mając armat. Odrazu więc chciał rzecz rozstrzygnąć i ruszyć do szturmu. Ale żołnierze, zmęczeni gwałtownym marszem z dni ostatnich, żądali chwili wytchnienia, wczasu do nabrania nowych sił. Pozwolono im wypocząć, a w nocy starszyzna zeszła się w cichym kościele Sant Onofrio na radę wojenną. Postanowiono nazajutrz o świcie przypuścić szturm. Sciarra Colonna miał strzec Ponte Molle, książę Oranji uderzyć po stronie północnej na mury pomiędzy Watykanem a Zamkiem św. Anioła, Bourbon od Belwederu na samo wzgórze watykańskie, a na prawem skrzydle lancknechty na mury łączące Porta Torrione i Porta San Spirito. Wyszedł rozkaz, aby zaraz po pół-

nocy zatrąbiono na alarm. Po skończonej naradzie pułkownicy rozeszli się do swych kwater, Bourbon zaś został sam ze spowiednikiem.

Nazajutrz opary, podnoszące się z równin Kampanji, powiały na miasto i otuliły gęstą osłoną dzielnicę Leonińską. Atakującym było to na rękę, bo łatwiej mogli podkradać się niepostrzeżenie pod mury. Pierwsze dwa ataki były przecież daremne. Następujących zbyt blisko raził ogień z muszkietów straży, czuwającej na wałach, gdzie dowodził Renzo da Ceri, Orazio Baglioni, a obok nich Guillaume du Bellay, brat historyka. Od czasu do czasu odzywały się działa Zamku św. Anioła, a choć większość strzałów dla zbyt gęstej mgły chybiała celu, tu i owdzie kule pruły przecież szeregi cesarskie. Nawet pod jednym z przywódców, pod księciem Oranji, padł koń od kuli armatniej. Ale Bourbon nie tracił nadziei zwycięstwa. Od świtu na koniu, z ogniem w oczach obiegał szeregi, wydawał rozkazy, gnał i szczuł swoją sforę na miasto. Rozpoznawali go wszyscy po srebrzystej zbroi i zarzuconej przez nią białej opończy. Po owych pierwszych chybionych atakach zeskoczył z konia i sam ruszył na wały, okalające Campo Santo. Już o mur opierał drabinę i nogę stawiał na szczeblu, kiedy wtem w pobliżu padł wystrzał z muszkietu. »*Ah, Nostre Dame, je suis mort!*« zawołał Bourbon i osunął się na ziemię. Książę Oranji nakrył go płaszczem i konającego ponieśli żołnierze do pobliskiej kapliczki *del Refugio*, stojącej wśród winnic kardynała Pucci. Tam przyjął wiatyk i żył jeszcze kilka godzin, a myśl, która trawiła go gorączką w ostatnich miesiącach żywota, nie miała go aż do zgonu opuścić i w majaczeniach konania wyrywał mu się jeszcze ze słabnącej piersi złowrogi okrzyk: »Na Rzym, na Rzym!« Zasługę celnego strzału przypisywało sobie potem wielu, jak Rzymianin Valentini, Marinelli z Borgarii i znany uczeń Rafaela, Giovanni da Udine. Ale najsilniej windykuje ją dla siebie Benvenuto Cellini, w niezrównanym swym pamiętniku, w którym z pośród steku wylęgłych w bujnej wyobraźni wielkiego artysty nieprawdziwych opowieści, wyłania się takie prawdziwe, drgające życiem tło epoki.

Obojętnem jest zresztą, od czyjej kuli padł przywódca wojsk

cesarskich; mówiono nawet, że była to zbłąkana we mgle kula hiszpańska; ale obojętnem nie było, że wojsko nagle, w chwili stanowczej, straciło ostatniego wodza, którego bądź co bądź słuchać przywykło. Błyskawicą rozeszła się wśród szeregów wieść, że Bourbon śmiertelnie ranny. Na chwilę wstrzymało to dalsze ruchy. Ale wnet rzucili się żołnierze z podwójną zaciekłością naprzód. Chcieli pomścić wodza, a może podniecała ich nadzieja łatwiejszej teraz, bo bezkarnej grabieży. Bourbon dogorywał właśnie w samotnej kaplicy, kiedy książę Oranji, objąwszy z jego zlecenia dowództwo, na całej linji znów pognał wojsko do szturmu. Chwila ta odbiła się w pieśni śpiewanej przez francuskich żołnierzy, otaczających Bourbona, a zapisał ją Brantôme, który ją z ust ówczesnych »rycerzy szczęścia« — *ces adventuriers d'alors* — zasłyszał:

Quand le bon prince d'Orange
Vit Bourbon qui estait mort,
Criant: Saint Nicholas!
Il est mort, Saincte Barbe!
Jamais plus ne dit môt,
A Dieu rendit son âme.
Sonnez, sonnez trompettes,
Sonnez tous à l'assaut,
Approchez vos engins,
Abbatez ces murailles,
Tous les biens des Romains
Je vous donne au pillage.

A ci Rzymianie, których mieniem rozporządzano już z poza murów, witali tymczasem wybuchem radości wieść o zgonie konetabla. W lot rozchwytywano podawane z ust do ust nowiny, że szturm odparty, że nieprzyjaciel po śmierci wodza w rozsypce, a że książę Urbinu z wojskami Ligi tuż następuje, że stanął już nad Tybrem, zajął Ponte Molle. Złudzenie trwało krótko; około południa wznowiony przez armję cesarską atak miał być ostatni, lecz zwycięski. W ogrodach kardynała Armelliniego spostrzegli Hiszpanie dom wbudowany w mury miejskie, z przysypanem naprędce gruzami wejściem do piwnic. Przez ten otwór wtargnęli natychmiast do miasta, a równocześnie obok Porta San Spirito

lancknechci zdołali nareszcie wedrzeć się na wały, na których pierwszy stanął niejaki Mikołaj Seidensticker. Kilka w mgnieniu oka zdobytych dział zwrócili napastnicy na Zamek św. Anioła. Na ten widok wszczął się między załogą popłoch, a armja cesarska wdarła się na mury i runęła z okrzykiem triumfu na miasto. Jedna część milicji papieskiej pierzchła odrazu; druga w rozpaczliwym wysiłku jęła bronić przystępu do ulic; ale wnet zgniotła ją liczebna przewaga najeźdźców. Z tysiąca żołnierzy z dzielnicy Parione dziewięćset padło trupem; z resztek »Czarnych Znaków« pod Lucantoniem pozostało dziesięciu przy życiu; całą niemal gwardję szwajcarską wycięto w pień pod obeliskiem. Obrona dzielnicy Leonińskiej była skończona. Renzo da Ceri wpadł do Watykanu, a tymczasem fala najeźdźców zalała Borgo. Żołnierze cesarscy, z porwanym naprędce kawałkiem chleba w jednej, a szablą lub dzidą w drugiej ręce, rozpoczęli szalony, dziki pościg, mordując wszystko, zbrojnych i bezbronnych, ludzi i zwierzęta, bo nawet spotykane po drodze konie i muły zabijano, aby nikt przed końcem walki nie mógł unieść łupów. W szale rozboju i pijaństwie krwi nie oszczędzano nic i nikogo; w szpitalach dobijano rannych i chorych, albo ich wrzucano żywcem do Tybru; do wnętrza domów ciskano rozpalone głownie; wszczynały się już w kilku miejscach pożary; między innemi spłonął dom posła francuskiego, Alberta Pia z Carpi. Szczęk broni mieszał się z krzykiem ściganych, jękiem mordowanych, ale wszystko zagłuszało dzikie wycie rozbestwionego żołdactwa, które z hasłem »*Espana*« i »*Imperio*« święciło straszliwy triumf.

Klemens VII na dzień przedtem myślał jeszcze o ucieczce z Watykanu. Chciał dotrzeć do bliskiej Ostji, a stamtąd przedostać się na okręty Andrzeja Dorii. Inni radzili mu opuścić przynajmniej dzielnicę Leonińską, cofnąć na lewy brzeg Tybru do starego miasta i zburzyć za sobą mosty. Przemogły namowy Renza da Ceri, który zapewniał, że miasto przeciw wojsku nie mającemu armat łatwo obronić zdoła. Papież nie dzielił tej pewności; ale że Rzym miał się bronić, dla przykładu i jemu wypadało w nim zostać. W dzień szturmu od rana zamknął się w kaplicy watykańskiej; ludzie go zawiedli, tak Franciszek I, jak Henryk VIII,

tak książę Urbinu, jak Lannoy; wszystkie subtelne kombinacje polityczne, w których się zbyt lubował, spełzły na niczem; w chwili rozstrzygającej, w chwili doraźnego niebezpieczeństwa, stał sam, o własnych tylko, a nadomiar złego, tak marnych narazie siłach. Z śmiertelnym niepokojem w sercu, pod brzemieniem odpowiedzialności za Rzym i papiestwo, padł na kolana przed ołtarzem, wzywając jedynej pomocy, której mógł się jeszcze spodziewać. Tę ogrojcową modlitwę wśród dalekiego huku dział i wystrzałów z muszkietu, przerwał nagle około południa groźny odgłos bliższej walki: cesarscy wtargnęli już byli do miasta i u wrót Watykanu mordowali gwardję szwajcarską. Do kaplicy wpadła świta papieska; za trzy *credo*, mówi jeden ze świadków, było już na ratunek zapóźno. Nawpół niesiony, nawpół pchany, rzucił się papież do korytarza, łączącego Watykan z Zamkiem św. Anioła. Za nim biegli kardynałowie, datarjusz Giberti, Schomberg, Alberto Pio z Carpi, stary Salviati, przybyły w tej chwili z wieścią o przegranej Renzo da Ceri, i cały zastęp biskupów, prałatów, dworzan. Z okien krużganku widać było pościg najezdniczej tłuszczy za bezbronnymi mieszkańcami Borga, dolatywały przez nie dzikie wrzaski zwycięzców i rozdzierające krzyki mordowanych. Łkając, zdążał Klemens VII do Zamku. Biskup z Nocery, Paolo Giovio, który sam to opisuje, ujął kraj jego szaty, żeby go nie hamowała w biegu, a na otwartym moście u wejścia z krużganku do twierdzy, zarzucił mu na plecy własny fioletowy płaszcz, aby po białej szacie nie poznano z ulicy papieża i jaki zaciekły lanc-knecht nie strzelił z dołu za uciekającym.

W chwili, kiedy Klemens VII wpadł do Zamku, komendant twierdzy kazał podnieść zwodzone mosty. Wzmogło to jeszcze zamęt. Wprawdzie około trzech tysięcy ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci schroniło się już było w obronne mury twierdzy, ale z dwóch stron, od Borgo i od starego Rzymu przez most na Tybrze napierały szerokim wałem, pędząc ku fortecy, dalsze gromady uciekających. Obie fale zderzyły się z sobą. Zaczęto się gnieść i tratować wzajemnie. Wielu wpadło do fos i rowów, okalających Zamek. Pokaleczonych chwytał nieprzyjaciel. Inni, odparci od Zamku, rzucili się ku łodziom na rzece; ale łodzi było

PAPIEŻ KLEMENS VII.

Portret Angela Bronzina, w Galerji Uffizi we Florencji.

za mało, a te które znaleziono, przeciążone ludźmi tonęły. Stary kardynał Pucci, który przez cały ranek stał na wałach, zachęcając żołnierzy do obrony, przybył do Zamku, kiedy mosty już były wzniesione; przedzierając się ku twierdzy, spadł z konia i runął wśród ciżby; stratowanego i ranionego w głowę podniesiono z fosy i przez okno, w którem wyłamano kraty, wciągnięto do Zamku. Przybyły również za późno Armellini, znienawidzony przez Rzymian kardynał-camerlengo, kazał się windować w koszu na linie i tak dotarł do wnętrza. W koszach tych wciągano do Zamku zebrane naprędce w okolicznych domach i sklepach prowianty, bo odrazu pokazało się znów, że Zamek był źle zaopatrzony, źle utrzymany. Nawet kraty u bram były zardzewiałe i źle chodziły w zawiasach. Z trudem zdołano je za papieżem i kardynałami zatrzasnąć.

Prócz tych dwóch kardynałów zamknięci byli ze św. Kollegium z Klemensem VII dwaj późniejsi papieże, Farnese i Del Monte, a dalej Cesi, Orsini, Accolti, Trivulzio, Pisani, Campeggi, Rangone, Ridolfi i Cibo. Zdeklarowani stronnicy cesarscy, kardynałowie Della Valle, Cesarini, de Vio, Piccolomini, Aracoeli, i jedyny purpurat z nominacji Hadrjana VI, Enckevordt, pozostali w swych pałacach. Ufali w dawny, nawet w krwawych zamieszkach średniowiecznych przestrzegany obyczaj, że przy najazdach Gibellini szanowali mieszkania Gibellinów, Gwelfowie Gwelfów. Tym razem i to miało być złudzeniem. Ale z początku pałace ich stały się przytułkiem dla tych, którzy szukali schronienia, a do twierdzy przybyli za późno. Inni z zebranemi naprędce kosztownościami uciekali do kwater zaprzyjaźnionych z Hiszpanją i cesarstwem posłów, albo do mieszkań Colonnów. Ubożsi kryli się po kościołach i klasztorach, lub w podziemiach starych ruin rzymskich. Wszystko to miało być daremne, wszystkich zdołała wytropić szatańska chciwość najeźdźców. Ale na tem gorączkowem szukaniu schronisk i kryjówek zeszły mieszkańcom Rzymu pierwsze godziny po wkroczeniu wojsk cesarskich do Borgo. Każdy już tylko myślał o własnym ratunku, nikt prawie o dalszej obronie.

Papież zaś, ledwie się za nim wrzeciądze forteczne zawarły,

przemyśliwał już o nowych układach. Pod twierdzę nieprzyjaciel zbyt blisko podchodzić nie śmiał, bo artylerja zamkowa strzegła dostępu. Rzeźbiarz Rafaello da Montelupo i złotnik Benvenuto Cellini nastawiali działa i kierowali obroną: dziwne ostatnie świadectwo wszechstronności mistrzów Odrodzenia w dzień jego zgonu. Misja wysłannika papieskiego do starszyzny cesarskiej spełzła na niczem. Książę Oranji we własnem i w imieniu innych pułkowników odrzekł, że do układów przystąpi dopiero, skoro mu papież odda Trastevere i Ponte Molle. Klemens VII nie przyjął tych warunków. Miał jeszcze nadzieję, że się po śmierci Bourbona armja cesarska sama z siebie rozprzęże, a że miasto po lewej stronie Tybru obronić się zdoła. W tym celu Renzo da Ceri opuścił znów Zamek św. Anioła i podążył na Kapitol. Tam od zebranych na naradę rajców miejskich zażądał zerwania mostów na Tybrze i zabarykadowania wschodnich bram miasta; stare miasto byłoby natenczas od wojsk cesarskich Tybrem odcięte, a z drugiej strony zabezpieczone przed grożącym znów napadem Colonnów. Małoduszna odpowiedź Rady brzmiała, że Colonnom, jako obywatelom rzymskim, nie można odmówić przystępu do Rzymu, a że pięknych mostów szkoda, już ze względu na koszta, jakichby nowa budowa przysporzyła miastu. Nie wskórawszy nic na Kapitolu, pospieszył Renzo na Zatybrze. Stanowiło ono osobną, nie połączoną z Watykanem i dzielnicą Leonińską, oszańcowaną całość. Nie można było myśleć o zdobyciu samego Rzymu, nie zabezpieczywszy się przedtem na Zatybrzu. Ale zadanie wojsk cesarskich było łatwiejsze, niż przy zdobywaniu Borga, bo miano już teraz zabrane przed południem armji papieskiej działa. Do szturmu wiedli od winnic Janikulu lancknechtów z jednej strony, Włochów z armji cesarskiej z drugiej, Bemelberg i Lodovico Gonzaga z Sabbionety, dla niezwykłej siły powszechnie Rodomonte zwany. Obrona była niedołężna. W mgnieniu oka wysadzono bramy i wojsko cesarskie zalało Trastevere. Załoga, porzuciwszy broń, umknęła przez Ponte Sisto do miasta. Tam, przy tym moście miały się teraz rozstrzygnąć losy Rzymu.

Zdobycie Borga i Trastevere było bowiem dopiero połową zadania. Wiedzieli o tem dobrze pułkownicy cesarscy i truchleli

na myśl, że im się żołnierstwo rozsypie za łupem, zanim sam Rzym posiędą. Nie wiedzieli zaś, czy i jak się ten Rzym bronić będzie. Już zmrok zapadał, kiedy zwartym szeregiem Niemcy i Hiszpanie ruszyli ku Ponte Sisto. Zastąpiło im drogę poselstwo z Kapitolu, które wiodł bawiący w Rzymie ośmnastoletni margrabia Brandenburski, Gumprecht. Ale żołnierze nie chcieli już słyszeć o układach. Z wściekłością rzucili się na wysłanników senatu; towarzyszący Gumprechtowi protonotarjusz Gumppenberg, wpadł do jednego z przyległych domów i zdołał się ukryć; inni pierzchnęli; sam Brandenburczyk dostał się w ręce lancknechtów. A tymczasem wojsko cesarskie dotarło do mostu, którego głowy bronił kwiat szlachty rzymskiej, Renzo da Ceri z synem na czele domu Orsinich, Gianbattista Savelli, Ranuccio Farnese, Girolamo Mattei, bracia Tibaldi, młody Giulio Vallato z proporcem, na którym widniał napis *Pro fide et patria,* i inni. Alberini porównywa ich do Decjuszów, którzy śmiercią przebłagać chcieli gniew bogów. Zbitą ławą ruszyła na nich horda najeźdźców. Obrona była dzielna, ale wobec przemocy krótka. Vallato, Savelli, Tibaldi i Gianpaolo Orsini, syn Renza, legli trupem. Po ich ciałach szeregi cesarskie wtargnęły do miasta; teraz już cały Rzym do nich należał i, jak rano na Borgo, rozpoczął się i tu odrazu pościg za uciekającymi i rzeź bezbronnych mieszkańców. Sanudo w Diarjuszu swym oblicza, że tego pierwszego dnia wyrznięto dwanaście tysięcy Rzymian; może to zbyt wysoka liczba, ale inny kronikarz mówi, »że wszędzie leżały takie stosy trupów ludzkich i zwierzęcego ścierwa, iż ledwo było można przejść z jednej strony ulicy na drugą«. Jak huragan przeleciało wojsko przez miasto, ścieląc przed sobą po drodze wszystko. Wreszcie stanęło i pułkownicy zebrali Hiszpanów na Piazza Navona, lancknechtów na Campo di Fiore.

Do północy trzymali wodzowie żołnierzy w szeregu i obóz huczał w niecierpliwej żądzy rabunku. Jak w Zamku św. Anioła z nadzieją, tak tu, w obozie, z trwogą wyczekiwano odsieczy. Ale napróżno wyglądał Klemens VII ze szczytów twierdzy na drogi, wiodące z północy do Rzymu, a zbytecznie pułkownicy cesarscy pilnowali na wałach; nadzieja i trwoga były płonne,

a wojska Ligi daleko. Po północy zagasły światła w Zamku; papież strudzoną, skołataną głowę kładł na posłaniu, w rozpaczliwem oczekiwaniu tego, co mu jutro przyniesie. W obozie zaś zaczęły rzednąć szeregi; żołdacy wymykali się za łupem i na rozpustę nocną po mieście, opustoszałem i ucichłem, odkąd nad niem przeleciał anioł śmierci. Rozpoczynało się długotrwałe plądrowanie Rzymu, »najsmutniejsza, najstraszliwsza, najhaniebniejsza tragedja« — *la piu mesta, la piu spaventevole, la piu vergognosa tragedia* — jak ją Guicciardini nazywa. A tymczasem zwłoki Bourbona zaniesiono do Św. Piotra i złożono na katafalku. Wedle Sanuda przez kilkanaście tygodni paliło się wokoło trumny dwanaście gromnic, a dwunastu księży dniem i nocą zawodziło psalmy. Katafalk stał w kaplicy Sykstyńskiej, gdzie na piętnaście lat wstecz złożono u stóp pomnika pierwszego z papieży Roverów zwłoki Juljusza II. Teraz, wśród pogromu Wiecznego Miasta, spali obok siebie nieprzebudzonym snem wielki papież, który żył hasłem *fuori i barbari*, i straszny przywódca barbarzyńskich najeźdźców Rzymu.

Ale zgon konetabla przyczynił się chyba jeszcze do zwiększenia nieszczęść zdobytego miasta, bo z jego zniknięciem znikł także w armji ostatek dyscypliny i posłuszeństwa. Swawola żołnierska stała się wszechwładną. Z nazwiska książę Oranji dzierżył najwyższą władzę, lecz naprawdę nie miał jej ani cienia. Kiedy w kilka dni po wzięciu Rzymu zatrąbiono na próbny alarm, zaledwie czwarta część żołnierstwa stawiła się do szeregu. Inni ugrzęźli w rabunkach i rozpuście. Miasto już było zdobyte; teraz na ochotnika zdobywali żołdacy dom za domem, bez różnicy, czy należały one do Rzymian, Hiszpanów czy Niemców, czy mieszkali w nich bogaci czy ubodzy. Jednych i drugich ograbiano z wszystkiego, brano w niewolę i torturą zmuszano do wysokiego okupu. Już pierwszego dnia przerażał Rzymian, jak opowiada w pamiętniku swym Marcello Alberini, »rozlegający się wśród nocnych ciemności po skończonej rzezi łoskot wywalanych bram, rozbijanych kas, krzyk męczonych jeńców«. Jeszcze zaś drastyczniej opisuje te sceny inny naoczny również świadek, Bawarczyk Gumppenberg. »Rzymianie — mówi — wybiegali po-

między żołnierstwo na ulicę, głosząc się stronnikami cesarskimi i zapraszając do siebie, gdzie dla żołnierza przygotowano jadło i napój, łoże i łaźnię. I myślał Rzymianin, że się chciwy Hiszpan łyżką strawy zadowoli. Ale gdy się ten dobrze najadł i napił, wtedy potraktował po swojemu gospodarza, zabrał mu żonę i córki, aby z niemi poigrać, a na niego samego wołał: Dajże nam jako wiernym sługom cesarskim pieniądze, jako żeś i ty wierny cesarski człowiek, abyśmy z temi oto białogłowami triumfować *(triumphiren)* mogli. Tyle a tyle cesarz nam winien; pożycz, a cesarski majestat ci to odda. Słysząc to, poznawał Rzymianin szaleństwo swe poniewczasie i chciał kazania Hiszpanowi prawić, czy tak ze stronnikiem cesarskim obchodzić się godzi. A wtedy żołnierz: Ty psie fałszywy, dawaj pieniędzy albo wisieć będziesz... Łżesz, żeś stronnikiem cesarskim, bo taki nie targowałby się ze sługą cesarskim o żołd. I więzili go, brali mu żonę i dzieci, plądrowali, palili i męczyli, póki im nie oddał całego mienia. A po pierwszym jawił się drugi i dziesiąty, więził go i okupu żądał, gdy zaś ten już nic nie miał, natenczas mordowano go albo męczono dopóty, aż im w rękach skonał: bo nie było wiary w tym żołnierzu«.

Takie były losy mieszkańców Rzymu. Mężczyzn czekała ruina i niewola, zwykle tortura, często śmierć, kobiety hańba, a to hańba w oczach rodziców lub mężów, jako straszliwy środek wymuszania okupu. Kroniki opowiadają o matkach, które same sobie wyłupiały oczy, żeby na hańbienie córek nie patrzeć. Na bogatsze domy urządzano liczniejsze obławy. W pałacach, służących za przytułek okolicznym mieszkańcom, sporządzano sądowy akt: wszyscy, którzy się w nich schronili, obowiązywali się zwrócić gospodarzowi domu cenę własnego okupu. Za wtargnięciem nieprzyjaciela składano ten okup. Sumy były ogromne, a biada tym, którzy ich doraźnie uiścić nie mogli. Lecz i tym okupem nie okupywano bezpieczeństwa. Bo za Hiszpanami nadciągali nazajutrz lacknechci. Nie znajdując pieniędzy, rabowali inwentarz, łamiąc i niszcząc, czego zabrać nie mogli. Gorszy jeszcze los czekał tych, którzy się próbowali bronić: domy ich podpalano lub podkładano pod nie prochy. Tak wyleciała w powietrze jedna z wież kapitolińskich. Pożar szerzył się dokoła. Na Campo Marzo

bronił się pałac Lomellina. Szturm był zaciekły, a gdy w ostatniej chwili właścicielka, próbując ucieczki, spuściła się na linie w podwórzec zamkowy, zabito ją wystrzałem z muszkietu.

W śmiertelnej trwodze, ale przynajmniej cało, przebyła te dni piekielne inna kobieta, słynna margrabina Mantuańska, Izabella d'Este. Od dwóch lat bawiła ona w Rzymie, bo przybywszy w r. 1525 na jubileusz, została w pobliżu Watykanu, ubiegając się o kapelusz kardynalski dla syna Herkulesa, który miał być później jednym z przewodniczących Soboru Trydenckiego. Drugi jej syn, Ferrante, był w wojsku Bourbona. Z drogi jeszcze przestrzegał matkę o grożącem Rzymowi niebezpieczeństwie, nalegał, aby się przynajmniej przez kilka godzin broniła, aż jej sam na pomoc zdąży. Margrabina pałac Colonnów na placu Św. Apostołów, w którym mieszkała, zamieniła w fortecę: bramy i okna były zamurowane, a wewnątrz schroniło się do trzech tysięcy ludzi. Byli tam, między innymi, posłowie z Mantuy, Ferrary, Urbinu i poseł wenecki Domenico Venier. Pierwszej nocy po zajęciu Rzymu zjawili się na placu Św. Apostołów Ferrante Gonzaga, hr. Alessandro di Nuvolara, którego piękna siostra Kamilla zamknięta była z margrabiną Mantuańską w pałacu Colonnów, i Hiszpan, Don Alonzo di Corduba. Temu ostatniemu sam Bourbon polecił był jeszcze pieczę nad margrabiną, której był siostrzeńcem. Na sznurach wciągnięto przybyłych do wnętrza warownego pałacu. Mimo takiej opieki nie obyło się bez grubego okupu. Tylko sama margrabina była od niego zwolniona, a prócz niej poseł wenecki, który się ukryć zdołał. Inni złożyć musieli 60.000 dukatów. Mówiono powszechnie, że część tych pieniędzy zabrał dla siebie Ferrante. Ale w liście do brata, margrabiego Fryderyka, zaręczał, że z trudem mu tylko matkę ubezpieczyć przyszło, »bo w wojsku krążyły wieści, że w pałacu Colonna jest skarbów za dwa miljony, czemu winna była litość matki, która tylu ludzi u siebie przytuliła«. Hiszpanie strzegli pałacu, na którego rzekome skarby ostrzyli zęby lancknechci. Ledwie ich zdołał utrzymać na wodzy książę Oranji. Ale mieszkańcy pałacu wobec trwającego niebezpieczeństwa siedzieli cicho i nie śmieli się ruszyć. Dopiero dwunastego dnia o zmroku wyprowadził Ferrante matkę i przebranego za

tragarza ambasadora weneckiego nad Tyber. Na łodziach zdołały dostojne zbiegi przeprawić się do Ostji. Do pałacu Colonnów wtargnęło zaś po ucieczce margrabiny rozbójnicze żołdactwo.

Trzymały się przez chwilę pałace tych kardynałów, którzy należeli do zdeklarowanych stronników cesarskich i ufali, że ich ten tytuł przed napadem cesarskiego wojska uchroni. Ale złudzenie to trwało krótko. Pierwszą ofiarą padła Cancellaria, wspaniały pałac Pompea Colonny, którego nie było jeszcze w Rzymie. Hiszpanie i Niemcy zrabowali nagromadzone w nim skarby. Kardynał della Valle ogromnym okupem uratował zrazu siebie i chroniących się w jego pałacu Rzymian. Za jego przykładem poszli kardynałowie Cesarini, Enckevordt i Piccolomini. Kardynał de Cupis z dziećmi Madonny Felicji Orsini, córki Juljusza II, zdołał zbiec i po długiej pieszej wędrówce dotarł do Ostji. Ale okup, spłacany przez kardynałów Hiszpanom, budził chciwość lancknechtów. Rzucili się więc na rezydencje kardynalskie. Zaczęło się od kilkogodzinnego szturmu na pałac sieneński. Kardynała Piccolomini wzięto w niewolę. Obnażonego zaciągnęli żołnierze do kwaterswych na Borgo, biczując go, kopiąc i poniewierając po drodze. Następnie padły pałace della Valle, Cesarini i Enckevordt. W pierwszych dwóch obliczano łupy na 200.000 dukatów, bez względu na to, że już okup przedtem był spłacony. Ośmdziesięcioletni kardynał Ponzetto dostał się także w ręce nieprzyjaciół. Godzinami włóczono go po mieście, do banków i znajomych, od których spodziewano się za niego okupu. A kiedy starzec się już na nogach utrzymać nie mógł, jeden z lancknechtów zarzucił go sobie przez plecy, »jak martwe ciało« — *come un corpo morto.* — Gorsze były jeszcze losy kardynała Numalio, z zakonu św. Franciszka. Tak jak Ponzetta włóczono i jego po mieście, szukając okupu. Wiózł go lancknecht przywiązanego za sobą na koniu. Okupu nie zdołano jednak zebrać. Wtedy złożyli go lancknechci do trumny, ponieśli w procesji do kościoła Aracoeli i złożyli na katafalku. Rozpoczęły się błazeńskie egzekwje z bluźnierczemi śpiewami. Nie brakło i mowy pogrzebowej, w której jeden z lancknechtów wyliczał rzekome winy i zbrodnie kardynała. Otworzono nawet grób w posadzce i już go żywcem grzebać miano,

aż w ostatniej chwili, nie mogąc i w ten sposób wymusić na nim pieniędzy, których nie miał, zawleczono go znów w tym samym pochodzie do domu. Tam wobec nawpół żywego odbyła się stypa i pijatyką zakończyli lancknechci tę straszną ceremonję. Dostał się także w ręce najeźdźców uczony Dominikanin, Tomasz de Vio, znany powszechniej jako kardynał Gaetanus, ten sam, który już na Soborze Lateraneńskim tak żarliwie wołał o reformę kościoła, a w r. 1518 oponował Lutrowi w Augsburgu. Przybranego jak na pośmiewisko, z czapką facchina na głowie, gnali lancknechci przez miasto w daremnem poszukiwaniu okupu, bijąc go i policzkując po drodze. Ze łzami kazał Klemens VII błagać Niemców, ażeby się ulitowali i »nie gasili tej pochodni Kościoła«.

W wymownem w swej ścisłości sprawozdaniu, sporządzonem dla Karola V przez jednego z urzędników cesarskich, towarzyszących armji, mówi autor, »że lancknechci zachowywali się w Rzymie jako prawdziwi luteranie, inni jako ludzie stojący poza wszelką religją«. Różnica między śniadym, zwinnym Hiszpanem, a jasnowłosym ociężałym Niemcem z Północy, objawiała się i w innych znamionach. Hiszpana cechowało wyrafinowane okrucieństwo i rozwiązłość, Niemca brutalność i pijaństwo. U obu była równa chciwość. Tylko pierwszy zagrabione dobro chował zazdrośnie, drugi trwonił wnet wszystko na grę i pijatyki. Hiszpan o wyuzdanych żądzach był postrachem kobiet. Brantôme opowiada, że na długo jeszcze po tych dniach klęski, zwano w znaczącym zwrocie kobiety rzymskie, od wielkich pań do prostych służebnic, »relikwjami z czasów *Sacca*«. Nawet dostojne córki Domenica Massimo, po spaleniu rodzinnego pałacu, nie uszły gwałtu. Lud rzymski upatrywał w tem karę Bożą za to, że kiedy Klemens VII w wigilję najazdu wezwał zamożniejszych mieszkańców Rzymu do składki na werbowanie wojska, Massimo, jeden z najbogatszych patrycjuszów, przysłał papieżowi, jakby na żart, sto dukatów. U lancknechtów odzywała się natomiast, jakoby echem ze zbuntowanej przeciw Kościołowi Północy, nienawiść do papiestwa i jego sług, do obrządków i świętości katolickich. Miasto świątyń w świątyniach swych miało też najsrożej odczuć

furję najeźdźców. Ani jeden z kościołów nie ustrzegł się świętokradzkiej napaści. W bazylikach św. Piotra i św. Pawła poustawiano konie jak w stajniach. Z Lateranu zabrano głowy Apostołów, któremi żołnierze rzucali po ziemi jak piłką; z klasztoru San Silvestro skradziono głowę św. Jana Chrzciciela, którą potem pozostała z ogólnej rzezi ostatnia zakonnica znalazła. Lancę Longinusa porwał któryś z lancknechtów i ostrze jej na drzewcu własnej lancy osadził. Chusta Weroniki, uświęcona czcią tylu wieków, przez kilka dni brukała się po karczmach rzymskich. Wielki krzyż Konstantyna włóczyli żołdacy po ziemi na Borgo. W innych kościołach rozbijano ołtarze, rabowano świeczniki, naczynia, szaty i przybory kościelne, strzelano do krucyfiksów, dziurawiono obrazy, z relikwjarzy wyrzucano relikwje, a nawet z kielichów hostje, depcząc je w kale po ziemi. Otwierano nakoniec groby, szukając w nich skarbów. U Św. Piotra rozbili Hiszpanie grób Apostoła, a następnie jęli odwalać kamienie z grobowców papieskich. Kości Sykstusa IV ustrzegł od poniewierki ciężar wspaniałego pomnika Pollajuola; ale do sąsiedniej trumny drugiego z papieży Roverów wśliznęła się chciwie świętokradzka ręka żołdaka.

Łupieniu kościołów towarzyszyło mordowanie zakonników, hańbienie zakonnic. Pierwszą niemal ofiarą najeźdźców padł klasztor przy Santa Maria del Popolo, dziwnym trafem ten sam, w którym przed kilku laty zamieszkał był przelotnie mnich przybyły z Północy, z którego okien patrzał na Rzym Odrodzenia, ten Rzym, któremu wkrótce w buncie swej nowej nauki tak zaciętą miał wydać wojnę. Dawnych jego braci zakonnych wymordowali teraz najeźdźcy do nogi. Równie straszny był napad na kościół i klasztor Minerwy, na klasztory na Campo Marzo i na Monte Citorio. Mord i rabunek kończył się zwykle orgją: na ołtarzach rozsiadało się żołdactwo z ulicznicami; grano w kości, popijając z święconych kielichów; pod stropem kościelnym rozlegały się klątwy i bezwstydne śpiewy; krew z winem spływała po posadzce, a wśród wrzasku i pijaństwa, dopuszczano się wszelkich bezeceństw. Potem cała ta rozbójnicza zgraja ruszała z ciężkim ładunkiem łupów do kwatery. Były to pochody z piekielnego

karnawału: szli lancknechci z infułami na głowach i pastorałami w ręku, ulicznice przybrane w ornaty i kapy, a przodem pędzono kapłanów, przebranych na pośmiewisko w stroje kobiece, i wzięte w niewolę, odarte z tych strojów, matrony i dziewice rzymskie. Innym razem ciągnęła taka maskarada pod Zamek św. Anioła: na osłach jechali lancknechci przebrani za kardynałów, w pośrodku jeden z nich w białej sutannie papieskiej. Okrzyki pijanej tłuszczy »*Luther Papst, Luther Papst*«, rozbrzmiewały dokoła i dochodziły aż do wnętrza Zamku, do uszu Klemensa VII. A tymczasem ów karnawałowy papież lancknechtów piorunował w długiej przemowie na papieży rzymskich, »którzy śmieli kłaść przeklęte stopy na uświęcone głowy cesarzów«. Cochläus znów opowiada, że inny lancknecht, nazwiskiem Grunenwald, wybiegał często przed Zamek »i wołał, aby mu dano zjeść kawał mięsa z papieskiego ciała, ażeby to mógł Lutrowi powiedzieć«. W szale świętokradzkim nie było granic: razu jednego przybrali lancknechci osła w szaty kościelne i jęli przymuszać uwięzionego kapłana, aby mu podał Przenajświętszy Sakrament; ksiądz hostję za hostją sam połykał, aż padł nieżywy pod razami oprawców.

Nie brakło takich, którzy dobrowolną śmiercią ratowali się wśród przeciągłych tortur. W torturowaniu przodowali Hiszpanie, wietrzący zawsze zdradę i podejrzywający jeńców, że przecież mają jeszcze gdzieś skryte pieniądze. Im kto był wykwintniejszy i szlachetniejszego pochodzenia, tem srożej się nad nim znęcano. Cały katalog zastosowanych tortur wylicza Luigi Guicciardini w spółczesnych swych zapiskach. Jednych wieszano za ręce nad studnią, grożąc im przecięciem sznurów, jeżeli nie wydadzą całego mienia; innym przybijano nogi do posadzki, biczowano ich, albo przypiekano im rozpalonem żelazem boki; innych jeszcze morzono głodem, wyrywano im zęby, obcinano nos lub uszy, które potem musieli połykać. Ten sam Guicciardini opowiada, jak niejaki Giuliano Princivalle z Camerino, dworzanin kardynała Cibo, przetrzymawszy już długą torturę a nie mając pieniędzy na okup, cofał się w czasie przeciągłego śledztwa ku oknu i rzucił się na ulicę, aby dobrowolną śmiercią skrócić mękę. Inny, Giovanni Ansaldi, zapłacił już był na torturze tysiąc dukatów,

a gdy go nadal męczono, żądając więcej, wydarł puginał oprawcy i ugodził się nim w serce. Straszną jest historja żony przywódcy gwardji szwajcarskiej z Watykanu: błagającej o litość obcięto obie ręce, któremi zasłaniała kłutego i biczowanego na śmierć małżonka. Nawet u starszyzny nie było w tych dniach ani źdźbła litości. Florentczyka, Bernarda Bracci, gnali żołnierze do banku Bartłomieja Welsera, aby go zmusić do złożenia okupu. Na Ponte Sisto spotkał się ten pochód z pułkownikiem wojsk Bourbona, a od wzięcia Rzymu gubernatorem miasta, la Motte des Noyers. Dowiedziawszy się, że Bracci tylko 7000 dukatów zapłacił, zagroził mu La Motte, że go natychmiast z mostu do Tybru wrzucić każe, jeżeli mu jeszcze pięciu tysięcy nie dopłaci. Na kilkanaście miljonów obliczają współcześni okup, złożony nieprzyjaciołom przez Rzymian, a chyba drugie tyle wynosiła wartość samych łupów. Te łupy po większej części sprzedawano na miejscu Żydom, którzy je kryli w podziemiach na Ghetto. Szuflami dzielili Hiszpanie i lancknechci pomiędzy sobą zrabowane kosztowności, perły i drogie kamienie, a lada knecht nosił w trzosie kilkaset, czasem kilka tysięcy dukatów.

Ile skarbów sztuki i nauki zginęło w tym odmęcie, dojść trudno. Katastrofa była tak okropna, tyle ważniejszych spraw, bo spraw mienia i życia, w grze, że współcześni o tem, jako o szczególe prawie podrzędnym, milczą. Ale kto wie, czy względny brak pamiątek z *quattrocenta* w Rzymie, w porównaniu n. p. z Florencją, nie jest skutkiem pogromu z 1527 r. Czy prawda, że żołnierze Bourbona rozpalili ogniska w Stanzach Rafaela, tego także z kronik ówczesnych nie dojdzie. Mówi to jednak dawna, ustna tradycja w Rzymie. Do Bibljoteki Watykańskiej wtargnęli najeźdźcy. Z trudem książę Oranji, który stanął w Watykanie kwaterą, uratować ją zdołał. Ale wiele rękopisów wtedy zniknęło bez wieści, a po ulicach wiatr miótł i roznosił strzępy bulli i regestrów z kancelaryj papieskich. W stajniach wyścielano dla koni archiwami podłogę. Bibljoteki przy kościołach św. Piotra w Okowach, św. Apostołów i św. Sabiny zgorzały. Paolo Giovio stracił część gotowych już rękopisów barwnych swoich historyj. Stracili również księgozbiory: uczony kaznodzieja, kardynał Egidio

z Viterbo, lekarz papieski Accoramboni z Gubbio i ów Angelo Colocci, w którego ogrodach gromadziła się Akademja rzymska. Ich straty zapisały kroniki współczesne. O innych milczą, ale wiadomo, że w wielu pałacach i klasztorach zniknęły wówczas zbiory archiwalne na zawsze. Srodze ucierpiało archiwum kapitolińskie. W Watykanie, gdzie ich książę Oranji z bibljoteki wygnać zdołał, dostali się przecież żołnierze do sal innych. Słynne witraże Wilhelma de Marcillat padły ich ofiarą. Wybito je, żeby ze spajającego pojedyncze szyby ołowiu lać kule. W kaplicy Sykstyńskiej zerwano ze ścian wspaniałe Arrasy Rafaela, o których już Paris de Grassis pisał, że »piękniejszych nie znajdzie w universum«. Przez trzydzieści prawie lat miały się błąkać, zanim powróciły znów do Watykanu. Zresztą spisu zrabowanych naówczas dzieł sztuki zestawiać niepodobna. Stanowiłby on jednak spory bezwątpienia przyczynek do inwentarza krzywd, które obrazoburczy instynkt Reformacji wyrządził światu. A spis taki do olbrzymich wzrósłby rozmiarów, gdyby zestawić można owo mnóstwo złupionych, zniszczonych lub zaginionych sprzętów, któremi ówczesny Włoch, tak często dziki jeszcze w obyczajach, ale wykwintny w przyzwyczajeniach, w swej codziennej, powszedniej niejako potrzebie sztuki, otaczać się lubił.

Trzy tygodnie trwało właściwe łupienie miasta, ale miesiącami trwać miała niedola Rzymian. Kogo oszczędził Hiszpan, ten wpadł w ręce lacknechta, lub naodwrót. Zwykle w każdym domu pojawiali się obaj kolejno, a co jeszcze po nich zostało, to padło na pastwę zbrojnego chłopstwa z zamków i grodów Colonnów w Kampanji, którzy pod wodzą Pompea, Wespazjana i Ascania wkroczyli w kilka dni po wzięciu Rzymu przez wojska cesarskie do miasta. Zgłodniałe chłopstwo, jak stado hien, ciągnęło w trop za Hiszpanem lub Niemcem, porywając i unosząc wszystko, czem tamci wzgardzili. Taborami wywozili z miasta najpospolitsze sprzęty, zniszczone przy plądrowaniu stoły i łóżka, połamane odrzwia i okiennice, wyrwane ze ścian żeleźca i gwoździe. Po przejściu tej czerni nic już niemal w zrabowanych domach nie zostało. Ale pojawili się w nich nowi goście: głód i zaraza. Długą wojną zubożały kraj nie mógł się już wyżywić, a o regu-

larnych dostawach do miasta w panującym bezrządzie mowy być nie mogło. Toteż już w pierwszych dniach maja donosił Ferrante Gonzaga bratu Fryderykowi do Mantui, że w domu, w którym zamieszkał, »kilka osób umarło z głodu« i że »bochenek chleba sprzedawano za dukata«. W czerwcu, z rozpoczęciem upałów, wybuchło morowe powietrze i śmierć poczęła kosić między zwyciężonymi i zwycięzcami. Po stu ludzi i więcej umierało dziennie, a że nie było komu ich grzebać, więc rzucano trupy pod bramy kościelne, gdzie leżały niepochowane, lub do Tybru. Dom za domem znaczył się złowrogim, ostrzegającym przed zarazą krzyżem. Niektórzy kładli ten znak na ścianie w nadziei, że odstraszy łupieżców. Ale i to nie pomagało i Alberini opisuje, jak nieszczęśliwi Rzymianie za zbliżaniem się żołnierzy »chowali resztki chleba pod sienniki chorych, ale chowali daremnie, bo bezbożnicy, nie troszcząc się o zarazę, zabierali je stamtąd, zostawiając głodnym tylko słomę i wełnę z posłania«.

Straszny był obraz miasta, nawiedzonego równocześnie przez morowe powietrze, głód i ogień. Mieszkańcy, którzy nie zdołali złożyć okupu, jęczeli w niewoli. Barbarzyński zwycięzca używał ich bez względu na stan lub urodzenie do najniższych posług. W kloakach musieli szukać pochowanych rzekomo skarbów. Inni, ukryci w domach, nie śmieli głowy na dwór wytknąć. Grolier opisuje, jak po raz pierwszy po wzięciu Rzymu wyszedł na miasto: »W miarę — mówi — jak zdążałem ku Forum, cisza, samotność, groza, zaduch idący od trupów zalegających ziemię, przejął mnie do szpiku; domy były otwarte, bramy wyłamane, sklepy wymarłe, a po pustych ulicach gnało tylko kilku dzikich żołdaków«. Tamtędy przeleciała już była burza, ale tam, gdzie jeszcze szalała, gdzie męczono jeńców o okup, »z ulicy słychać było — jak opowiada znów Luigi Guicciardini — nie westchnienia lub płacz, ale przeciągłe jęki i zawodzenia nieszczęśliwych, bo wyli, jakby zamknięci we wnętrznościach Falaryjskiego byka«. Tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem upływał, a twardy najeźdźca deptał bez litości Rzym i coraz bardziej rosła owa *sacra ruina* Wiecznego Miasta, jak ją tak wymownie Alberini w swym pamiętniku nazywa. A żołnierz cesarski, Sebastjan Schärt-

lin von Burtenbach, który odwiózł do domu piętnaście tysięcy dukatów i oprócz cennych sprzętów, strojów i kosztowności także i porwany w jednym z kościołów rzymskich »długi na dwanaście stóp stryczek Judasza«, zapisywał na wspomnienie tych triumfów liczbę zabitych wraz z rozmiarem rabunku i pożogi, kreśląc te, tylko w niemieckim oryginale całą swą brutalną dosadność zachowujące słowa: *Den 6 Tag May haben wir Rom mit dem Sturm genommen, ob 6000 Mann darin zu Todt geschlagen, die ganze Stadt geplündert, in allen Kirchen und ob der Erd genommen was wir gefunden, ein gut Theil der Stadt abgebrannt.* W słowach tych brzmi jakoby echo ciężkich stąpań uchodzącego z łupem lanc-knechta.

XII.

Papież i Cesarz.

Odgłos tych »szataństw« — *queste diavolerie* — jak je Benvenuto Cellini nazywa, dochodził do Zamku św. Anioła, gdzie ze szczytu twierdzy Klemens VII wciąż patrzał w stronę drogi Flamińskiej, wyczekując odsieczy. W sam dzień szturmu na Rzym, Guido Rangone z lekką jazdą i oddziałem strzelców dotarł aż do Ponte Salaro. Tam doszła go wieść, że Borgo i Trastevere są już w ręku nieprzyjaciół. Na odsiecz broniącego się miasta byłby poszedł chętnie; nawpół zdobytego ze słabemi siłami, jakiemi rozporządzał, ratować nie śmiał. Natychmiast więc zawrócił ku Otricoli. Główne wojska Ligi ruszyły natomiast dopiero 3 maja z Florencji w dwóch oddzielnych korpusach. Margrabia di Saluzzo wiódł szwajcarskie i florenckie pułki mniej więcej tą samą drogą, przez Sienę i Chiusi, którą na kilka dni przedtem pognał był Bourbon z armją cesarską, sam zaś Francesco Maria ruszył przez Umbrję. Od pośpiechu zależało wszystko, bo po śmierci Bourbona i wobec rozluźnienia dyscypliny między żołdactwem, oddanem tylko rabunkom i grabieży, łatwo było w pierwszych dniach po wzięciu Rzymu przez wojska cesarskie znów im go odebrać, łatwiej jeszcze uwolnić papieża z Zamku, który zrazu tylko od strony rzeki i mostu był przez nieprzyjaciół strzeżony. Ale »miłujący spokój« książę Urbinu pośpiechu nie znał, a kunktatorstwem własnem zarażał i innych pułkowników Ligi. Jeden Francesco Guicciardini, będący legatem papieskim przy wojsku konfederatów, a wiernie zawsze Klemensowi VII

oddany, zaklinał, aby nie tracić chwili. »Nieszczęśliwy papież, — pisał on do kardynała z Cortony — zamknięty w Zamku nie liczy już na nic, prócz na nas jednych, a o pomoc błaga w słowach, że kamienie by się użaliły; Turek nawet zlitowałby się na widok takiego pogrążenia, bo warunki stawiają mu najtwardsze i ma naprzeciwko siebie wroga, który pozbawiony wiary, nie uznający żadnej powagi, krwi jego tylko pragnie, a oszczędzać go nie myśli«. Dalej przestrzegał, że nie chodzi tu już o osobę papieża, ale o samo papiestwo, a w razie niepomszczenia upadku Rzymu, o Florencję, przeciw której się ta nawałnica zwróci. Nie ustając w zabiegach, nie miał przecież złudzeń, bo Wenecjanom zarzucał »powolność i ciągłe wahanie«, Francuzom »nieporządek i brak dyscypliny, co ich robi niebezpieczniejszymi dla swoich niż dla wroga«, margrabiego di Saluzzo miał za nic, a »właściwości i charakteru księcia Urbinu« lękał się więcej, niż samych nieprzyjaciół.

I rzeczywiście nikt w wojskach Ligi nie byłby się domyślił wojsk zdążających z pilną odsieczą. Margrabia di Saluzzo dla zatargu o żywność przerywał marsz oblężeniem małej mieściny Citta della Pieve, którą szturmem wziął i złupić kazał, przyczem ośmset ludzi poległo, a kobiety do niewoli wzięto. Wprawdzie z Orvieto, gdzie armja Saluzza stanęła 11 maja, postanowili odważniejsi jego pułkownicy, Federigo Gonzaga da Bozzolo i Ugo Pepoli, z garstką jazdy francuskiej oraz konnych strzelców podkraść się nocą pod Zamek św. Anioła i uprowadzić papieża. Przypadek zwichnął przedsięwzięcie: wśród nocnej jazdy w lesie pod Baccano koń Gonzagi potknął się i zrzucił jeźdźca, który złamał nogę i rękę. Odniesiono go natychmiast do Viterbo, ale zwłoka, spowodowana wypadkiem, sprawiła, że kiedy Pepoli stanął nad Ponte Molle, poczynało już świtać. Nieprzyjaciele spostrzegli odrazu zasadzkę i Pepoli musiał się cofnąć. Książę Urbinu stanął tymczasem pod Perugią i wmieszał się w nieustające nigdy spory Baglionich. Rozwikłanie tych sporów zabrało mu całe ośm dni i dopiero 14 maja nadciągnął do Orvieto. Gubernator papieski odmówił armji żywności i spalił okoliczne młyny, ażeby w ten sposób przynaglić wojsko do szyb-

szego pochodu na odsiecz Rzymu. Mówiono powszechnie, że stało się to na tajny rozkaz Guicciardiniego. Toteż, gdy tenże w dwa dni potem stawił się w kwaterze księcia w Orvieto, Francesco Maria obrzucił go obelgami i wyrzutami. Śmiał go nawet posądzić o oszukaństwa w dostawach dla armji. Następnie, jak zwykle, jął roztrząsać wątpliwości, które mu nasuwał dalszy pochód na Rzym, zastanawiać się nad ewentualnem zwichnięciem przedsięwzięcia, gdyby się papież wprzód poddał, lub odsiecz Zamku okazać miała niemożliwą. Zastrzegł się wreszcie, że w miejscach, przez które wojsko poprowadzi, zmieni wprzód konstytucję i zabierze z nich zakładników, aby sobie w danym razie pewny zabezpieczyć odwrót. Guicciardini zrozumiał, że zwłoki te rozstrzygną o losach Rzymu. »Trudności odsieczy — pisał — są skutkiem naturalnym naszych wahań; nie potrzebuję dodawać z czyjej winy. Albo ten człowiek nie ma odwagi spotkać się z nieprzyjacielem, albo pogrążenie papieża sprawia mu wprost radość. Z nim doprawdy jedno i drugie jest możliwe«.

Istotnie, odsiecz tak łatwa w pierwszej połowie maja, stawała się teraz, wskutek straty czasu, trudną i niebezpieczną, bo pułkownicy cesarscy zdążyli okolić Zamek św. Anioła głęboką fosą i szańcem, które odcinały przystęp do twierdzy, chroniąc zarazem oblegających; wzdłuż Tybru strzeżono pilnie miasta, a samo zresztą zbliżanie się wojsk Ligi skupiło znów na chwilę i zelektryzowało Hiszpanów i lancknechtów, zazdrosnych o zdobycz i łupy. Co więcej, wojsko neapolitańskie, które dotąd jako związane traktatem z 15 marca bezczynnie stało w Kalabrji, ruszyło teraz pod wodzą Alarcona, Moncady i margrabiego del Vasto do Rzymu, aby wzmocnić załogę cesarską. Żelazny pierścień wokoło obleganej twierdzy zacieśniał się coraz bardziej, a papieżowi coraz większe, doraźniejsze groziło niebezpieczeństwo. Niecierpliwość zaciekłych lancknechtów rosła bowiem z dniem każdym. Bali się, że im konfederaci wykradną papieża, albo że go wojsko neapolitańskie jako jeńca Karola V uprowadzi do Neapolu. Zazdrość więc parła ich do przyspieszenia wypadków; chcieli żywcem dostać Klemensa VII w swoje ręce i rwali się do szturmu. Sami pułkownicy poczynali już wątpić,

czy zdołają utrzymać ich na wodzy, a w liście do Karola V, pisanym w ciągu tych dni, prosił Gattinara o wskazówki co do wyboru nowego papieża, na wypadek, gdyby przyszło istotnie do szturmu na Zamek i Klemens VII miał zginąć.

Papież tymczasem nie przestawał słać gońców do obozu Ligi. Z narażeniem życia przekradali się oni przez linje straży wojsk cesarskich. Przez nich błagał Klemens VII o szybkie decyzje, a w razie zaniechania odsieczy żądał przynajmniej jasnego powiadomienia o zamiarach Ligi, żeby według tego własnem postępowaniem kierować. O wytrzymaniu długiego oblężenia w skąpo zaprowiantowanej twierdzy mowy być nie mogło; potrzeba było żywić trzy tysiące ludzi, a miano tylko szczupłe zasoby mąki i wina, solonego mięsa i serów. Już z końcem maja zasoby te poczęły się wyczerpywać, zewnątrz zaś pilnowali Hiszpanie i lancknechci, żeby nowe prowianty nie dochodziły do twierdzy; staruszkę, która się z wiązką sałaty dla papieża pod mury podkradła, powieszono przed zamkiem; innego dnia zastrzelono dzieci, które do spuszczonego z wałów sznura przywiązywały pęk jarzyn. Głód doskwierał i bóle fizyczne przyłączały się do cierpień moralnych, spowodowanych ciągłemi zawodami. A tych doprawdy nie brakło. Każdy niemal dzień przynosił inne. I tak piątego dnia po zajęciu Rzymu przez wojska cesarskie ujrzał papież z terasy zamkowej jakieś nadciągające hufce. Może miał chwilę złudzenia, choć szeregi te nie szły od północy, skąd jedynie mogła przyjść odsiecz. Złudzenie rozwiała szybko łuna, bijąca ze stoków Monte Mario: to kardynał Pompeo wkraczał do miasta na czele zbrojnego chłopstwa z lennictw Colonnów i zwiastował Klemensowi VII swe przybycie, paląc jego ulubioną rezydencję letnią, willę Medici, potem Madama zwaną. Papież sam widział w tem odwet za spalone przez jego wojska włości Colonnów: Zagarolo, Marino, Montefortino.

Triumf dumnego Colonny był zupełny: on, wierny zawsze stronnik cesarski, wchodził teraz do Rzymu, gdzie rządziła swawola żołnierska, lecz z tytułu cesarskiej woli, a stary jego wróg, Medyceusz, starty w proch siedział w Zamku św. Anioła, dziś oblężony, jutro może więzień. Ale widok tylu i takich nieszczęść,

miasta w ruinie i nawpół zgorzałego, mieszkańców ściganych jak dzikie zwierzęta, sromotnego poniewierania wszystkiem, w czem Włosi wyrośli i żyli, skruszył nawet mściwe serce Pompea. Pałac jego, wspaniała Cancellaria, stał się odtąd głównem przytuliskiem nieszczęśliwych, bo choć najeźdźcy nie rozróżniali wśród rabunku pomiędzy stronnikiem a wrogiem cesarskim, na jednych Colonnów, jakby na współrzędną cesarskiej potęgę, nikt się targnąć nie śmiał. Trzej Colonnowie, Pompeo, Ascanio i Vespasiano, zajęli też odrazu miejsce w naczelnej radzie wojennej, do której prócz nich należeli książę Oranji, Bemelberg, syn Frundsberga, Kasper, Ferrante Gonzaga, Juan de Orbina, dawny powiernik i kanclerz Sforzów Morone, młodszy Gattinara, opat z Najery, hrabia Lodron i nowy gubernator Rzymu, rezydujący w pałacu kardynała Trivulzio na Campo di Fiore, La Motte des Noyers.

Inny znów zawód miał zgotować papieżowi wice-król neapolitański, Karol de Lannoy. Z nim, jako z najwyższym w dostojeństwie przedstawicielem Karola V we Włoszech, chciał bowiem Medyceusz prowadzić układy. Od traktatu zawartego w dniu 15 marca ufał mu zresztą najwięcej, może nawet zanadto. Bo wice-król, dbający w pierwszym rzędzie tylko o zabezpieczenie własnego stanowiska w Neapolu, z chwilą, kiedy Bourbon odmówił mu posłuszeństwa idąc na Rzym, umył sobie od wszystkiego ręce i biernie oczekiwał w Sienie dalszego rozwoju wypadków. Za pośrednictwem należącego do rady wojennej załogi cesarskiej w Rzymie opata z Najery, wysłał teraz papież do Sieny zaufanego dworzanina, który miał wezwać wice-króla do Rzymu. Od księcia Urbinu otrzymano list żelazny, poręczający wice-królowi bezpieczny przejazd pośród wojsk Ligi, stojących między Sieną a Rzymem. Z okazji tej postanowił Lannoy skorzystać, ale jedynie w tym celu, aby się bezpieczniej do Neapolu dostać. Bo z wyuzdaną armją Bourbona, którą wśród jej marszu na Rzym w okolicy Arezzo był poznał, nie chciał mieć nic do czynienia. Toteż stanąwszy z końcem maja w Rzymie, zatrzymał się tylko na Trastevere, aby zmienić konie, i unikając spotkania z pułkownikami cesarskimi, a nie próbując nawet dotrzeć do papieża, ruszył natychmiast ku Neapolowi. Wprawdzie nadciągający wła-

śnie z wojskami neapolitańskiemi Vasto, Moncada i Alarcon zniewolili go w pół drogi do zawrócenia z nimi do Rzymu; ale do roli czynnej nie dał się wice-król i nadal nakłonić, stroniąc od wszelkich wojskowych czy dyplomatycznych akcyj. Odpowiadało to własnej jego naturze, a więcej może jeszcze twardej polityce cesarza, któremu był wiernie oddany. Papieskiego wysłańca nie wpuszczono natomiast za powrotem ze Sieny do Zamku. Pisemnie tylko pozwolono mu o powrocie swym papieżowi donieść; pismo to Klemensowi VII dowiodło, że nadzieje, które w pośrednictwo wice-króla pokładał, były płonne.

Ale i po tym zawodzie układy pomiędzy wojskiem a Zamkiem toczyły się dalej. Ze strony wojska prowadził je głównie młodszy Gattinara. Szły przecież opornie, bo im więcej się żołnierz cesarski w Rzymie rozgaszczał, im się w nim czuł bezpieczniejszy, tem bardziej rósł w hardość i butę i coraz twardsze stawiał papieżowi warunki. Na ciągły wzrost żądań wpływały także wieści krążące wśród żołdactwa o nagromadzonych rzekomo w Zamku skarbach. Fantazja żołnierska snuła o nich czarodziejskie bajki, które zaostrzając chciwość, zwiększały pretensje. Sam papież zdawał sobie jasno sprawę, że przeciąganie układów tylko jemu szkodę przynosi. Póki jednak książę Urbinu szedł naprzód, zostawała jeszcze iskierka nadziei i z kapitulacją należało czekać. Każda zwłoka w ruchach wojsk Ligi, każdy przystanek ich marszu odbijał się też natychmiast w przyspieszeniu tempa układów oblegających z oblegany mi: razu jednego trzymał już papież pióro w ręku, aby podpisać kapitulację; w tej samej chwili nadszedł hrabia Alberto Pio z wieścią, że wojska Ligi tylko o czterdzieści mil od Rzymu stoją, że lada dzień pod miasto nadciągną. Pióro wypadło z rąk papieża i poprosił znów o kilka dni do namysłu.

I tak ciągle Liga i tylko jedna Liga była ostatnią, ale jak papież sam najlepiej wiedział, kruchą tylko deską ratunku i ciągle oczy zamkniętych w Zamku zwracały się w niecierpliwem oczekiwaniu ku drodze wiodącej z północy. Ale droga była pusta, patrząc zaś bliżej, widzieli oblężeni pogłębiający się pierścień fos i szańców, odcinających ich od miasta, a za nim puste

ulice Rzymu, gdzie wśród tlejących pogorzelisk wałęsało się pijane żołdactwo i przemykały czasem trwożliwe mary gnębionych mieszkańców. Wiadomości z zewnątrz poczęły się robić rzadsze, ale skrzepiających ducha nie czekano zresztą już znikąd, a zniechęcające straż przepuszczała umyślnie. I tak dowiedział się Klemens VII o upadku Modeny. Stary jego wróg, Alfons d'Este, łowiący zawsze w mętnych wodach, i tym razem z pogromu Stolicy Apostolskiej skorzystał, ażeby wyciągnąć chciwą dłoń po cudze mienie; Lodovico Rangone, nie próbując nawet obrony, wyprowadził załogę papieską z miasta i Modena poddała się Ferrarze. Do Rimini powrócił Sismondo Malatesta; Wenecjanie wreszcie, aczkolwiek sprzymierzeni z papieżem, wyzyskali także w samolubnej zawsze swej polityce chwilę zamętu, aby zająć należące do państwa papieskiego Rawennę i Cervię. Nakoniec najdotkliwsza dla medyceuszowskiej ambicji Klemensa VII wieść nadeszła do twierdzy: zawsze chwiejna Florencja skorzystała z przymusowej bezwładności głowy Medyceuszów, aby po raz trzeci w ciągu ostatnich lat trzydziestu zrzucić z siebie niechętnie znoszone jarzmo pseudo-republikańskich rządów tego rodu. Bratankowie papiescy, Hipolit i Aleksander uchodzić musieli z miasta, a Niccolo Capponi wybrany został gonfalonjerem wolnej znów rzeczypospolitej. Wieści te biły jak gromy w zamkniętego w twierdzy Klemensa VII: Rzym był w gruzach, Florencja w rebelji, państwo papieskie kruszyło się pod naporem chciwych sąsiadów; trzeba było działać, bronić, ratować; papież zaś siedział bezwładny za żelazną bramą Zamku, przed którą czyhało na niego dzikie żołdactwo, a książę Urbinu nie nadchodził.

Wreszcie 22 maja połączyły się wszystkie oddziały Ligi w Isola Farnese, w tem samem miejscu, gdzie przed kilku tygodniami odbywał Bourbon radę wojenną w wigilję napadu na Rzym. Francesco Maria zarządził przegląd wojsk. Piętnaście tysięcy ludzi stało już tylko pod jego znakami. Było to w dodatku wojsko zdemoralizowane zbyt długą bezczynnością, a teraz na domiar złego głodne, ciągnąc przez okolice, które przejście Bourbona zamieniło w pustynię. Dezercje były na porządku dzien-

nym, zbiegi szli zaś prosto pod znaki cesarskie. Wszystkiemu winne było kunktatorstwo księcia Urbinu, ale w tej chwili mógł on już nie bez słuszności twierdzić, że bitwa w wolnem polu z liczebnie o tyle silniejszym nieprzyjacielem za wielkiem była ryzykiem, a że na odsiecz silnie przez oblegających oszańcowanego i czujnie teraz strzeżonego Zamku było naprawdę za późno. Przyklasnęli temu zdaniu inni pułkownicy. Jeden Guicciardini próbował jeszcze złamać ich opór; nie przeoczał i on trudności położenia, lecz przedkładał, że lepiej zginąć z narażeniem się, ale z honorem, niż bez narażenia, a w hańbie, że jeżeli zresztą już Rzym miał być stracony, to należało ratować Florencję i resztę Italji. Ale w listach, słanych do Paryża i do Londynu, a zaklinających Franciszka I i Henryka VIII o pomoc, bez ogródki mówił już o zdradzie naczelnego wodza Ligi, o wyrafinowanej zemście Rovera na Medyceuszu. W tych ostatnich wytężeniach, aby nieść nieszczęśliwemu papieżowi pomoc, sekundował dzielnie Guicciardiniemu kardynał Egidio z Viterbo: naprędce robił nowe zaciągi, obiecywał doraźny sukurs. Wreszcie zjawił się w obozie nowy wysłannik papieski: Klemens VII zgadywał, że się Francesco Maria znów waha, że się na krok stanowczy zdobyć nie może; błagał więc, aby się wojsko zatrzymało przynajmniej w tem miejscu, do którego dotarło, żeby choć stamtąd czuwało nad nim. Prośby były daremne. Przelotnie tylko zrodził się na radzie wojennej nowy projekt zajęcia Monte Mario, i książę Urbinu sam podjechał na wzgórze, jakżeby dla podniecenia ostatniej nadziei i zgotowania ostatniego zawodu papieżowi, który na te ruchy wojsk ze szczytu Zamku spoglądał. Projekt upadł; Francesco Maria, zobaczywszy Rzym i obejrzawszy powierzchownie położenie, oświadczył stanowczo, że z siłami, któremi rozporządzał, zdobywać go nie będzie. Zdanie to poparła większość trwożliwych pułkowników i 2 czerwca wojska Ligi z pod samych prawie bram rzymskich zawróciły i odciągnęły zwolna ku Viterbo. Papież zdany był na łaskę i niełaskę wrogów.

Natychmiast posłał on Schomberga do przywódców cesarskiego wojska z doniesieniem, że gotów jest podpisać od tygodni przygotowaną, z dnia na dzień dotąd odkładaną kapitulację.

O dalszej obronie twierdzy mowy być nie mogło. Żywności starczyło już tylko na tydzień, a natomiast zaraza, grasująca w Rzymie, przedarła się przez grube mury Zamku i w samej twierdzy łowiła już ofiary. Zresztą po cofnięciu się wojsk Ligi wszelka nadzieja odsieczy znikła, więc zwłoka nie miała dalszej racji. Klemens VII czuł, że nadeszła chwila przełomu w jego własnem życiu, w losach Rzymu i w losach Italji, że wyrzec się musi wszystkich swych dotychczasowych zamiarów i nadziei, aby na ich gruzach żebrać teraz łaski zwycięzców. Wszystko się w nim załamało, nawet miłość własna Medyceusza: sam posłał po kardynała Colonnę, aby go prosić o pomoc i radę, odwołać się do jego wspaniałomyślności, polecić wpływom i wzięciu. Porównywał go do lancy Achillesa, która rani, ale i goi. Pompeo przybył na wezwanie. Oko w oko stanęli naprzeciw siebie nieubłagani dotąd wrogowie. Widok takiego nieszczęścia rozbroił przecież Colonnę. Wspólnie, jak opowiada Paolo Giovio, zapłakali nad niedolą i pohańbieniem Rzymu i nad własnemi winami, które je sprowadziły. Rozeszli się narazie przejednani. Gdy atoli wodzowie cesarscy nalegać poczęli na papieża, aby aż do rozstrzygających zleceń Karola V zarząd świecki Rzymu oddał Colonnom, a kardynała Pompeo ustanowił legatem dla spraw duchownych, Klemens VII odpowiedział z godnością, że zwycięzcy czynić mogą co im się podoba, że on jednak podobnego zarządzenia nie wyda i nie potwierdzi.

Sprawa okupu stawała się teraz palącą. Gattinara i Morone prowadzili układy w imieniu Hiszpanów, Schärtlin i inni pułkownicy niemieccy z ramienia lancknechtów. Klemens VII miał zapłacić wojsku 400.000 dukatów, a mianowicie 100.000 zaraz, 50.000 w przeciągu dni czternastu, resztę w terminie dwumiesięcznym. Prócz tego żądano oddania Zamku św. Anioła i twierdz w Ostji, Civita-Vecchia i Civita Castellana, oraz Parmy, Piacenzy i Modeny w zastaw. Kapitulację tę podpisał papież 6 czerwca. Aż do wypełnienia tych warunków miał wraz z kardynałami pozostać w twierdzy jako jeniec; następnie wywieźć go miano do Neapolu, ażeby tam czekał na dalsze rozkazy cesarza, a względnie zawarł z nim ostateczny układ. Dnia 7 czerwca wyszła

załoga papieska z twierdzy; z nią odchodzili Alberto Pio z Carpi, Renzo da Ceri, Guillaume du Bellay i poseł angielski Casale; poręczono im wolny odwrót, chociaż lancknechci odgrażali się, że ich nie puszczą, wietrząc znów zdradę i podejrzywając, że unoszą z sobą ukryte skarby. Na ich miejsce straż hiszpańska i niemiecka weszła do Zamku. Na czele pierwszej stał czujny Alarcon, wypróbowany już dozorca dostojnych więźniów; po bitwie pod Pawją strzegł on wziętego do niewoli króla Francji, teraz, w dwa lata później, oddano mu straż nad uwięzionym papieżem. Misję swą spełniał skrupulatnie, nawet twardo. Zato Niemcom dłużyło się w twierdzy i dowódca niemieckiej straży, Georg Prantten, już w kilka dni po kapitulacji opuścił Zamek, bo »wolał — jak mówi w swym pamiętniku Gumppenberg — siedzieć w mieście przy słodkiem greckiem winie« — *beim lieben vino graeco.*

Z kapitulacją nie zmieniła się postać rzeczy w Rzymie. Wprawdzie z najezdniczego wojska zdjął papież cenzury kościelne i w Zielone Święta w czterech na nowo poświęconych kościołach rzymskich odbyło się znów nabożeństwo, ale anarchja trwała dalej. Wolność papieża zależała od spłacenia okupu i oddania w zastaw wyznaczonych miast i fortec, jedno i drugie szło zaś opornie. Tylko Ostję zajęło wojsko cesarskie. Civita-Vecchia była natomiast w ręku Andrzeja Dorii, a ten, mając niezaspokojone u papieża wierzytelności, wydać jej nie chciał; Civita Castellana wpadła w ręce wojsk Ligi, Modenę zagrabił był świeżo książę Ferrary, Parma i Piacenza wreszcie broniły się na własną odpowiedzialność i nie chciały przyjąć rządu namiestników cesarskich. Takie same trudności spotykał papież w sprawie okupu. Miał odrazu jako pierwszą ratę złożyć 100.000 dukatów, a w Zamku było zaledwie 30.000 gotówki. O szukaniu kredytu w zrujnowanym Rzymie mowy być nie mogło, jeszcze mniej o ściąganiu podatków w państwie papieskiem, gdzie wszelka władza w ogólnej katastrofie zanikła. Zresztą papież był jeńcem prawdziwym i tak przez Alarcona strzeżonym zazdrośnie, że przystęp do Zamku był trudny, a dotarcie do dostojnego więźnia prawie niemożliwe. Bez wolności ruchów nie mógł zaś speł-

nić zobowiązań, z któremi zwlekać było tak niebezpiecznie wobec wzrastającej niecierpliwości lancknechtów, dla których pierwsza rata wedle umowy przeznaczoną była. Z przetopionych krzyżów, kielichów, złotych i srebrnych sprzętów ze skarbca zamkowego bito naprędce monetę. Nawet tiary papieskie musiano na ten cel poświęcić; Benvenuto Cellini opisuje, jak zamknięty z Klemensem VII w jednej z komnat zamkowych wyłamywał klejnoty z tiar: drogie kamienie zaszywano w podszewkę szaty papieskiej, złoto zaś i srebro szło na przetopienie do tygla.

W ten sposób zdołano zebrać 80.000 dukatów i zapłacono je zaraz lancknechtom. Wywołało to burzę pośród Hiszpanów. Krzywdę swą przypisywali oni bierności Karola de Lannoy i margrabiego del Vasto, podejrzywając ich przytem, że chcą potajemnie wywieźć papieża do Gaety lub Neapolu i tak uprowadzić wojsku najcenniejszego zakładnika. Przed groźbami rebelizantów Lannoy i Vasto umknęli w nocy do Citta Lavinia. Wtedy zwrócili się Hiszpanie przeciw Niemcom. Aby się bronić, zatoczyli lancknechci ze swej strony działa na Campo di Fiore i na ulicach miasta wszczęła się prawdziwa bitwa. Ledwo zdołano rozdzielić walczących, bo cofnięcie się wojsk Ligi i kapitulacja Zamku rozluźniły do szczętu luźne już i bez tego więzy dyscypliny wśród żołnierzy cesarskich. Nic im narazie nie groziło, czuli się wszechwładnymi panami położenia, a w tem poczuciu bezpieczeństwa zanikał ostatek karności. Stali się natomiast teraz postrachem własnej starszyzny. Za przykładem wice-króla i margrabiego del Vasto poszedł wnet Moncada, potem sam książę Oranji. Ranny na kilka dni przed kapitulacją papieża wystrzałem muszkietu z twierdzy, odjechał niebawem do Sieny, niby dla pilnowania tamże interesów cesarskich, w rzeczywistości, aby się pozbyć zbyt ciężkich obowiązków. Naczelnego wodza już nie było. Proszony znów przez pułkowników hiszpańskich Lannoy, ażeby na czele wojsk stanął, odmawiał upornie, przedkładając, że musi przedewszystkiem wracać w Neapolitańskie i szukać tam kredytu na okup papieża. Sam zalecał Moncadę na dowódcę. Moncada również się wzbraniał. Pozostawał jeszcze książę Ferrary, z tytułu generalny kapitan cesarski w całych Włoszech. Ale

chytremu Esteńczykowi ani się śniło mieszać do spraw rzymskich. Narazie rad z pogrążenia papieża, które mu poręczało spokojne posiadanie zagrabionej Modeny, baczył już tylko na kroki dyplomacji francuskiej i angielskiej, aby w razie szczęśliwej interwencji z tej strony, zaraz się na nią przerzucić.

Interwencja ta była zmorą pozostałych w Rzymie pułkowników cesarskich. Na wypadek ponownego wmieszania się Franciszka I i Henryka VIII w sprawy włoskie, należało uratować dla cesarza armję, zdobyty Rzym stawał się zaś dla tej armji grobem. Wyżywienie wojska w zrujnowanem mieście, wśród spustoszonej okolicy było coraz trudniejsze, a tymczasem zaraza dziesiątkowała żołnierzy. Wypadało co prędzej wywieść wojsko na łatwiejsze do zaprowiantowania kwatery, rozłączyć dybiących już ustawicznie na siebie Hiszpanów i Niemców, ułatwić Alarconowi straż nad papieżem, na którego się lada chwila zbuntowana tłuszcza targnąć mogła, a przedewszystkiem ujść z zapowietrzonego Rzymu. Ale żołnierze nie kwapili się z odejściem: bali się nazbyt oddalać od Zamku, w którym takiego więzili jeńca, podejrzywali wciąż, że chcą im go z rąk wydrzeć. Targi więc były twarde. Prędzej względnie zdołano przekonać Hiszpanów; w połowie czerwca wyruszyli z miasta; konnica zajęła Monte Rotondo i Mentanę, piechota poszła dalej ku Amelji i Terni. Cięższa sprawa była z lancknechtami: prócz chciwości, przykuwała ich w pobliżu papieża jakaś fanatyczna zawziętość przeciw samej jego osobie, jakaś nieokreślona bliżej nadzieja, że się im przecież żywcem dostanie w ręce. Wreszcie ulegli i oni namowom starszych, a może więcej groźbie szerzącej się coraz straszliwiej zarazy. W Zamku zostawiali pod strażą Alarcona oprócz papieża z kardynałami sześciu zakładników, danych im przy zawarciu układu na poręczenie okupu. Zakładnikami tymi byli: datarjusz Giberti, arcybiskupi Sipontu i Pizy, del Monte i Bartolini, biskup Pistoji Pucci, oraz dwaj spokrewnieni z Medyceuszami Florentczycy, stary Jacopo Salviati i Lorenzo Ridolfi. Wreszcie w połowie lipca wyruszyli Niemcy z miasta. Sądne dni majowe Rzymu miały się teraz w nieszczęsnych grodach umbryjskich powtórzyć. Nie zapobiegło temu sąsiedztwo wojsk Ligi,

stojących w okolicy Perugii, ale tak samo już zdemoralizowanych, oddanych tylko swawoli i rabunkom. Spoleto okupiło się lancknechtom dostawą żywności. Ale uboższe Narni padło ich ofiarą. Mieszkańcy bronili się dzielnie, dzielniej, aniżeli na kilkanaście tygodni przedtem Rzymianie. Wkońcu musieli ulec przemocy. Okrutną rzezią święcili lancknechci swój łatwy triumf, a prowadzący ich do szturmu Schärtlin zapisywał znów w krwawym swym pamiętniku, »że za łaską Bożą — *aus den Gnaden Gottes* — wzięto miasto wraz z twierdzą i tysiąc mieszkańców, mężczyzn i kobiet, zabito«. Wśród ciągłych swarów, piekielnych upałów, febry i morowego powietrza, które z Rzymu za obozem powiało, rozpoczęło się w nieładzie i bezczynności uciążliwe koczowanie wojsk cesarskich.

W Rzymie natomiast, wokoło Zamku św. Anioła w którym więziono Klemensa VII, zrobiła się cisza. Ale była to cisza grobu. Pod komnatami, zajmowanemi przez papieża i kardynałów, czuwali dniem i nocą żołnierze Alarcona. Miasto było nawpół wymarłe, a pozostali przy życiu mieszkańcy nieśmiało wychylali głowy na puste ulice, jakby nie dowierzając jeszcze, że ich oprawcy naprawdę odeszli. Każdy zliczał straty poniesione w rodzinie, w przyjaciołach, w majątku; kogo zaś oszczędziło żelazo, ten drżał teraz przed dżumą, która w upalnem lipcowem słońcu coraz więcej porywała ofiar. Śmierć rozgościła się na dobre i w Zamku, kosząc wśród więziennego otoczenia papieża. Pierwszy padł Francesco Armellini, znienawidzony przez Rzymian podskarbi papieski, wkrótce po nim młody i świetny kardynał, Herkules Rangone. Śmierć samego papieża mogła lada chwila zniweczyć nadzieje żołnierstwa, pokrzyżować rachuby wodzów i polityczne kombinacje cesarza. Odpowiedzialność ta ciężyła Alarconowi, który ze starszyzną hiszpańską jął znów roztrząsać plan wywiezienia jeńca do Gaety. Ale papież się wzbraniał. Aczkolwiek wyzuty z wszelkiej władzy, tak duchownej jak świeckiej, i zupełnie zależny od woli, nawet kaprysów zwycięzców, czuł on się przecież silniejszym na własnym gruncie i słuszny instynkt nakazywał mu się strzec losu, jaki Karol V na dwa lata przedtem wywiezionemu do Hiszpanji Franciszkowi I zgotował. Drżał na

myśl, że go dozorcy przemocą wywieźć zechcą i w wielkiej swej niedoli, wśród pustego Rzymu a przerzedzanych śmiercią towarzyszów, wyczekiwał cierpliwie postanowień cesarskich.

Los papieża, a co więcej losy papiestwa trzymał istotnie Karol V w ręku. Dwudziestosiedmioletni cesarz był pomimo młodego wieku wytrawnym już i doświadczonym politykiem. Dowiódł był tego przy ubieganiu się o koronę cesarską, potem przy poskromieniu rebelji kastylskich Communerosów, wreszcie w walce z Franciszkiem I i w układach z wziętym do niewoli królem. Innego powodzenia tej miary w przeciągu lat niespełna dziesięciu byłyby mogły upoić. Ale Karol V był z natury zimny. Party wielką ambicją osobistą, układał dalekonośne plany i dla zamierzonego dzieła pilnie torował drogi; potem skupiał się i z niezłomną cierpliwością czekał na jego spełnienie, a dopięcie celu ani na chwilę nie wytrącało go z równowagi. Ten wielki dar panowania nad sobą wyzyskiwał i w ten sposób, że lubił, a co więcej umiał przedstawiać światu jako przypadkowy zbieg okoliczności to, co było naprawdę długo przygotowanym skutkiem jego własnych zabiegów. Otaczał go stąd jakiś tajemniczy urok, bo ludzie przypisywali niezawodnemu szczęściu siłę, która była tylko wynikiem niezawodzącego wyrachowania. Tak samo ukształtował stosunek swój do papieża i tu znów rolę swą odgrywał po mistrzowsku, choć w tym wypadku rola była trudniejsza, bo zatarg z Rzymem wywołać musiał konflikt w jego własnej duszy. Z wychowania religijny, nawet do mistycyzmu skłonny, wzdrygał się na myśl walki z Głową Kościoła. Dwa inne pierwiastki łagodziły w nim przecież te skrupuły, bo w dwojakim swym charakterze panującego, jako Niemiec czuł się spadkobiercą dawnych tradycyj cesarskich swych poprzedników, a więc i wznawianych przez nich tylokrotnie z tytułu Świętego Imperjum roszczeń do praw i przywilejów władzy duchownej, jako Hiszpan zaś dzielił właściwą Hiszpanom ówczesnym wiarę w wyższość ich Kościoła nad inne, odkąd rdzenna reforma kościelna, przeprowadzona przez wielkiego Ximenesa, wszystkie kraje, a i sam Rzym, na tem polu ubiegła.

Dla utwierdzenia swej potęgi we Włoszech, dla dopięcia

CESARZ KAROL V.

Portret Krzysztofa Ambergera z r. 1532, w Muzeum w Berlinie.

tego jasno wytkniętego celu, dla którego lata swej młodości poświęcał, musiał przedewszystkiem nagiąć do swej woli wolę Klemensa VII. Skoro trafił na opór, zdziwiony zrazu, następnie obrażony niebacznem często a zawsze chwiejnem postępowaniem przeciwnika, postanowił opór ten przełamać siłą, choćby mu przyszło sięgnąć po owoc swych zabiegów na gruzach Rzymu i po trupie papieża. Tylko wobec reformacyjnych prądów w Niemczech, które zatamować pragnął, a prawowierności hiszpańskich swych poddanych, z którą się liczyć musiał, umyślił znów ukryć się jak niewidzialne fatum poza gęstą osłonę i wynikom kierowanych ze samowiedzą działań nadać bezimienną cechę przypadku. Narzędziem takiego przypadku był mu w r. 1526 Pompeo Colonna, w roku następnym Bourbon. Cytowany już w ciągu tej pracy list cesarza do Moncady, w którym poleca mu w przeddzień najazdu Colonnów wpłynąć na dumnego Pompea, aby wedle danych przyrzeczeń, ale »jakoby na własną rękę« — *como de si mismo* — wywiązał się z nich, czyli, innemi słowy, targnął na Rzym i papieża, rzuca wobec zwykłej ostrożności cesarza w słowie i piśmie wyjątkowo jasne światło na jego zamiary i sposób postępowania. Jeżeli zaś lancknechci, zdążający w jesieni tegoż samego roku pod znaki cesarskie, odgrażali się już przy zaciągu na Rzym i papieża, to i ten, na którego rozkaz stawali do szeregu, wiedział zgóry, na kogo tę sforę puści. W zaślepieniu swem, choć w szlachetnym zamiarze ratowania niepodległości włoskiej, naraził się Klemens VII cesarzowi ciężko, zawiódł go niejednokrotnie i obraził dotkliwie. Ale odwet przewyższał winę i z odpowiedzialności za taki odwet, mimo usiłowań tylu historyków, nikt cesarza zwolnić nie zdoła. Szczęściem jego było, że Klemens VII wyszedł przynajmniej żyw z tego zamętu i że krew papieska nie obryzgała stopni cesarskiego tronu. Co skłoniło w trzydzieści lat potem stojącego w sile wieku a u szczytu potęgi Karola V do złożenia korony i cofnięcia się w zacisze klasztorne, to pozostanie tajemnicą jego duszy. Ale mimowoli nasuwa się pytanie, czy obok przesytu władzy nie gnała go tam także chęć, potrzeba ekspiacji za zbrodnię, którą był straszny pogrom papieża i Rzymu.

Dowiedziawszy się, że Bourbon nie uznał traktatu z 15 marca, zawartego pomiędzy Klemensem VII a Karolem de Lannoy, że przeszedł Appeniny i pędził dalej na południe, przewidział cesarz dalszy rozwój wypadków. Nie wymawiał przecież konetablowi nieposłuszeństwa. »Nie wiem — pisał do niego jeszcze z początkiem czerwca, zanim wiadomość o śmierci Bourbona do Hiszpanji doszła — coś uczynił z papieżem po wkroczeniu do Rzymu. Co do mnie, pragnąłbym nadewszystko zawarcia korzystnego pokoju i ufam, że się oszukać nie pozwolisz«. W Valladolid, dokąd zwołał był Kortezów, doszła go dopiero w połowie czerwca spóźniona wieść o szturmie na Rzym, zdobyciu i krwawem splądrowaniu miasta, oraz o zamknięciu papieża w Zamku św. Anioła. Czy rezultat przeszedł oczekiwanie, odgadnąć trudno. Z jednej strony był to triumf niezmierny, bo pokonanie papieża poręczało Hiszpanji na przyszłość upragnioną supremację we Włoszech. Na razie triumf ten stwarzał przecież i niemałe trudności. Wzięcie Rzymu i uwięzienie Namiestnika Chrystusowego przez wojska Katolickiego Króla i głowę Świętego Imperjum było czemś tak potwornem, że mogło obudzić sumienie Europy i zszeregować świat chrześcijański na obronę zwyciężonej ofiary. Karol V chciał więc przedewszystkiem ratować pozory i zrzucić z siebie odpowiedzialność. Toteż natychmiast zawiesił uroczystości, któremi święcono szczęśliwy połóg cesarzowej i narodziny pierworodnego syna, późniejszego Filipa II, naznaczył powszechną żałobę, nawet komnaty własne kirem podobno wybić kazał, wreszcie zalecił modlitwy publiczne w kościołach o rychłe uwolnienie papieża! W listach do Henryka VIII i innych książąt chrześcijańskich obszerniej się tłumaczył: przypominał, jako na sejmie w Wormacji uratował był powagę Stolicy Apostolskiej, narażając się na niechęć własnych niemieckich poddanych; jak natomiast Klemens VII, dając posłuch złym doradcom, wzniecił nową przeciw niemu wojnę, tworząc tak zwaną Świętą Ligę, która miała Hiszpanów z Włoch wypędzić; na słuszną i konieczną obronę musiał więc nową armję do Włoch posłać, a ta z obawy, że znów oszukaną będzie, pociągnęła wprost na Rzym; nad tem, co potem zaszło, bolał sam najsrożej, i wo-

lałby był nie zwyciężać, aniżeli takie odnieść zwycięstwo, które światu zgorszenie, Stolicy Apostolskiej klęskę, jemu samemu smutek przyniosło. »Ale — dodawał w znamiennym zwrocie — naprawdę nie wierzymy, żeby zło wyrządzone było tak wielkie, jak je nasi wrogowie przedstawiają; wierzymy zaś, że to, co się stało, stało się raczej przez słuszne wyroki niebios, nie za wolą ludzką, i że Bóg, któremu zaufaliśmy, chciał nas pomścić za doznane krzywdy, i to bez jakiegokolwiek przyczynienia się z naszej strony«.

Na dworze hiszpańskim pojawiły się równocześnie ulotne pisma, tłómaczące, że pogrom Rzymu był dotykalną karą Bożą za grzechy papieża i upadek Kościoła: kiedy papież i duchowni nie chcieli słuchać przestróg Erazma, kiedy nawet wobec powstania Lutra oprzytomnieć nie zdołali, wtedy Bóg plagą, spuszczoną na Rzym, sam do naprawy Kościoła zawołał. Pisma te ostre i namiętne w krytyce Rzymu i papiestwa, kończyły się apoteozą młodocianego cesarza, witały w nim wybrańca Pańskiego, przeznaczonego na narzędzie reformy kościelnej, były niejako nieoficjalnym komentarzem oficjalnych jego kroków. Dodawało im zaś wagi, że wychodziły wprawdzie nie wprost z kancelarji, ale przecież z oficyn dworskich. Autorami ich byli bowiem Alonzo i Juan Valdes, z których pierwszy był sekretarzem stanu przy boku starszego Gattinary, a drugi stał się później głośnym, szerząc w południowych Włoszech już nie zasady reformy, ale wprost Reformacji. Z Valdesami walczył, zbijając ich wywody, szlachetny Castiglione, któremu na te lata przypadła najtrudniejsza misja nuncjusza papieskiego przy cesarzu, a który zgryzoty ciężkiej odpowiedzialności i smutek z powodu nieszczęść Rzymu zdrowiem przypłacił. Narazie uspokajał go cesarz słodkiemi słowy, zapewniał o zupełnej swej uległości wobec papieża, obiecywał rychłą jego wolność. Ale z wymówieniem rozstrzygającego słowa, od którego to uwolnienie zawisło, nie kwapił się bynajmniej. Zimny i ostrożny, chciał zapobiec niebezpiecznym stronom swego triumfu, lecz wyzyskać korzystne. Chwila była doniosła, bo jeżeli Karol V marzył kiedy o światowem imperjum ze stolicą w Rzymie, to teraz, po wzięciu tego Rzymu, usłuchać mógł wiekowych

nawoływań Gibellinów i wedle słynnej inwokacji dantejskiej do cesarza Alberta wskoczyć »w łęk siodła pusty«.

Że myśl ta nurtowała w bliskich cesarzowi kołach, tego dowodzi najlepiej charakterystyczny list młodszego Gattinary, pisany do cesarza w dniu 8 czerwca z Rzymu. Wezwawszy najpierw Karola V do spiesznego przybycia do Włoch, z zapewnieniem, że bez jego obecności nie zdoła nikt rozplątać zawikłanego kłębka, prosił Gattinara o rozkazy: »Oczekujemy, Najjaśniejszy Panie, twych wskazówek, jak chcesz, aby Rzym był na przyszłość rządzony i czy ma coś nakształt Stolicy Apostolskiej i nadal w Rzymie pozostać, czyli też nie. Nie mogę zataić zdania niektórych sług Waszej Cesarskiej Mości, którzy sądzą, że nie należałoby tej Stolicy znosić tu ze wszystkiem. Bo przeniesiona gdzieindziej, musiałaby zginąć, gdyż w takim razie król francuski ustanowi patrjarchę we własnem królestwie i odmówi obedjencji, a tak samo postąpi sobie król angielski i inni. Zdawało się więc rzeczonym sługom Waszej Cesarskiej Mości, że trzeba tę Stolicę tylko tak poniżyć, abyś nią zawsze Najjaśniejszy Panie mógł rozporządzać, zawsze w niej rozkazywać dowoli«.

Te ostatnie słowa — *che si deve tenere la detta Sede si bassa, che sempre Vostra Maestà ne possa disporre e commandare* — miały się stać na cały wiek programem polityki hiszpańskiej. Dlatego też nie spieszył się Karol V z decyzją; wolał, aby jeniec z Zamku św. Anioła, jak niegdyś, po bitwie pod Pawją, jeniec z Alkazaru madryckiego, skruszał wprzód w dłuższej niewoli. Zbyt długo jednakże zwlekać nie było można. Między duchowieństwem hiszpańskiem rosło niezadowolenie; śmiały Fonseca, arcybiskup z Toledo, gromko upominał cesarza; wstawiali się za papieżem książę Alby i inne prawowierne grandy hiszpańskie. Pojawił się wreszcie u dworu przybyły z Włoch z listami papieskiemi jenerał Franciszkanów, Quinones, który już nie po raz pierwszy pośredniczył między Madrytem i Valladolid a Rzymem. Ostro przypomniał cesarzowi obowiązki względem papieża, »jeżeli nie chce zamienić tytułu cesarskiego na inny, namiestnika Lutra«. Cesarz wysłał był już wprawdzie podkomorzego swego, Don Pedra de Veyre, do Neapolu i Rzymu. Ale ten, przybywszy

do Barcelony, czekał tygodniami na spóźniającą się instrukcję z Valladolid, którą miał z sobą zabrać. Tymczasem w listach słanych do Rzymu uspokajał Karol V papieża zapewnieniem, że władzy jego nie uszczupli, ale wzywał go wciąż do zwołania soboru. Zakrawało to na szyderstwo, bo jakżeż o soborze mowa być mogła, póki papież nie był wolny? Wszelako państwa należące do Ligi obawiały się ciągle, że cesarz postawi na swojem i zwołanie siłą poprze, a korzystając z pogrążenia Stolicy Apostolskiej, soborowi, w tych zwołanemu warunkach, dowolnie podyktuje prawa. Dlatego Francja i Anglja zastrzegły się zgóry, że nie uznają żadnego soboru, »dopóki papież będzie niewolnikiem bezbożnych swych wrogów«.

Z tamtej strony, od Francji i Anglji, podnoszące się chmury na widnokręgu zniewoliły nareszcie Karola V do przyspieszenia wypadków. Zdobycie Rzymu i uwięzienie papieża przejęło grozą cały świat ówczesny. Tylko w zawistnych Niemczech z grona humanistów, przesiąkłych nową nauką Lutra, podniósł się okrzyk triumfu. »Smok już spętany, dumny Babilon upadł« wołał Eoban Hessus, błogosławiąc czas, w którym się narodził, by na to jego oko patrzało, a wtórowały mu radosnym chórem wittenberskie scholary. Oczy wiernej Rzymowi społeczności zwracały się natomiast ku Franciszkowi I w niemem oczekiwaniu, czy Król Chrześcijański pomści na Katolickim Królu wyrządzoną Namiestnikowi Chrystusowemu krzywdę:

O noble roy de France,
Regarde en pitié
L'église en ballance
Las elle en a mestié.
Metz la hors de souffrance:
Pour Dieu! ne tarde plus!
C'est ta mère, ta substance
O fils, ne faictz reffus —

śpiewał nieznany poeta, zapóźniony jakiś trubadur w obozie margrabiego di Saluzzo, dając wyraz nadziejom pokładanym w Franciszku I przez tych, którzy chcieli ratować Rzym i papiestwo. Franciszek I cieszył się zaś, że może szukać odwetu za

Pawję, zmierzyć się znów z znienawidzonym wrogiem i odnowić ze swej strony niewygasłe nigdy roszczenia do Lombardji. Wespół z nim stawał w obronie papieża Henryk VIII. Jak tamten interes osobistego odwetu, tak ten chciał przemycić pod wzniosłem hasłem rzymskiej krucjaty sprawę swej własnej namiętności. Rozmiłowany w pięknej Annie Boleyn, powziął był właśnie myśl porzucenia pierwszej małżonki, Katarzyny Arragońskiej, rodzonej ciotki cesarza, i w tym celu chciał naprzód osłabić i unieruchomić Karola V, a równocześnie zasłużyć się Klemensowi VII, od którego zależał rozwód. Dziwnem zrządzeniem losu ta sama sprawa, która wkrótce potem odszczepieństwem Anglji najboleśniejszą Kościołowi zadała ranę, miała się narazie przyczynić rozstrzygająco do ratowania pogrążonego papiestwa.

Bo głównie na nalegania Henryka VIII i ambitnego jego ministra, kardynała Wolsey, opuścił Lautrec już z początkiem lipca dwór paryski, aby objąć znów dowództwo nad południową armją i wkroczyć do Włoch. Z tą chwilą zmieniło się położenie sprawy hiszpańskiej we Włoszech. Wierny Antonio de Leyva, pozostawiony przez Bourbona na czele resztek załogi cesarskiej w Lombardji, czuł, że nie zdoła oprzeć się przemocy. W relacjach, słanych do cesarza, malował w groźnych barwach swe zadanie, opisywał, jak ten do niedawna za Viscontich i Sforzów najżyźniejszy kraj świata zubożał w ciągu nieustannych wojen do tego stopnia, że już dla samego grodu medjolańskiego nie starczyło żywności; narzekał na żołnierzy, którzy źle żywieni, a niepłaceni oddawna, wyzbyli się wszelkiej karności i niezdolni już do wojny, w pokoju byli plagą; nawoływał wreszcie o decyzję, której odwlekać się już nie dało. Wszystko to nagliło Karola V do zakończenia zatargu z papieżem, aby w ten sposób zgalwanizować znów potrzebną mu gdzieindziej, a unieruchomioną pod Zamkiem św. Anioła armję. W tym celu ruszył wreszcie 18 sierpnia goniec z Valladolid do Barcelony z oczekiwaną tam tak długo przez Don Pedra de Veyre instrukcją. Instrukcja ta brzmiała, że wice-król neapolitański miał papieżowi zwrócić wolność, upewniwszy się jednak poprzednio, że cesarz z tej strony nigdy już oszukanym nie będzie, a gdyby

go papież przecież chciał zwieść ponownie, że z braku sił już tego uczynić nie zdoła. Bliższe warunki, podane tylko w zarysie, miał sam Lannoy uzupełnić i określić.

Dopiero 19 września wylądował Veyre w Neapolu i nazajutrz podążył do wice-króla. Ale Lannoy nie mógł się już żadnej podejmować misji. Złamany odpowiedzialnością, przechodzącą jego siły, sterany burzami tego piekielnego roku dogorywał właśnie w Aversie, kiedy wysłannik cesarski przed nim stanął. Skonał nie w porę, bo pełnomocnictwo do układów z papieżem tylko na jego brzmiało imię i śmierć powodowała nową zwłokę. Niemniej udał się Veyre do Rzymu, gdzie się znów groźnie zaostrzały stosunki. Okup papieża był bowiem dotąd nie spłacony i pod koniec września lancknechci powrócili do Rzymu. Z dwunastu tysięcy ludzi, którzy przed rokiem przekraczali z Frundsbergiem Alpy, zostawało się nie wiele więcej nad połowę. Resztę wykosiła wojna i zaraza. Za Niemcami przyciągnęła piechota hiszpańska, również zdziesiątkowana, podobniejsza raczej do niedobitków armji, niż do zwycięskiej załogi. Tylko żołnierz ten zdziczał był jeszcze bardziej w długiej bezczynności, a niezdolny już do walki, zdolny był jeszcze do niszczenia i rabunku. Zaledwie odetchnęli Rzymianie w czasie kilkotygodniowej ciszy, aż się znów na nich rzuciła czerń rozbójnicza. Powtórzyły się »szatańskie« majowego napadu, teraz tem straszniejsze, że w obrabowanem już doszczętu mieście nie było czem zaspokoić chciwości napastników. Alarcon drżał znów o swego jeńca, na którego dybali lancknechci. W starym wojowniku burzyło się zresztą sumienie: zaklinał Moncadę, który po śmierci Karola de Lannoy objął w Neapolitańskiem rządy, aby przyspieszyć uwolnienie papieża. »Z trzymania w niewoli tego — pisał, — który zastępuje Boga na ziemi, spływa tylko niesława na cesarza; kamienie chrześcijaństwa przeciw niemu się podnoszą, a świat na morzu i na lądzie łączy«.

Klemensa VII ciężkie natomiast jeszcze czekały chwile. Grożąc, że inaczej podpalą miasto, zażądali lancknechci wydania wyznaczonych przy kapitulacji przez papieża zakładników.

Dwunastu lancknechtów stawiło się w Zamku, aby ich zabrać pod własną straż. Sprzeciwiać się nie było można. Najmniejszy opór mógł wywołać atak na twierdzę. Klemens VII musiał się zgodzić, ale w chwili rozstania wybiegł za uprowadzanymi, wołając z płaczem, że wraz z nimi samego siebie na zakładnika oddaje. Lancknechci odrzekli, że nie mając rozkazu, brać go z sobą nie mogą, »a dokoła — jak donosił do Madrytu sekretarz cesarski Juan Perez — powstał taki krzyk i lament, że zdawało się, iż się świat zapada«. Z zakładnikami rozpoczął się teraz nowy i ostatni akt tragedji. Co kilkanaście, czasem co kilka dni, wyprowadzali ich lancknechci przed swoje kwatery na Campo di Fiore. Tam stawiano ich na rusztowaniu pod gotową szubienicą i pod groźbą natychmiastowego stracenia, wśród natrząsań, obelg i razów, zaczynały się kilkogodzinne targi o okup. Obietnicami coraz bliższych terminów spłaty wypraszały sobie nieszczęśliwe ofiary zwłokę. Skutych parami w kajdany, Gibertiego z del Montem, Bartoliniego z Puccim, Salviatiego z Ridolfim pędzono wtedy napowrót do więzień Cancellarii, gdzie stali pod strażą. Po kilku dniach powtarzały się te same sceny, z tą różnicą tylko, że w miarę dłuższej niewypłacalności wzrastał gniew oprawców i zwiększało się poniewieranie męczennikami. Widząc wreszcie, że torturą nie osiągną celu, postanowili ich lancknechci stracić, jeżeli im do dwudziestu czterech godzin nie złożą żądanych pieniędzy. Szczęściem, czuwał nad nimi kardynał Colonna. Ażeby nie budzić podejrzeń żołnierstwa, sam opuścił Cancellarię i przeniósł się do kwatery margrabiego del Vasto. Tymczasem żołdaków, pełniących straż przy zakładnikach, sutą kazał uraczyć wieczerzą. Do późnej nocy trwała pijatyka, a kiedy zmorzeni trunkiem lancknechci legli twardym snem pod stoły, zakładnicy przez komin celi więziennej wydostali się na wyższe piętro, stamtąd do kwatery Hiszpanów i na przygotowanych koniach za miasto. Nazajutrz przebudzona straż ujrzała z przerażeniem puste więzienie i porzucone na posłaniach kajdany, które, jak powiada Gumppenberg, były zakładnikom z początku za ciasne,

lecz z których wyzuli się łatwo, wychudłszy podczas długie męki na śmierć.

Ale w wojsku zapanowała zupełna anarchja. Podejrzywani przez żołnierzy o zmowę z zakładnikami pułkownicy niemieccy zemknęli do Rocca di Papa, a lancknechci, pozbawieni starszyzny, szaleli coraz srożej i coraz głośniej grozili spaleniem Rzymu. Z północy nadchodziły złowrogie dla sprawy cesarskiej wieści: Genua poddała się Andrzejowi Doria, Lautrec zaś, z wyjątkiem Medjolanu, zajął już całą prawie Lombardję, oddał ją Sforzy, i przekroczywszy Pad, ciągnął teraz na południe. Zdawało się istotnie, że się przepowiednia Alarcona sprawdza i że »kamienie chrześcijaństwa podnoszą się przeciw cesarzowi«. Należało spiesznie ratować mu armję, a uwolnieniem papieża odjąć Francuzom rację uderzenia na nią i na Rzym. Toteż między Rzymem i Neapolem, między kwaterą wodzów hiszpańskich a rezydencją nowego wice-króla, Moncady, biegali bez przerwy gońce w sprawie ostatecznego układu z papieżem, którego dalsze trzymanie w niewoli najcięższym teraz dla zwycięzców stawało się kłopotem. Na okup brakło pieniędzy, bez nowych rękojmi dla zbuntowanego wojska nie można było jeńca wypuścić, a on sam zresztą, wobec zwycięskiego pochodu Francuzów w północnych Włoszech, twardsze poczynał stawiać warunki.

Pierwotna instrukcja, którą przywiózł z Valladolid Don Pedro de Veyre, miała właściwie poręczać Klemensowi VII tylko władzę duchowną. Teraz, wedle późniejszych zleceń nadesłanych z Hiszpanji, postanowiono zwrócić mu i władzę świecką. W dniu 31 października stanął nareszcie układ: papież zobowiązywał się zwołać sobór dla przeprowadzenia reformy Kościoła i zwalczania herezyj, oraz ogłosić krucjatę; z cesarzem zawierał wieczysty pokój, poręczony oddaniem mu Ostji, Civita Castellana i Civita-Vecchia w zastaw; prócz tego wolno było Karolowi V ściągać *cruzadę* w Hiszpanji, a w Neapolitańskiem sprzedać dziesięciny kościelne, oszacowane na 500.000 dukatów, których połowa miała być oddana papieżowi na okup dla wojska. Całkowitą, należną jeszcze wojsku sumę w kwocie 368.000

dukatów, sumę, która wzrosła nad umówioną przy kapitulacji zaległym od tego czasu żołdem, zobowiązywał się papież spłacić w przeciągu trzech miesięcy; kardynałowie Trivulzio, Pisani i Gaddi mieli się udać natychmiast jako zakładnicy, przeznaczeni dla cesarza, do Castel Nuovo w Neapolu, a dwaj inni, Orsini i Cesi, jako osobni poręczyciele zobowiązań papieskich względem wojska, pod straż kardynała Colonny do zamku jego w Subiaco. Układ ten podpisali dnia 26 listopada z jednej strony papież i kardynałowie, z drugiej, w imieniu cesarza Pedro de Veyre i Quinones, w imieniu wojska Gonzaga, Alarcon, Orbina i margrabia del Vasto.

Dnia 6 grudnia wyszedł Alarcon z Zamku św. Anioła, który papieżowi oddano. Klemens VII był wolny. Straż przy nim, lecz już nie jako dozorca, tylko jako podwładny, objął Don Felipe Cerbellon z pułkiem hiszpańskim. Na ulicach zaroiło się od księży, którzy szli do bazyliki św. Piotra na dziękczynne *Te Deum* za odzyskanie wolności papieża. Po raz pierwszy po tak długiej przerwie śmieli się znów publicznie ukazywać w kapłańskich szatach. Ale w mieście stali jeszcze chmurni i podejrzliwi, za lada podmuchem znów do gwałtów gotowi lancknechci, czekając niecierpliwie, a bez wiary w zawarte układy, na należący się im okup. Niedowierzał im papież i hiszpańscy przywódcy, niedowierzali właśni pułkownicy. Prócz tego drżał Klemens VII na myśl, że go w ostatniej chwili chytry Moncada do Neapolu wywieźć każe, albo zostawi w Rzymie bezbronnego na łasce Pompea Colonny. Toteż w sam dzień uwolnienia postanowił uciec z Rzymu. Większość pułkowników cesarskich wtajemniczona była w ten projekt; opuszczenie Rzymu przez papieża było i po ich myśli, bo mieli nadzieję, że żołnierze łatwiej się dadzą wyprowadzić z miasta, skoro już w Zamku nie będzie tego, w którym nawet po zawarciu pokoju upatrywali tylko zakładnika. W nocy z 6 na 7 grudnia, po siedmiomiesięcznem zamknięciu, opuścił Klemens VII w świeckiem przebraniu twierdzę. Opodal, na Łąkach Nerońskich, oczekiwał go Rodomonte Gonzaga z garstką jeźdźców. Papież dosiadł konia i cwałem popędził ku Orvieto.

Jest to znowu jeden z tych obrazów pełnych dramatycznej siły, w które ta epoka obfituje: w cieniach nocy po smutnej, opustoszałej Kampanji mknący na spienionym koniu jeździec, a tym jeźdźcem to uchodzący z Wiecznego miasta przed wojskami Katolickiego Króla *Pontifex Maximus.*

XIII.

Odrodzenie duszy.

Nocny jeździec, uciekający do Orvieto, unosił z sobą nietylko wolność osobistą, ale i coś więcej: unosił, i to bezpowrotnie, duszę średniowiecznego Rzymu. »Jeżeli widok naszego pogrążenia przebłaga gniew Pański, jeżeli te straszliwe kary otworzą nam znów drogę do lepszych praw i obyczajów, to nieszczęście nasze nie jest niepowetowane. Niechaj Bóg czuwa nad tem, co Boskie, my natomiast mamy przed sobą życie poprawy, którego nam żadna siła oręża wydrzeć już nie zdoła. Zestrzelmy myśli i czyny w ten jeden cel, ażeby prawdziwej świetności kapłaństwa, prawdziwej wzniosłości i mocy w Bogu tylko szukać«. Tak pisał do papieża w tych dniach skupienia po klęsce ten sam Sadoleto, który niegdyś na wspaniałym dworze Juljusza II szumną odą witał zmartwychwstałego z pod gruzów *Laokoona*. Teraz zdawało się, że za odchyleniem świętokradzką ręką wieka trumien apostolskich, wionęła z nich jakaś nowa, inne pierwiastki odmładzająca siła. Odrodzenie ducha było skończone: nadeszła kolej na odrodzenie duszy.

Potrwać miało jeszcze długo, zanim załoga cesarska opuściła Rzym, dłużej, zanim papież do swej stolicy powrócił. Żołnierze czekali na obiecany im okup, który się, jak to było do przewidzenia, znowu spóźniał. Rzymianie zaś w udręczeniach i niepokoju wyglądali jak zbawienia przybycia armji francuskiej Lautreca, tak jak przedtem Klemens VII wyglądał nadejścia wojsk Ligi. W pustych, posępnych salach nawpół zrujnowanego pałacu bisku-

piego w Orvieto przyjmował on teraz przybywające zewsząd poselstwa. Jako jeden z pierwszych stawił się wysłannik cesarski, niosący mu powinszowania swego pana z powodu odzyskanej wolności. Karol V do końca nie wypadał z roli: uwięzienie papieża przypadkowi, sobie zaś przypisywał zasługę jego uwolnienia. Następnie przybył do Orvieto książę Urbinu z naleganiem, aby papież znów otwarcie do Ligi przystąpił. Zakrawało to prawie na szyderstwo, kiedy Klemens VII ściągnął był na siebie wszelkie nieszczęścia właśnie przez należenie do tej Ligi, która go w stanowczej chwili wskutek małoduszności czy złej woli stającego teraz przed nim Francesca Marii opuściła. Prawda, że położenie było chwilowo zmienione i że zwycięski pochód Lautreca w Lombardji mógł do dalszego oporu przeciw twardej woli cesarskiej zachęcić. Żądanie księcia Urbinu popierali usilnie posłowie francuscy i angielscy. Papież wykręcał się jak mógł. Franciszkowi I donosił otwarcie, że nie z wolnej woli, lecz znaglony przemocą i gwałtem, zawarł przymierze z cesarzem. »Ośm miesięcy — pisał — wytrwaliśmy w haniebnej niewoli. Ale widok nieszczęśliwego miasta, ale ruina państwa papieskiego, które nienaruszone objęliśmy po poprzednikach, ale nieustający ucisk dusz i ciał, ale ukrócenie chwały Bożej zniewoliły nas wreszcie do tego kroku. Własną niedolę mogliśmy nadal znosić; ratować innych było naszym obowiązkiem«. W głębi serca i nadal powodzenia Lidze życzył, tamować jej ruchów nie myślał, sam atoli zbyt srodze odczuł bezwzględność Karola V, aby mu się ponownie narażać. Zresztą łącząc się z konfederatami, byłby ze samym sobą stanął w sprzeczności, kiedy spłacanym okupem sam niejako utrzymywał teraz armję cesarską. A płacić dla uwolnienia Rzymu od tej strasznej załogi musiał.

Doświadczenie uchroniło tym razem trwającego w neutralności papieża od nowych zawodów. Bo ta tak szczęśliwie na północy rozpoczęta przez Lautreca kampanja, przemieniła się niebawem na południu w ostateczną klęskę i znów, jak już tylokrotnie, Neapol miał się stać grobem francuskiej armji. W pierwszych dniach stycznia 1528 r. wyruszył Lautrec z Bolonji. Ale zamiast iść, jak się powszechnie spodziewano, na Rzym, zawró-

cił w lewo i nad brzegami Adrjatyku, przez Pesaro, Sinigaglię, Anconę i Recanati powiódł wojsko w Abruzze. Odebrawszy Hiszpanom, z wyjątkiem Medjolanu, całą Lombardję, szedł teraz na zdobycie królestwa Neapolitańskiego. Wice-króla i pułkowników cesarskich w Rzymie ogarnęła trwoga. Należało bez zwłoki spieszyć na obronę Neapolu, a niezapłacona załoga rzymska nie chciała słyszeć o wymarszu. Lanckneckci grozili nawet, iż przejdą na żołd Francisza I, do obozu Lautreca. Książę Oranji i Bemelberg podążyli do Neapolu szukać pieniędzy. Z największym trudem zdołał Moncada zebrać naprędce większą kwotę. Tą kwotą, oraz nadesłaną właśnie nową ratą ze spłat papieskich, przełamano nareszcie opór żołnierzy. Wojsko wyruszyło 17 lutego. Z dwudziestu czterech tysięcy, które w maju ubiegłego roku Bourbon naprowadził na Rzym, pozostawała ledwie połowa. Reszta legła w grobie. Z zapartym tchem spoglądali Rzymianie za odchodzącymi, jakby niedowierzając, że odchodzą na dobre, że po długiej męce nadszedł naprawdę dzień wyzwolenia. W ołowianej trumnie nieśli z sobą żołnierze ciało Bourbona. Świat cały przeklinał jego pamięć; we Francji tłuczono jego herby i godła konetabla, a bramy jego zamków malowano na żółto, barwą zarazy i zdrady. Pogrom Rzymu zwany był w potocznej mowie »klęską Bourbońską« — *clades Borbonica* — i cały ogrom nieszczęść spadłych na Wieczne Miasto wiązano już na wieki z jego nazwiskiem. Aby ustrzec trupa przed zniewagami i zemstą Rzymian, unieśli go żołnierze aż poza kresy państwa papieskiego i złożyli do grobu dopiero w granicach neapolitańskich, w Gaecie. Do Rzymu zaś, w kilka godzin po odejściu wojska, wpadł na czele uzbrojonego chłopstwa Napoleone Orsini, wojowniczy opat z Farfy. Maroderów hiszpańskich i niemieckich, którzy nie zdążyli jeszcze za wojskiem, wyciął w pień, na Tybrze zajął statki uwożące część zdobyczy cesarskiego wojska do Ostji, wreszcie rzucił się na dzielnicę żydowską, gdzie kupcy ukrywali sprzedane im przez żołnierzy łupy, które porwał i uwiózł do rodzinnego Bracciano.

Na południu, gdzie się teraz miał rozegrać ostatni akt wielkiego dramatu, świetne zwycięstwo Filippina Dorii nad flotą cesarską pod Capo d'Orso w zatoce salernitańskiej przechyliło zrazu

szalę na stronę Francji. W bitwie morskiej legł sam wice-król Ugo di Moncada i wielki koniuszy Fieramosca; Ascanio Colonna i margrabia del Vasto dostali się do niewoli, a zwycięski Doria zamknął od morza Neapol, ażeby żywności nie puszczać do miasta, które od strony lądu począł oblegać Lautrec. Ale oblężony z przywiedzionymi z Rzymu Hiszpanami i lancknechtami książę Oranji, który po Moncadzie objął dowództwo, bronił się wytrwale, z początkiem lata przybył mu zaś w pomoc groźny sprzymierzeniec, wybuchła nagle z niebywałą siłą w obozie francuskim zaraza. Pomór szerzył się z przerażającą szybkością; ludzie padali jak muchy, a strwożeni pułkownicy francuscy jęli nalegać na Lautreca, aby przerwał oblężenie i cofnął wojsko w głąb kraju. Lautrec się wzbraniał: zdobyciem Neapolu chciał ratować swą sławę wojskową, przyćmioną niepowodzeniami w dawniejszych wyprawach włoskich. Upór przypłacił życiem. Zaraza wkradła się i do jego namiotu i 15 sierpnia skonał wśród obozu. Ciało zagrzebali zrazu żołnierze pod namiotem w piasku. Później żołdak hiszpański wykradł je w nocy i poniósł na barkach do Neapolu, gdzie schował trupa w piwnicy, obiecując sobie sowity za tę smutną relikwję okup. Zwłoki nieszczęśliwego marszałka spoczęły wreszcie w grobowej kaplicy Kordubańskiej przy kościele Santa Maria Nuova w Neapolu i bratanek wielkiego Gonzalva uczcił je napisem, stwierdzającym przeciwieństwa ówczesnych dwóch światów w wymownem świadectwie, że »francuskiemu wodzowi hiszpański książę ten pomnik stawił« — *Gallo Duci Hispanus Princeps posuit.*

Ze śmiercią wodza skończyła się wyprawa francuska na Neapol. Resztki armji, zaledwie jedną trzecią, odprowadził margrabia di Saluzzo do Aversy. Książę Oranji pogonił wnet za nim z uwolnionego teraz Neapolu i w początku września Aversa poddała się cesarskiemu wojsku. Ranny Saluzzo powrócił na śmierć do Neapolu. Zdawało się, że jakieś fatum zaciężyło nad aktorami światowego dramatu, który się od dwóch lat rozgrywał we Włoszech. Bourbon, Frundsberg, Lannoy, Moncada, Fieramosca, Giovanni delle Bande Nere, a teraz zabity pod Neapolem następca jego przy »Czarnych Znakach«, Orazio Baglioni, zabity również

Don Pedro de Veyre, zmarły na zarazę hrabia de Vaudemont, Lautrec, wreszcie margrabia di Saluzzo — wszyscy kolejno ustępowali z widowni, jakby na znak, że dramat był skończony. Tylko drogi zaroiły się jeszcze na chwilę od posępnych, wynędzniałych postaci, które o kiju pielgrzymim ciągnęły żebrząc na północ. Były to smutne niedobitki armji Lautreca, wlokące się z powrotem do Francji. Na ich widok mógł książę Oranji słusznie cesarzowi donosić, »że sprawy wojenne po tej stronie zdają się być naprawdę skończone«. Karol V triumfował na całej linji. Jak przed trzema laty oręż pod Pawją, tak teraz zaraza pod Neapolem rzuciła mu do stóp Włochy. Niepomszczony pogrom Rzymu torował drogę do zawartych w roku następnym traktatów z papieżem i z Francją, w Barcelonie i w Cambrai, traktatów, poręczających Hiszpanji dotychczasowe jej posiadłości we Włoszech, a utwierdzających wszechwładną przewagę hiszpańskiego wpływu na całym appenińskim półwyspie.

Teraz nadeszła także chwila powrotu Klemensa VII do opuszczonej stolicy. Cesarz ciągle w tej mierze nalegania wznawiał; jeżeli nie wyrzuty sumienia, to w każdym razie poczucie odpowiedzialności przed światem za długie sieroctwo Rzymu, nagliło go do zatarcia śladów danego zgorszenia. Papież wszelako nie kwapił się z powrotem. Z jednej strony drżał przed nowym napadem lancknechtów na Rzym, z drugiej chciał wprzód doczekać wyniku i skutków wyprawy neapolitańskiej Lautreca. W czerwcu 1528 r. przeniósł się szczupły dwór papieski z Orvieto do Viterbo i stanął w tym samym zamku, gdzie przed kilkunastu laty tak często gościł Leon X, przybywający w te okolice na łowy. Tam doszła Klemensa VII we wrześniu wieść o śmierci Lautreca i rozbiciu armji francuskiej. Donosił mu o tem z Gaety kardynał Colonna. Hardy Pompeo, do niedawna ulubieniec rzymskiego ludu, teraz przed jego nienawiścią sam uchodzić musiał; nie bez racji zrzucali na niego Rzymianie wielką część odpowiedzialności za nieszczęścia, które na nich spadły; w Neapolitańskiem oczekiwał odtąd nagrody za oddane cesarzowi usługi: tiary, o której marzył, nie otrzymał, ale niebawem miał go Karol V wynieść do godności wice-króla.

Włóczące się po kraju marne niedobitki armji Lautreca potwierdziły wnet donos kardynała Colonny. Nie było racji do dalszej zwłoki i papieżowi nie pozostawało już nic innego, jak ugiąć się w milczeniu przed triumfującym majestatem cesarza. Postanowił wrócić do Rzymu. Z drogi jeszcze zakazał wszelkich uroczystych przyjęć. Dnia 6 października, po ośmnastu miesiącach niewoli i tułactwa, wkroczył o zmroku, wśród ulewnego deszczu, otoczony gwardją szwajcarską, do Rzymu. Tragiczny to był pochód. Wokoło sterczały gruzy zapadłych lub nawpół spalonych domów, których czternaście prawie tysięcy wedle współczesnych świadectw zniszczało w ciągu najazdu. Z dziewięćdziesięciu tysięcy mieszkańców, których liczył kwitnący Rzym Leona X, pozostała jedna trzecia. Inni padli od miecza lub zarazy, inni jeszcze uciekli na zawsze z miasta. *Roma pareva piuttosto un diserto che Roma* — »Rzym wyglądał raczej jak pustynia, niż jak Rzym« — opowiada Varchi, i do tej pustyni wkraczał teraz posępny pochód wracającego papieża. Lud wyległ na ulice i począł go witać okrzykami. Ale w tym tłumie żebraków, żyjących już tylko z rozdawanych przez księży jałmużn, w tych twarzach wynędzniałych i pobladłych, na których długie męki wyryły niezatarte ślady bólu, ledwie mógł Klemens VII poznać dawnych swych poddanych. Jechał milcząco, błogosławiąc lud, a łzy spływały mu po licach. Czasem podnosił dłonie do góry, jakby wzywając zmiłowania Bożego, to znów roztwierał ręce i składał je na piersiach, niby tuląc do nich w rozpaczliwym uścisku niedolę własną i niedolę Rzymu. Pochód skręcił na Borgo. W pomroku nocnym ujrzał papież wały sypane przed rokiem przez cesarskich siepaczy i sterczącą wśród nich, jak ponury upiór, czarną masę Zamku św. Anioła, teraz żywy pomnik spełnionych na nim gwałtów. Stąpając po tym »nędznym, rozdartym trupie«, jak sam wkrótce w piśmie do cesarza nieszczęśliwy Rzym nazywał, wzdłuż tego krużganka, w którym w dzień zdobycia Rzymu przez wojska Bourbona wśród piekielnego zgiełku rzezi uciekał, ciągnął teraz w stronę pustego i ciemnego jak grób Watykanu. Orszak zatrzymał się wreszcie u wrót Św. Piotra. Papież wszedł do bazyliki i łkając padł na kolana u grobu Apostoła.

»Zaprawdę nie był to koniec miasta, ale koniec świata«, pisał Erazm do Sadoleta, opłakując pogrom Rzymu. Wszystkie głębsze umysły czuły, że zaszło coś wielkiego, że ludzkość w rozwoju swym stanęła na nowym zakręcie. I znowu na pogromie Wiecznego Miasta obróciła się po raz drugi karta w wielkiej księdze dziejów. Jest w tem zaś jakoby tych dziejów ironja, że grabarzem średnich wieków stał się w Rzymie i we Włoszech właśnie ów Karol V, który prawa swe do nich na najbardziej średniowiecznym, przeżytym tytule Świętego Imperium opierał, i że świetny okres duchowego odrodzenia miał zamknąć papież, którego samo już nazwisko brzmiało dotąd jako hasło, było prawie że synonimem tego prądu. Niemniej uderzającem jest i to, że ów rok 1527, oznaczający koniec wielkich zapasów pomiędzy Karolem V a Franciszkiem I, przez ostateczne ustalenie we Włoszech rządu lub przynajmniej wpływu hiszpańskiego, oznacza także przymusowe zrzeczenie się Włochów przodownictwa w kulturze świata, ale właśnie na rzecz zwyciężonego, nie na rzecz zwycięzcy. Niemcy, rozdarte sporem religijnym, miotać się jeszcze będą przez wiek przeszło wśród waśni sumień i kłótni pacierzy; Hiszpanja pocznie się wnet zasklepiać w skamieniałości państwowego absolutyzmu; tylko Francja, przebywszy burzę przelotną hugenockich wojen, skrzepi się, zakwitnie i na długie wieki podejmie wytrącone Włochom, a przez zwycięzcę nie podjęte berło duchowe świata.

We Włoszech, a przedewszystkiem w Rzymie, kończy się wielka epoka sztuki. Klęska Bourbońska rozgania resztę artystów, skupiających się wokoło świetnych mecenasów watykańskich. Wielu z nich ledwie z życiem z rąk strasznych najeźdźców uszło. I tak Baldassare Peruzzi popadł w niewolę hiszpańską, a z długiej tortury uwolnił się dopiero, malując dla jednego ze swych oprawców portret Bourbona; potem zdołał umknąć do Sieny, lecz w drodze napadnięty i obrabowany przez opryszków, w jednej zaledwie koszuli do rodzinnego miasta przybył. Parmeggianina zastali lancknechci przy sztaludze; szkicami malowanemi naprędce zdołał sobie zrazu okupić wolność; ale dręczony przez chciwe żołdactwo, przy pierwszej sposobności uciekł z Rzymu do Parmy. Jacopo Sansovino nawpół żywy dotarł do Wenecji. Giulio Clovio,

wzięty na męki, ślubował, że w razie uratowania życia, życie to służbie Bożej poświęci, i uszedłszy cało, w Mantui wstąpił do klasztoru. Florentczyk Rosso, zrujnowany doszczętu, służyć musiał lancknechtom za pachołka. Rytownik Marc Antonio złożył gruby okup i zbiegł, aby już nigdy do Rzymu nie wrócić. Pierzchła również w rozsypce tak świetna i wesoła niegdyś szkoła Rafaela. Giovanni da Udine, wyzuty z wszystkiego, wrócił do ojczystego Friulu; Perin del Vaga, po długim tułaniu się z żoną i dzieckiem wśród świeżych ruin Rzymu, wzięty zrazu w niewolę, potem za grubym okupem wypuszczony na wolność, uszedł do Genui. Polidoro da Caravaggio umknął na południe do Neapolu i Messiny, a Vincenzo da San Gimignano, złamany na duchu i na ciele, opuścił Rzym i zamknął się już do śmierci w zacisznym rodzimym grodzie »o pięknych wieżach«. Wichry straszliwej burzy, która przeleciała nad Rzymem, zgasiły nagle i okrutnie wspaniałą pochodnię, która tak długo świeciła miastu i światu, i stolica wielkich mistrzów z epoki Sykstusa IV, Juljusza II i Leona X zachodziła w cień swych zwalisk i gruzów. Ale na północy półwyspu, zapóźniona w ogólnym rozkwicie sztuki włoskiej w ciągu poprzedniego stulecia Wenecja, podjęła teraz tę zgaszoną na lądzie pochodnię i zapaliła ją na nowo wśród laguny adrjatyckiej, jakby latarnię morską, rzucającą przez cały wiek jeszcze snopy światła w świetnych barwach wielkich swych kolorystów, Tycjana i Veroneza. W pomroku, zapadającym na resztę Włoch, błąka się już tylko w tragicznej zadumie ostatni z plejady największych, prawda że sam za plejadę starczący: Michał Anioł przeżyje pogrom Rzymu, potem ujarzmienie Florencji i — *mentre che l'danno e la vergogna dura* — wcieli wielki swój smutek w grobowce nowej zakrystji przy kościele San Lorenzo, ponury gniew w *Sąd Ostateczny* z Sykstyny, aż oczyszczony z ziemskich uczuć, wzniesie załamane dotąd lub grożące dłonie jak umierający Mojżesz do błogosławieństwa i dźwignie niemi kopułę Św. Piotra w niebiosy.

Pogrom Rzymu z r. 1527 oznacza także ostateczne rozprószenie się tego roju humanistów, którzy, od Poggia aż do Aretina, przez wiek cały zażywali, często nadużywali opieki i gościnności papieży. Te wędrujące żywe książki były już zresztą

zbyteczne, odkąd z oficyn Alda Manuzia jęły się sypać druki. A i sam ideał większości humanistycznego obozu, która w wskrzeszeniu starożytnego świata szukała dla ludzkości zbawienia, zużywał się i zawiedzionych uczniów niechęcił. Zawiedzeni, ustawali w gonitwie za tym zwodniczym celem, bo dla żywych dusz mitologja była zimną i martwą, jak postacie zaklętych w marmur starych bogów, a natomiast w połowie tej błędnej drogi wszczynał się znienacka namiętny, krwawy spór o żywą zawsze ewangelję. W klęsce Bourbońskiej znikł w Rzymie ostatek humanistów dawnego pokroju. Jednych wybił oręż lub zaraza, drudzy, zawodowi przedtem Epikurejczycy, zmarnieli z niedostatku i głodu, inni wreszcie na zawsze uciekli z Rzymu. Dwa prądy, zaznaczające się od początku w humanistycznym ruchu, słabszy chrześcijański i silniejszy pogański, złane dotąd często we wspólnym kulcie starożytności, rozłączają się teraz w dwa zupełnie odrębne koryta: z pierwszą falą popłyną zdrowsze jednostki, skupione pod przewodem humanistów tego kierunku, co Giberti, Sadoleto, Bembo, i staną się wkrótce cennym materjałem przy wielkiem dziele odbudowania gmachu kościelnego; drugi prąd porwie nieprzejednanych wrogów katolicyzmu i papiestwa, którzy utoną w morzu Reformacji, lub, jak Aretin, otworzą stałe kramy pamfletów, istne prototypy wszelkiej odtąd nikczemnej publicystyki. List Aretina, pisany do więzionego Klemensa VII, a namawiający nieszczęśliwego papieża, ażeby się nie skarżył, ani o zemście myślał, ale żeby przebaczał winowajcom, jest znamiennem zapieczętowaniem epoki: w szatańskiej swej ironji brzmi jakby policzek, którym zwyrodniały humanizm kwitował papiestwu użyczaną mu przez wiek cały nazbyt szczodrą gościnność.

Obóz Reformacji upatrywał w pogromie Rzymu widomy palec Boży, karę spadłą na ześwieczczony Kościół. Że Kościół ten potrzebował naprawy, to rzeczą niewątpliwą. Ale w dziejach narodów i państw, tak samo jak w życiu jednostek, ludzkiej miary do wyroków Bożych przykładać nie można. W skutkach swych ostateczny triumf Karola V wyszedł Kościołowi na dobre. Wpływ hiszpański, ujarzmiając Włochy, złamał bowiem bezpowrotnie ów typ »księcia« czy tyrana włoskiego z *quattro-*

centa, typ oddziałujący zgubnie i na sam Kościół, który współzawodnicząc z rojem dybiących na siebie możnowładczych sąsiadów, przez instynkt zachowawczy i we własnej obronie stawał z nimi narówni, a sam się przez to obniżał. Teraz, po wyzbyciu się takich niebezpiecznych znamion, wyłaniała się znów z pod tej łupiny czysta, wielka myśl Kościoła. Klęska Bourbońska wpłynęła do pewnego stopnia i bezpośrednio na to dzieło naprawy kościelnej, przyspieszając jego podjęcie wielkiem wstrząśnieniem serc i sumień. Ale w istocie rzeczy gwałt spełniony przez wojska Karola V na Rzymie był tylko czynem zniszczenia, zawistnym mrozem, który zwarzył kwiaty spaczonej pod niejednym względem, lecz w całości swej nieporównanie pięknej i bogatej kultury. Bo myśl o reformie kościelnej i przekonanie o jej konieczności nie potrzebowały tak rozpaczliwego bodźca; nurtowały one oddawna w społeczeństwie chrześcijańskiem i zbawienne dzieło naprawy dojrzewało samo z siebie w zaciszu. Jak przy każdem wielkiem przedsięwzięciu, tak i tu nie mogło się obejść bez ciężkich prób i krwawych zawodów, a tych prób i zawodów dzieje składają się na przejmującą tragedję Savonaroli. Na rozdrożu dwóch światów stoi jego potężna postać ze wzrokiem zwróconym wstecz, niby ostatni pomnik martwych średnich wieków, których zgalwanizować nie zdołał. Innych dróg szukać musieli późniejsi pracownicy na tej samej niwie. Tym razem nie wśród wrzawy ulic florenckich, nie wśród tłumów sfanatyzowanych płomienną wymową ponurego Dominikanina, nie pod wspaniałem sklepieniem katedry Santa Maria del Fiore, tylko w skromnym kościółku Św. Sylwestra i Św. Doroty, na cichem Trastevere rzymskiem, wśród grona wybranych, miała się ta myśl począć na nowo.

Rzym Odrodzenia rozpływał się w słodyczach życiowych za rządów Leona X; wśród krotochwil, zaprawianych dowcipem Bibbieny, brzmiał Watykan dźwiękami lutnistów papieskich, po ulicach przesuwały się wspaniałe kawalkaty i huczne maskarady, a trębacze ówczesnej sławy, nadworni humaniści, wielbili w szumnych peanach »słodkie jarzmo« pierwszego z papieży Medyceuszów, kiedy przy tym zatybrzańskim kościółku jął się gromadzić za-

stęp ludzi, którzy pomimo zagłuszającego wszystko zgiełku karnawałowej epoki, słyszeli przecież wyraźnie złowrogie trzeszczenie belek w wielkim gmachu kościelnym i daleki grzmot burzy, nadciągającej z północy. Przybywał w to ustronie przyjaciel i powiernik Medyceuszów, datarjusz Giberti, świetny łacinnik z kancelarji papieskiej, Sadoleto, wielki penitencjarz bazyliki Lateraneńskiej i autor misterjów pasyjnych, przedstawianych w Colosseum, Giuliano Dati, tak gorliwy później poplecznik Towarzystwa Jezusowego Wenecjanin Luigi Lippomano i inni, których liczba dochodziła do sześćdziesięciu. Było to duchowne sprzysiężenie: stowarzyszeniem Bożej Miłości zwali się uczestnicy, a celem ich, jak mówi biograf Pawła IV, Caracciolo, było »strzeżenie w tem ich oratorjum, jakby w twierdzy, praw Bożych i zwalczanie błędów i nadużyć«. Wpływem i zasługą wybiło się wnet na przywódców zgromadzenia dwóch członków. Pierwszy z nich, potomek starożytnego neapolitańskiego rodu Caraffów, od lat chłopięcych chowany w Rzymie, zaznał był jeszcze dwór Aleksandra VI i kto wie, czy nie doznane wówczas zgorszenie rozpaliło gwałtowną jego duszę dla myśli reformy kościelnej, której przez cały ciąg długiego życia tak wytrwale służył i którą wreszcie, jako papież Paweł IV, z tak niezłomną przeprowadził energją.

Drugim był Wicentyńczyk, Kajetan z Thiene. Opis katastrofy rzymskiej z 1527 r. z pominięciem tej wzniosłej postaci nie byłby dokładny: w tym szatańskim rozstroju jest to jedyny dźwięk ludzki, może dlatego właśnie, że nadludzki. Dla zgromadzenia Bożej Miłości pozostanie zaś zawsze tytułem chwały, że w jego gronie zaczęło się wielkie dzieło naprawy. Tam bowiem zbliżył się Kajetan z Thiene, naówczas protonotarjusz apostolski z nominacji Juljusza II, z dwoma późniejszymi papieżami, Caraffą i Ghislierim, a owocem tego zbliżenia było założenie nowego zakonu, pierwszy dotykalny czyn w dziedzinie odrodzenia kościelnego. Zakon, mający praktyczny, a w owej chwili najpotrzebniejszy cel reformy kleru i szkoły duszpasterstwa, zatwierdził Klemens VII w pierwszym roku swego pontyfikatu i 14 września 1524 r., w dzień Wywyższenia św. Krzyża, złożyli założyciele profesję w bazylice św. Piotra. Od pierwszego przełożonego,

Caraffy, biskupa z Teaty, nazwali się Teatynami. Zrazu zamieszkali na Campo Marzo, potem na Pincio. Tam wśród rozwoju gorliwej działalności zaskoczyła ich burza 1527 r. Oderwani od zwykłych zajęć klasztornych, rozproszyli się natychmiast po mieście, niosąc ratunek nieszczęśliwym, opatrując rannych, grzebiąc umarłych. Przodował w tej służbie Kajetan: gromił najeźdźców lub wypraszał ofiary od męki, a odwagą naprzemian i pokorą próbował trafiać i trafiał czasem do serc oprawców. Ale wnet nadeszła i na niego kolej męki: jakiś ziomek z Vicenzy, znający zamożność rodu Thienów, naprowadził łupiezców na dom Teatynów, obiecując im obfite skarby, a gdy ubóstwo klasztorne zawiodło napastników, wzięli Kajetana na tortury, potem wtrącili wraz z bracią zakonną do więzienia. Modlitwą i pobożnym śpiewem skracali sobie więźniowie dni niewoli, aż wreszcie strażnik, ujęty tą pobożnością, puścił ich na wolność, a raczej na nowy trud i pracę najpierw w Wenecji, potem w Weronie, wreszcie w Neapolu. Tam, w podziemiach kościoła San Paolo Maggiore, na grobie św. Kajetana, który lud neapolitański szczególną czcią i nabożeństwem otacza, napis wielbiący cnoty i zasługi tego wielkiego »łowcy dusz« — *venator animarum* — jak go powszechnie nazywano, wspomina wymownie o tych jego »mękach w klęsce Bourbońskiej tak mężnie znoszonych«.

Założenie zakonu Teatynów było doraźnym i dotykalnym niejako skutkiem działalności kongregacji *del divino amore*. Ale nie mniej obfitym był skutek pośredni. Znamienne jako objaw tlejącej zawsze, choćby w zaciszu, iskry prawdziwego ducha kościelnego, nawet w tej groźnej chwili przełomu wieków, kiedy forma u szczytu hierarchji brała górę nad treścią, a na dole pomieszanie pojęć kłóciło umysły i łamało dusze, było to zgromadzenie niejako katakumbami zmroku Odrodzenia. W założeniu swem podobne do tych tak drogich ludziom z owej epoki Akademij, nabierało ono już przez to samo przyciągającej siły. To pokolenie retorów i dialektyków przybywało z zamiłowania na dysputy, ale dysputy, które teraz wyższy cel pogłębiał. Bo pod grozą palących zagadnień, rzuconych przed forum chrześcijańskiego świata przez namiętnych nowatorów niemieckich, igraszki filozoficzne

ustępowały miejsca roztrząsaniom teologicznym. Pod tem wrażeniem wyrabiało się też dwojakie zadanie członków kongregacji Bożej Miłości: naprawą obyczajów trzeba się było uprawniać do walki, nauką teologji do niej zbroić. Przykład podziałał zbawiennie. Celem i składem podobne koła jęły się niebawem w całych Włoszech gromadzić. W Weronie zakładał je uchodzący z Rzymu Giberti, w Genui kardynał Fregoso, w Wenecji szlachetny Gasparo Contarini, mąż stanu i za świadectwem nawet nieprzyjaciół politycznych »najlepszy z patrycjuszów weneckich«.

Ta filja wenecka kongregacji była przez chwilę najświetniejszą z wszystkich: zgromadzenia odbywały się w uroczych ogrodach przy kościele San Giorgio Maggiore, gdzie uczony opat Gregorio Cortese, gorliwy krzewiciel nauk w zakonie Benedyktyńskim, przyjmował nadpływające z miasta pobożne i wykwintne grono, złożone z duchownych, z humanistów chrześcijańskiego kierunku i ze światłej weneckiej arystokracji. Tu pojawił się także, przynęcony tem świetnem kołem, dostojny zbieg z królewskiej rodziny angielskiej, Reginald Pole, kiedy uchodząc z ojczyzny przed mściwą ręką zbuntowanego przeciw Rzymowi Henryka VIII, przybył na wygnanie do Włoch; tu zawarł on ścisłe związki przyjaźni z Contarinim, Cortesem, Caraffą, związki, które go wysunęły zczasem na pierwszy plan wielkich szermierzy kontrreformacji; tu wreszcie, w tych zebraniach przy kościele San Giorgio Maggiore poznajomił się i rozmiłował w celach i składzie tej duchownej Akademji, którą później wespół z Vittorią Colonną sam miał odtworzyć w Viterbo. Bo i imiona wybitnych niewiast z *cinquecenta*, jak Giulii Gonzaga-Colonna, Eleonory Gonzaga-Montefeltre, Catariny Cibo-Camerino, zapisały się znacząco w dziejach reformy kościelnej włoskiej, a jak wszędzie, tak i tu góruje nad innemi imię margrabiny di Pescara, którą Reginald Pole po śmierci matki, straconej na rozkaz Henryka VIII, za drugą przybrał matkę.

Najważniejszym atoli owocem tych stowarzyszeń było stopniowe pod ich wpływem przeobrażenie się opinji publicznej, a miarą tego przełomu jest ewolucja natury takiej, jak Paweł III, który bezpośrednio po Klemensie VII na Stolicę Apostolską wstąpił. Ten Aleksander Farnese, wychowany w obyczaju i pojęciach

XV stulecia, uczeń pogańskiej szkoły Pomponiusa Laetusa w Rzymie, a we Florencji towarzysz młodych Medyceuszów w kołach żyjących tradycją słynnej Akademji Platońskiej; brat pięknej Giulii, której sława, a raczej niesława, należy do głośnych bezwstydów z epoki Borgiów; sam burzliwego życia zamłodu, jak świadczy przelotne uwięzienie, podobno na prośby własnej matki, w Zamku św. Anioła; ten potem świetny kardynał na dworach Juljusza II i Leona X, którego wspaniale podejmował w willi swej nad jeziorem Bolseńskiem, kiedy papież Medyceusz zjeżdżał w te okolice na ulubione »słodkie łowy« — *dulces venationes*; ten dyplomata, lawirujący przez szereg lat z jasno wytkniętym celem własnej ambicji i z godną podziwu zręcznością pomiędzy walczącemi o hegemonję we Włoszech, a o rozstrzygający wpływ w samym Rzymie, Hiszpanją i Francją; ten Aleksander Farnese wreszcie, tworzący jako papież Paweł III ostatnim przykładem nieszczęsnego nepotyzmu udzielne państwo dla swego rodu, orjentuje się przecież odrazu za wstąpieniem na Stolicę Apostolską w zmienionem rdzennie położeniu Kościoła, otacza ludźmi gorącej wiary, głębokiej nauki i czystych obyczajów, stwarza kolegjum kardynalskie, jakiego Rzym dawno już nie pamiętał, a do którego wchodzą wszyscy niemal wybitni uczestnicy owych rodzajnych stowarzyszeń Bożej Miłości, a więc Caraffa i Sadoleto, Contarini i Reginald Pole, Fregoso i Cortese, wyznacza z ich grona komisję opracowującą projekt naprawy dyscypliny kościelnej, i gdy wreszcie nadchodzi chwila, kiedy rozdzierające sumienia średniowieczne pytanie: papież czy sobór — ustępuje miejsca stanowczemu hasłu: papież i sobór — on, Paweł III, z natury i obyczaju związany tylko z przeszłością, otwiera zwiastujący nową erę kościelną Sobór Trydencki.

Jakaś czerstwa, orzeźwiająca siła poczyna dźwigać społeczeństwo chrześcijańskie i wieść je na drogę uzdrowienia, a kiedy te wybrane żywioły we Włoszech, już na kilka lat przed pogromem Rzymu, podejmują wielkie dzieło naprawy kościelnej, równocześnie pojawia się na sąsiednim półwyspie iberyjskim postać rycerza, który ugodzony kulą nieprzyjacielską w oblężonej Pampelunie i okaleczony na zawsze, porzuca świeckie hufce, aby się

stać twórcą innej, duchownej milicji i stanąć z nią na straży Kościoła w epoce walki. Rycerz ten zwał się Don Inigo Recalde de Loyola.

Kto był w Assyżu, ten zapamiętał z pewnością z szeregu fresków górnego kościoła obraz, przedstawiający w tem przedziwnem swą prostotą opowiadaniu wielkich mistrzów z XIV wieku, sen Innocentego III: papież śpi, a w sennem widzeniu pojawia mu się uboga, wynędzniała postać pokornego mnicha, który na wychudłych barkach dźwiga i podtrzymuje walący się Lateran. Po trzech wiekach sen się nie powtórzył, bo zimne natury Medyceuszów i Farnesów nie były do wizyj skłonne. Ale powtórzył się zbożny trud i zasługa i jak wtedy św. Franciszek z Assyżu, tak teraz św. Ignacy z Loyoli miał podeprzeć siłą potężnej swej indywidualności rysujące się mury budowy kościelnej. Wiek cesarza Fryderyka II i Ezzelina da Romano potrzebował odrodzenia się chrześcijaństwa w miłości i Opatrzność zesłała na świat Serafickiego Franciszka, cudownego apostoła tej miłości, zlewającej się na wszystko stworzenie, od człowieka, aż do »sióstr ptaszyn« i do »brata wilka«. W tym duchu, tem uczuciem zapłodniona, rozpoczyna się wspaniała epoka Odrodzenia. A kiedy pod wpływem spaczonego humanizmu ta szeroka miłość drętwieje zasklepiona w miłości własnej, w nieznającej już żadnych hamulców wybujałości indywidualizmu, wtedy jawi się na ratunek inna święta postać: Ignacy z Loyoli przychodzi na świat, aby wyrwać chwasty zaduszające posiew św. Franciszka, i w wieku Henryka VIII i Lutra, w wieku rozpasania indywidualności aż do buntu, stawia twierdzę posłuszeństwa na straż i zbawienie Kościoła. Wśród tych dwóch postaci, apostoła miłości i apostoła posłuszeństwa, otwiera się i zamyka czarowny okres Odrodzenia, ponad którym w odstępie trzech stuleci zdają sobie podawać ręce: ubogi syn Piotra Bernardone z Assyżu i ranny rycerz z wałów Pampeluny.

We Włoszech robi się tymczasem szaro. Wśród politycznego upadku następuje chwila rozdziału religijnie pewnych i niepewnych żywiołów. Ostra represja łamie i niejeden wyższy umysł, rani niejedną szlachetniejszą duszę, kiedy nawet taki Contarini lub Sadoleto, taki Reginald Pole lub Vittoria Colonna nie zdołali

ustrzec się na tyle, aby i ich prawowierności nie podawano w wątpliwość. Dzieje kontrreformacji czekają atoli do dziś dnia na pióro bezstronne, lecz katolickie. W sądzie pisarzy z przeciwnego obozu cienie przemagają nad światłem w ograniczaniu się jednostronnem do krytyki surowości trybunałów duchownych. Że ta surowość była wielką, to rzecz pewna. Ale jakiemiż były czasy, jakim napad, który przychodziło odeprzeć? W chwili przełomu ratunek musiał być stanowczy i prędki, jeżeli miał być naprawdę ratunkiem. Bo jak ustępująca epoka skonała w filozoficznej gorączce, tak nowa rodziła się wśród gorączki teologicznej: każdy dla siebie tłomaczył, wyrokował i sądził, a Kościół miał przed sobą na ostrzeżenie chociażby przykład rozszczepiającej się już na odcienia i ułamki samej Reformacji. Zadanie głównych kontrreformacyjnych działaczy, Caraffów, Ghislierich i pierwszych przywódców Towarzystwa Jezusowego było zaś tem trudniejsze, że równocześnie dwojakie, obejmujące naprawę na wewnątrz, walkę na zewnątrz. Jednemu i drugiemu sprostali zwycięsko, utrzymując czystość nauki, wzmacniając nadwerężoną powagę Stolicy Apostolskiej, broniąc przed Reformacją ziemie, których jeszcze nie posiadła. A z politycznego stanowiska była kontrreformacja ratunkiem tych ras i narodów, któreby inaczej zalał był na zawsze wpływ germański, płynący jednem z Reformacją korytem.

I znowu, jak przedtem w odrodzeniu ducha, tak teraz w odrodzeniu duszy przodował Rzym. Czytając jego dzieje z XVI stulecia, wierzyć się nie chce, że to ten sam wiek, u którego kolebki stał Aleksander VI. Stolica Apostolska jest i nadal mistrzynią nauki, ale, czem w XV wieku być przestawała, znów i przykładem wiernych. Na tronie Aleksandra VI zasiadają te surowe, lecz w pomnikowej swej powadze arcykapłańskiej tak wspaniałe postacie Caraffów, Ghislierich, Perettich; w miejsce demonicznych nepotów w stylu Cezara Borgii staje przy boku Piusa IV Karol Boromeusz, nepot innego pokroju i miary; a wreszcie, jakoby na dowód, że naprawa była zupełna i ekspiacja dopełniona, wkrótce znów rozbrzmiewa w świecie nazwisko Borgiów, ale już nie wśród skargi lub przekleństwa, tylko w czci i uwielbieniu zasług ro-

dzonego prawnuka papieża Aleksandra, zaliczonego z czasem w poczet Świętych, Franciszka Borgii.

Z kolei, na długo klęską Bourbońską zwichnięta, budzi się i sztuka, prawda, że wręcz odmienna od tej, która kwitła w minionym, najświetniejszym dla niej okresie. Teraz przechodzi ona dziwne a radykalne przeobrażenie, bo uduchowiona dawniej w czasie największego zeświecczenia Kościoła, świecczeje w miarę, jak się ten Kościół uduchownia. Wtedy, w natchnieniu starych mistrzów, ciało stawało się słowem, teraz słowo staje ciałem, któremu Kościół na ołtarzach, ścianach i sklepieniach świątyń triumfować dozwala, jakżeby nagradzając ujęcie go w życiu codziennem w karby, zagrobową obietnicą, że *exsultabunt ossa humiliata*... Zresztą wielka tradycja zanika. Tylko jedno dzieło, najpiękniejsze, założone jeszcze wśród odrodzenia ducha, rośnie i dojrzewa w tem drugiem odrodzeniu duszy. Pod tamtym wpływem rozpoczynał Juljusz II budowę nowej bazyliki Piotrowej, tragicznym kosztem wielkiego rozdarcia w społeczeństwie chrześcijańskiem; teraz, za ostatnią myślą największego z mistrzów, stojącego samotnie na przełomie dwóch epok, wśród odradzającego się Kościoła strzela w górę kopuła św. Piotra i wraz z Soborem Trydenckim zasklepia wspaniałą budowę kościelną.

Tego roku, w czerwcu,[1] danem nam znowu było odwiedzić Rzym. W dniu św. Piotra i Pawła staliśmy o zachodzie słońca na Janikulu, pomiędzy San Pietro in Montorio a Sant'Onofrio, skąd się otwiera taki nieporównany widok na Rzym, Kampanję i wzgórza okoliczne. Nie przeczuwaliśmy, że był to zachód innego jeszcze »światła na niebie«, ostatnie dni wielkiego pontyfikatu, jednego z tych, które w przedziwnej ciągłości dziejów kościelnych znaczą się jak wielkie drogowskazy wśród doczesnych bezdroży. Cienie kładły się zwolna na doliny, zlewając w łagodnem półświetle wieże i kopuły kościołów, potężne masy pałaców i ruin Wiecznego Miasta. Dokoła była cisza świątecznego wieczoru, prze-

[1] W czerwcu 1903 r. W lipcu tegoż roku umarł Leon XIII.

rywana tylko szmerem wód rzymskich z pobliskiej fontanny Paolińskiej. Potem rozdzwoniły się wszystkie dzwony na Anioł Pański i dźwięk ich — *che paia l'giorno pianger che si muore*, jak mówi Dante — bił pod wzgórza i leciał w dal po Kampanji. Nam zaś wśród tego dźwięku odzywał się echem zasłyszany przed chwilą u Św. Piotra hymn średniowieczny na cześć Apostołów, wielkich patronów dnia i miasta, wielbiący w triumfalnej zwrotce »szczęśliwy Rzym, uświęcony szlachetną krwią dwóch książąt, wystrzelający w tej purpurze ponad wszystkie piękności świata«. *O Roma felix...*

Długo wpatrywaliśmy się w ten nieporównany w wielkim swym majestacie obraz, na który się patrzy nietylko oczyma ciała, ale i oczyma duszy: na lewym krańcu sterczącą ponad ogrody i winnice Janikulu kopuła Św. Piotra, którą złociło słońce, chylące się właśnie ku Ostji; potem na prawo od Monte Mario i już napół w pomroku klasyczny szczyt Horacjuszowskiego Sorakte, a prawie na tem tle, u dołu na łączniku starego Rzymu z dzielnicą leonińską, potężna masa Zamku św. Anioła; powyżej zielone ogrody Pincia, z odbijającą od ich zieleni willą Medici i białą fasadą Trinità dei Monti; potem las wież i kopuł; bliżej San Giovanni dei Fiorentini i San Salvatore in Lauro, dalej San Carlo al Corso, Sant Agnese, Sant'Andrea della Valle i Gesù, a wśród tych młodszych, zasklepionych, stara kopuła Panteonu z tajemniczem swem okiem, rozwartem ku niebu; w środku, w głębi brunatne mury Kwirynału i blisko siebie: sterczącą jak ponury pomnik średnich wieków, warowna Tor de'Conti i smukła, ukoronowana posągiem Apostoła, kolumna Trajana; dalej jeszcze wieże i kopuła Santa Maria Maggiore, wieża Kapitolińska i ciemny cyprysowy las cmentarza przy San Lorenzo, a w prawo, już na tle gór Albańskich, podnoszących się łagodną linją aż do szczytu Monte Cavo, strzelająca w górę attyka Lateranu ze swym rzędem Świętych, ustawionych jakby na straży tej »wszystkich kościołów matki i głowy«; bliżej Palatyn z wyzierającym poprzez ogrody Farnezyjskie potrójnym łukiem Świątyni Pokoju, szczerbami pałacu Cezarów i Flawjuszowego amfiteatru; potem lesisty Coelius i zlewający się z nim szereg cichych świątyń Awentynu, Santa

Sabina, Sant'Alessio, Santa Maria del Priorato, zakończony jakoby twierdzą, nowym kościołem benedyktyńskim Św. Anzelma; bliżej jeszcze, u stóp Janikulu, po jednej stronie ogrody Corsinich, za rzeką zaś otwarta na Tyber loggia najdumniejszego z pałaców rzymskich, pałacu Farnese, i znów szczyty i wieże starych świątyń Zatybrza; na prawym krańcu wreszcie rozwarta, smutna równina Kampanji, przecięta po lewej grobową smugą z Via Appia, po prawej drogą wiodącą popod piramidą Cestiusa ku bielejącej w dali bazylice św. Pawła.

Komuż ten widok nie uskrzydli duszy? Miasto grobów, od owego *lapis niger*, domniemanego grobowca Romulusa, który odnaleziono niedawno na Forum, przez Via Appia, mauzolea Augusta i Hadrjana aż do tych najświętszych apostolskich, »uświęconych szlachetną krwią dwóch książąt«, i od cichych katakumb chrześcijańskich aż do wspaniałych pomników papieży, rzeźbionych dłutem Pollajuola, Michała Anioła, della Porty; miasto grobów, z których bije jakby jakaś ziemska już światłość wiekuista, więc przemawiających do głowy i serca głośno, jak samo życie. Ale bo i miasto ciągłych zmartwychwstań, miasto, które przetrwało załamanie się starożytnego świata wśród zalewu barbarzyńców i nieustające burze średnich wieków i wieków tych zgon w klęsce Bourbońskiej, Roma, wystrzelająca w swym niespożytym majestacie dziś jak ongi »ponad wszystkie piękności świata«, znosząca wszystko i odradzająca się zawsze na nowy rząd duchów lub dusz — *patiens quia aeterna.*

SPIS ROZDZIAŁÓW

Str

I. Dramaty Zamku św. Anioła 5
II. Zmrok Odrodzenia 18
III. Młodość Giulia de' Medici 32
IV. Pompeo Colonna 45
V. Conclave z r. 1523 53
VI. Zawikłania polityczne 62
VII. Włochy w r. 1525 71
VIII. Margrabia di Pescara 83
IX. Wrogowie Medyceusza 92
X. W przededniu burzy 112
XI. Sacra ruina 134
XII. Papież i Cesarz 153
XIII. Odrodzenie duszy 178

SPIS RYCIN

	Str.
Leon X. z kardynałem Giuliem de' Medici i Luigim de' Rossi . . .	22—23
Kardynał Pompeo Colonna	46—47
Karol Ks. de Bourbon, Wielki Connétable Francji	68—69
Ferrante Francesco d' Avalos, margrabia di Pescara	84—85
Francesco Maria della Rovere, książę Urbinu	96—97
Jerzy Frundsberg	120—121
Papież Klemens VII	138—139
Cesarz Karol V	166—167

BIBLIOTEKA

93112
2

KRAKOWSKA

W KRA

poleca

BIBLJOTEKA HISTORYCZNA
KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

1. *Tretiak Józef:* Historja wojny chocimskiej (z ilustr.).
2. *Morawski Zdzisław:* Sacco di Roma (z ilustr.).
3. *Morawski Kazimierz:* Rzym. Portrety i szkice.
4. *Bobrzyński Michał:* Szkice i studja historyczne (2 tomy).
5. *Morawski Zdzisław:* Z Rawenny (z ilustr.).

Z HISTORJI I LITERATURY

1. *Sinko Tadeusz:* Wyspiański i Krasiński. Rozwiązanie zagadek »Legjonu« i »Wyzwolenia«.
2. *Zdziechowski Marjan:* Gloryfikacja pracy. Myśli z pism i o pismach Stanisława Brzozowskiego.
3. *Tretiak Józef:* Finis Poloniae. Historja legendy maciejowickiej i jej rozwiązanie.
4. *Szyjkowski Marjan:* Dzieje komedji polskiej w zarysie.
5. *Kucharski Eugenjusz:* Fredro a komedja obca.
6. *Tretiak Józef:* Kto jest Mickiewicz. Sześć szkiców.
7. *Borowy Wacław:* O wpływach i zależnościach w literaturze.
8. *Windakiewicz Stanisław:* Teatr polski przed powstaniem sceny narodowej.
9. *Borowy Wacław:* Ze studjów nad Fredrą
10. *Hoesick Ferdynand:* »Siła fatalna« poezji Słowackiego.
11. *Boyé Edward:* U kolebki modernizmu. Estetyczne poglądy na łamach krakowskiego »Życia«.
12. *Nowakowski-Tempka Zygmunt:* Józef Narzymski i komedja społeczna.
13. *Morawski Zdzisław:* Z Odrodzenia włoskiego (z ilustr.).
14. *Tretiak Józef:* Adam Asnyk jako wyraz swojej epoki.
15. *Sinko Tadeusz:* Tradycje klasyczne A. Mickiewicza.
16. *Tarnowski Stanisław:* O »Panu Tadeuszu«.
17. *Sinko Tadeusz:* Echa klasyczne w literaturze polskiej.
18. *Morawski Kazimierz:* Walka o język polski w czasach Odrodzenia.
19. *Janik Michał:* Mikołaja Reja żywot i pisma.
20. *Ujejski Józef:* Byronizm i skottyzm w »Konradzie Wallenrodzie«.
21. *Sinko Tadeusz:* Żywy spadek po Grecji i Rzymie.

DO NABYCIA

W KRAKOWSKIEJ SPÓŁCE WYDAWNICZEJ

KRAKÓW, UL. ŚW. FILIPA 25.

W KSIĘGARNI JAGIELLOŃSKIEJ

KRAKÓW, UL. WIŚLNA L. 3.

I WSZYSTKICH INNYCH KSIĘGARNIACH.